Zygmunt Zeydler Zborowski

Koty



Leokadii Kościelnej





Ali-Baba

ZYGMUNT ZEYDLER-ZBOROWSKI

KOTY LEOKADII KOŚCIELNEJ

Rozdział I

Schodził ostrożnie po stromych, śliskich schodach. Betonowe stopnie, wyszlifowane przez ludzkie stopy i miejscami wyszczerbione, były niebezpieczne dla starych, zreumatyzowanych nóg.

Kościstymi palcami przesunął po chropowatej ścianie. Poczuł jej wilgotny chłód. Po omacku odnalazł wyłącznik i przekręcił go. Ciemności jednak panowały w dalszym ciągu.

- Łobuzy... złodzieje... - warknął ze złością. - Znowu ukradli żarówkę. Dranie...

Wsunął rękę do kieszeni bardzo zniszczonego, gumowego płaszcza, z którym nie rozstawał się nawet w największe upały, i wyjął elektryczną latarkę. Światło było gasnące, żółtawopomarańczowe. Żywot baterii dobiegał końca. Schował więc latarkę i pogrzebał w drugiej kieszeni. Potarł zapałkę o pudełko i przysunął ją do okopconego knota.

- To najpewniejsze - zamruczał z zadowoleniem. Jak większość samotnych, starych ludzi miał zwyczaj rozmawiać z sobą samym.

Chybotliwy blask świecy padł na chudą, pooraną bruzdami twarz. Teraz już szedł pewniejszym krokiem, osłaniając dłonią świecę. Jego cień rysował się dziwacznym kształtem na piwnicznych ścianach.

Na końcu korytarza błyszczała słaba żarówka.

- Czy to pani, pani Leokadio? - spytał i zaraz odchrząknął, jak człowiek, który rzadko mówi.

- Jestem tutaj - odpowiedział mu kobiecy głos. - Niech pan sobie wyobrazi, że Sabina urodziła.

- Już? - zdziwił się. - Myślałem, że to się stanie dopiero w przyszłym tygodniu.

- Urodziła, urodziła... Pięcioro... Jeszcze ślepe.

Z widocznym wysiłkiem przykląkł na prawe kolano i przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w małe, nieporadnie poruszające się stworzenia. Twarz jego jak gdyby się

wygładziła, złagodniała, nabierając wyrazu niezwykłej tkliwości. Sabina była przecież jego ulubienicą, a właściwie ich ulubienicą.

Wyciągnął rękę. Kotka w pierwszym, obronnym odruchu parsknęła ostrzegawczo, jeżąc sierść. Zaraz jednak uspokoiła się. Poznała swojego przyjaciela. Bez sprzeciwu pozwoliła się pogłaskać. Sucha dłoń starca posuwała się delikatnie po miękkim, puszystym futrze.

Podniósł się z klęczek, wyprostował zgarbione plecy i powiedział z niespodziewaną energią:

- Nie będziemy ich topić. Leokadia żachnęła się.

- Topić? A któż by je topił? Co też pan...?

- Ludzie topią małe kociaki.

- Ludzie może topią, ale my nie będziemy topić ani małych, ani dużych. Co też panu przychodzi do głowy, panie Sewerynie?

Pochylił się i zaczął otrzepywać spodnie, żeby nie pokazać zmieszania.

- Sabina będzie potrzebowała teraz mleka, dużo mleka - powiedział cicho. - Przyniosę.

- Ma pan pieniądze?

- Mam. Proszę się tym nie kłopotać. Ja zawsze mam pieniądze.

Odwrócił się, zapalił świecę i poszedł piwnicznym korytarzem po mleko dla kotki.

*

Seweryn Podsiadły od dawna był człowiekiem samotnym. Tak, jak wielu Polaków stracił całą rodzinę w czasie wojny. Żonę zamordowali Niemcy w obozie, jeden syn zginął w trzydziestym dziewiątym roku pod Kutnem, drugi w czasie Powstania Warszawskiego. On sam walczył na Lubelszczyźnie w partyzantce, został ciężko ranny, kontuzjowany i lekarze stracili nadzieję, że zdołają utrzymać go przy życiu. Twardy był, wyżył.

Do ludzi stracił zaufanie. Jeden przyjaciel okazał się konfidentem gestapo, drugi, już po wojnie, okradł go i uciekł za granicę, a kobiety, które spotykał, usiłowały wyłącznie wyciągnąć z niego jak najwięcej pieniędzy. Z biegiem czasu stał się nieufny, podejrzliwy, niechętny do zawierania znajomości.

Chadzał własnymi, sobie tylko znanymi ścieżkami i przez całe tygodnie potrafił nie zamienić z nikim ani słowa. Jak stary żółw coraz częściej chował się w skorupie swej samotności.

Im bardziej oddalał się od ludzi, tym bardziej zbliżał się do zwierząt. Zaczął chodzić do ogrodu zoologicznego, ale widok tygrysów, panter i niedźwiedzi w klatkach wpływał na niego tak przygnębiająco, że zrezygnował. Wielokrotnie zadawał sobie pytanie: „Jakim prawem człowiek więzi inne żyjące stworzenia, które mu nic nie zawiniły?” Smutne, ponure spojrzenia pozbawionych wolności zwierząt doprowadzały go do rozpaczy i wściekłości. Ogarniało go nieodparte pragnienie, żeby powyłamywać kraty, rozwalić klatki, zniszczyć te więzienia.

Oczywiście nie powyłamywał krat i nie porozwalał klatek. Zamiast tego siadywał w Łazienkach, karmiąc łabędzie, gołębie i wiewiórki. Wydawało mu się jednak, że ani łabędzie, ani wiewiórki nie są głodne i że jego poczęstunki przyjmują jakby z łaski, jakby tylko” dlatego, żeby nie zrobić mu przykrości. Wtedy zainteresował się bezdomnymi kotami.

Bezdomne, na wpół dzikie koty były głodne i wychudzone. One potrzebowały pomocy.

Seweryn Podsiadły zaczął krążyć po zaułkach i piwnicach w poszukiwaniu kotów. Kieszenie swego historycznego płaszcza, wypychał najrozmaitszym jadłem, które bądź znajdował w śmietnikach, bądź też kupował z chudej renty. Zdarzało się nawet, że sam nie dojadał, aby tylko starczyło na wyżywienie jego podopiecznych.

Początkowo mieszkał na Żoliborzu. Marzył jednak o tym, żeby się przenieść na Stare Miasto. Nie wiadomo dlaczego wyobrażał sobie, że na Starym Mieście jest o wiele więcej kotów, które - potrzebują jego pomocy. Wreszcie udało mu się. Zamienił się z pewnym emerytem, który chciał się ulokować bliżej syna. Pokój był mniejszy i gorszy, ale za to kotów nie brakowało.

Zaraz na początku swej działalności na Starym Mieście, Seweryn Podsiadły zetknął się z Leokadią Kościelną.

Pewnego wieczoru, karmiąc koty porcją flaków pod Barbakanem, posłyszał za sobą kobiecy głos:

- Co pan tu robi?

Nie odpowiedział ani nawet nie odwrócił głowy. Po prostu zignorował głupie pytanie. Przecież wyraźnie było widać, czym się w danej chwili zajmuje.

- Co pan tu robi? - powtórzyła głośniej, bardziej agresywnie.

Dopiero wtedy odwrócił się bez pośpiechu. Zobaczył przed sobą drobną, zasuszoną staruszkę, która z widoczną irytacją potrząsała głową.

- Karmię koty - powiedział powoli i wrócił do swojego zajęcia.

- To są moje koty! - pisnęła ze złością. Popatrzył na nią niechętnie.

- To są koty niczyje.

- To są moje koty - upierała się Kościelna. Była rozdygotana. Wydawało się, że za chwilę rzuci się z pięściami na intruza. - Ja je utrzymuję. Ja je karmię. Rozumie pan? To są moje koty. Nic panu do nich. Absolutnie nic panu do nich. To są moje koty.

Tak narodził się dziwny konflikt między opiekunami bezdomnych kotów. Przez pewien czas prowadzili wojnę „podjazdową", walcząc o kocią sympatię, usiłując przechytrzyć się wzajemnie. Wcześniej wstać, wystarać się o smaczniejsze pożywienie, nakarmić koty, zanim pojawi się „konkurencja".

Taki stan rzeczy nie trwał jednak zbyt długo. Pierwszy wyciągnął rękę do zgody Podsiadły. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu użerać się z tą upartą staruszką, a poza tym potrzebował kogoś, kto by mu pomógł przetransportować na Stare Miasto jego żoliborskie koty. Zaproponował więc Leokadii rozejm, a właściwie założenie towarzystwa opieki nad bezdomnymi kotami, składającego się z dwóch osób. Staruszka chętnie na to przystała. I jej także zaczynała ciążyć rywalizacja z tym posępnym, dziwnym mężczyzną, chodzącym zawsze w gumowym płaszczu.

Przywieźli koty z Żoliborza. Teraz oboje mieli pełne ręce roboty. Bo to nie tylko wyżywić, ale i jakoś trzeba stworzenia ulokować. Było nad czym myśleć.

Czas płynął i początkowy antagonizm począł przekształcać się w przyjaźń. Oboje byli samotni, oboje starzy.

Często, po nakarmieniu swoich pupilów, siadywali na ławce

pod Barbakanem, wygrzewając w słońcu zreumatyzowane kości. Mówili mało, ale możność zamienienia z kimś choć tych paru słów sprawiała im przyjemność, dodawała otuchy, pozwalała odprężyć się. Bo przecież rozmowa z samym sobą staje „się w końcu męcząca.

Nareszcie spotkałem prawdziwego człowieka - myślał Podsiadły, ogarniając serdecznym spojrzeniem drobną postać Leokadii.

A ona opowiadała mu o swoim niewesołym życiu, o córce, która mieszka w Ameryce i o tym, jak bardzo chciałaby przed śmiercią pojechać do córki, zobaczyć wnuki, nacieszyć się ich życiem, ich szczęściem.

Pewnego popołudnia, kiedy tak siedzieli w słońcu, Podsiadły powiedział:

- Martwię się.

Podniosła na niego niebieskie, wypłowiałe oczy.

- Czym się pan martwi, panie Sewerynie?

- Naszymi kotami.

- A czegóż im brakuje? Dobrze im. Są najedzone, mają gdzie spać. Nawet te chore już się lepiej czują. Ta maść, którą w zeszłym tygodniu kupiłam w aptece, jest wspaniała. Prawie już się im wszystkie liszaje pogoiły. Widział pan?

Podsiadły pokiwał głową.

- Tak. Widziałem. Hannibal dostaje nowej sierści. Co innego mnie niepokoi.

- O czym pan myśli?

- Widzi pani... - Odchrząknął energicznie. Zawsze kiedy był zażenowany, dostawał chrypki. - Widzi pani... jest taka sprawa, że nasze koty mnożą się.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Wszystkie koty się mnożą.

- Tak. Ale... ale ja się boję milicji...

- Milicji? A cóż ma milicja do kotów? Potrząsnął głową.

- Pani nie rozumie. Mogą powiedzieć, że za dużo bezdomnych kotów włóczy się po mieście, że to plaga. Czy pani nie wie, jacy są ludzie? Źli, wstrętni, okrutni. I dlatego... dlatego wie pani, co sobie pomyślałem?.

- Co?

- Pomyślałem sobie... - znowu odchrząknął - że to nie dosyć dawać kotom jeść, że trzeba się nimi zająć.

- Zająć się?

- Tak. Czy pani sądzi, że na świecie istnieją dobrzy ludzie?

- Nie wiem. Chyba są - powiedziała cicho. Podsiadły zapatrzony przed siebie nie zwrócił uwagi na słowa Leokadii. W dalszym ciągu kontynuował swą myśl:

- Trzeba się nimi zająć... Trzeba coś zorganizować, gdzieś ulokować... Przecież na pewno są ludzie, którzy chcieliby mieć koty. Dobrzy ludzie, lubiący zwierzęta.

- Mnie także to przychodziło do głowy - podjęła z ożywieniem Leokadia. - Musimy poszukać dla nich jakichś miejsc, gdzie by można... Ale muszą być ładne, zdrowe, tłuste. Muszą mieć piękną sierść, puszystą, błyszczącą. Takie każdy polubi...

Pogładził swą suchą dłoń, jakby dotykał „puszystej, błyszczącej sierści”.

- Postaramy się, żeby ładnie wyglądały.

- Może by im dodawać jakiejś witaminy do jedzenia? - zaproponowała Leokadia.

- Trzeba by się naradzić z weterynarzem.

- Ja znam jednego weterynarza. Zapytam go.

I tak oboje zaczęli szukać domów dla swoich wychowanków. Kościelna nawet od czasu do czasu wyjeżdżała pod Warszawę w nadziei, że na wsi łatwiej jej będzie ulokować kota. Bo to i ludzie mają więcej miejsca, i wyżywić łatwiej, i nieraz kot się przyda do łapania myszy.

Podsiadły nie wykazywał aż takiej inicjatywy. Z natury był człowiekiem nieśmiałym, małomównym, trudno nawiązywał kontakt z ludźmi. Zbyt dużo kosztowało go wysiłku, żeby przemóc zażenowanie i zaproponować komuś wzięcie kota. Poza tym coś go paskudnie dławiło za gardło, kiedy miał się rozstać z którymś ze swych ulubieńców. Wiedział, że tak trzeba, ale jednak... Bardzo też był wdzięczny Leokadii, że ona zajmowała się tymi sprawami.

Którejś wiosny zachorował. Wprawdzie zawsze twierdził, że żadna choroba go się nie ima, ale jednak zachorował. Grypa.

Duża gorączka, nieżyt oskrzeli, osłabienie serca.

Leokadia bardzo troskliwie się nim opiekowała. Sprowadziła lekarza, podreptała do apteki, porozumiała się z pielęgniarką, która przychodziła robić zastrzyki, przynosiła jedzenie, picie, gotowała coś naprędce.

Podsiadły godził się na wszystko, posłusznie zażywał lekarstwa, bez szemrania poddawał się zabiegom pielęgniarki. Chciał jak najszybciej wyzdrowieć. Chciał żyć. Miał dla kogo żyć. Miał swoje koty.

Czasem w gorączce siadał gwałtownie na łóżku i pytał niespokojnie:

- Gdzie koty? Co z kotami? Jak pani sobie radzi z kotami?

- Ależ doskonale sobie radzę - uspokajała go. - Niech pan leży spokojnie, panie Sewerynie. Wszystko w porządku. Koty są nakarmione. Proszę się nie denerwować. Niech się pan kładzie.

Zmęczony opadał na poduszki i szeptał spierzchniętymi wargami:

- Dziękuję. Pani jest bardzo dobrą kobietą. Dziękuję. Kiedy pewnego dnia Seweryn Podsiadły wstał wreszcie z łóżka, ubrał się i włożył swój gumowy płaszcz, pierwsze kroki skierował do piwnicy, gdzie Sabina przygotowała sobie legowisko. Znowu miała małe.

Przy kotce zastał Leokadię z butelką mleka. W nagłym, pełnym serdeczności odruchu położył dłoń na siwej głowie staruszki.

- Dziękuję. Dziękuję za wszystko.

Drgnęła gwałtownie pod dotknięciem jego palców.

- Czy nie za wcześnie pan się podniósł z łóżka?

- Nie. Już się świetnie czuję. Zresztą taki ciepły dzień, słońce... Sabina ma piękne futro - powiedział głaszcząc kotkę po wygiętym grzbiecie.

- Prawda? - ucieszyła się Leokadia. - Muszę się panu przyznać, że kupiłam specjalną odżywkę. Dodaję im do jedzenia. Od tego nabierają takiej lśniącej, jedwabistej sierści. Poradził mi ten znajomy weterynarz.

I znowu siadywali razem pod Barbakanem, znowu rozmawiali o zwykłych, codziennych sprawach i o kotach. Podsiadły

wypytywał, u kogo Leokadia ulokowała Hannibala, Marcina czy Kleopatrę. A ona musiała mu opowiadać wszystko ze szczegółami, gdzie, u kogo, jacy to ludzie. Czy kotom będzie u nich dobrze?

- Dużo ich pani umieściła podczas mojej choroby? - pytał.

- A wie pan, że sporo. Chyba z dziesięć.

- To jednak są ludzie, którzy chcą mieć koty. Skinęła głową.

- Są ludzie, którzy chcą mieć koty - powtórzyła. Promień słońca padł na jej siwe włosy, otaczając ją jakby srebrzystą aureolą.

Dlaczego ja wcześniej nie spotkałem tej kobiety? - pomyślał Podsiadły. Zrobiło mu się żal.

Choroba Seweryna zbliżyła ich bardzo do siebie. Od czasu śmierci żony nikt się tak o niego nie troszczył, a to było bardzo dawno, tak dawno, że Podsiadły zapomniał już, jak to jest, kiedy się ma przy sobie bliskiego, życzliwego człowieka, na którego pomoc można liczyć.

Sabina miauknęła cicho i przeskoczyła na kolana Leokadii, nadstawiając grzbiet do głaskania.

- A pani pamięta, jakżeśmy się kłócili o koty?

- Pamiętam.

- „To moje koty". „To moje koty". Pamięta pani?

- Pewnie, że pamiętam.

- A teraz to są nasze koty, nasze wspólne. Tylko Sabina jest moja i jej nie oddam nikomu.

- To niech ją pan sobie zabierze z moich kolan - uśmiechnęła się Leokadia.

Słońce zaszło, zapadł wczesny wiosenny zmrok, a oni długo siedzieli na ławce milcząc. Rozumieli się bez słów.

Rozdział II

Obudził się z uczuciem grożącego mu niebezpieczeństwa. Usiadł. Niespokojną dłonią przesunął po piekących, zapuchniętych oczach. Brudna, pozaciekana wilgocią ściana, na którą patrzył od tylu tygodni, wydała mu się nagle wroga, nienawistna. Gęste od upału powietrze tamowało oddech. „To się musi źle skończyć. To się musi źle skończyć". Dźwięczały mu w uszach słowa powtarzane wczoraj wieczorem z pijackim uporem.

Monika leniwie przewróciła się na drugi bok. Była zupełnie naga. Jej opalone ciało rysowało się mocną, brązową plamą na bieli prześcieradła.

- Co masz taką przerażoną minę? Śniło ci się coś.?

- Miałem męczący sen.

- Za dużo piłeś.

Wstał i wytarł ręcznikiem plecy, po których spływały wąskie strugi potu. Patrzyła na niego z chłodną obojętnością, tak jak się patrzy na rzeźbę w muzeum.

Dobrze zbudowany chłopak - pomyślała obiektywnie. Przypomniało jej się ich pierwsze spotkanie. Leżała na piasku, a on wychodził z wody. Od razu zwróciła uwagę na jego lekki, taneczny chód, na długie muskularne nogi i mocne, proporcjonalnie umięśnione ręce i ramiona. No i te gęste, kędzierzawe włosy, za które lubiła go targać. Podobał jej się. Żeby tylko przestał się mazgaić. Miała już dosyć tych posępnych nastrojów.

Okno było niedbale zasłonięte. Przez podłużny otwór między żółtymi zasłonami wdzierał się promień jaskrawego słońca. Duża, granatowa mucha z niecierpliwym brzęczeniem krążyła w tym blasku, czyniąc gwałtowne wypady w kierunku zawieszonego u sufitu żyrandola.

Tylko jeden z trzech różowych kloszy nie był stłuczony.

Ze złością szarpnął rozgrzany materiał, pragnąc odgrodzić ich od upalnego dnia. Urwana zasłona zwisła melancholijnie, a

słoneczny żar gwałtownie wtargnął do wnętrza.

Zaśmiała się.

- Nie tak energicznie - powiedziała, mrużąc uderzone nagłym światłem oczy. Przechyliła się w kierunku nocnego stolika i sięgnęła po paczkę papierosów. - Może byś zrobił śniadanie - zaproponowała, ale słowa te zabrzmiały jak rozkaz.

Odwrócił się do okna. Na jego chmurnej twarzy odmalowało się wahanie. - A może ty byś zrobiła śniadanie? - zaryzykował. Bawiła się nie zapalonym papierosem. Uśmiechała się.

- Cóż to? Bunt niewolników? A zresztą nie jestem twoją żoną. No, przestań się dąsać i naszykuj śniadanko dla swojej najdroższej Niki. Tylko błagam cię, pośpiesz się. Jestem piekielnie głodna.

Skapitulował. Miał na końcu języka jakieś ostrzejsze słowa, ale nie chciał psuć nastroju, który i tak już nie był najlepszy. Przecież to miała być bardzo miła niedziela. Włożył pidżamę, wsunął bose stopy w zniszczone, rozlatujące się pantofle i poczłapał do kuchni. Wiedział, że są sami w mieszkaniu. O tej porze pani Kozłowska oddawała się praktykom religijnym!

Kuchnia była brudna i zagracona. Klnąc odsunął stertę nie mytych od dawna garnków i zapalił gaz.

Do jasnej cholery - myślał ze złością - płacę tej babie sześćdziesiąt złotych za noc. Mogłaby chociaż trochę tu sprzątnąć. Wiedźma.

Długo nie mógł się zdecydować na wynajęcie tego pokoju Nie wiedział, jak Monika to przyjmie, czy będzie chciała przyjść. Przyjęła to jako rzecz zupełnie naturalną. Nie podobała jej się lampa i zasłony na oknie.

- Jak na sławnego artystę malarza to nie jest zbyt wytworne mieszkanko - śmiała się. On także się śmiał. Wtedy już przestali grać tę komedię wobec siebie.

W imbryku rozległo się gwałtowne bulgotanie. Odlał do garnuszka trochę gotującej wody i włożył jajka. Pokroił pomidory, chleb, ser i kiełbasę. Widok jedzenia oderwał go od wspomnień. Poczuł głód.

Monika przyjęła śniadanie z oznakami szczerego entuzjazmu. Natychmiast zabrała się do jedzenia. Pośpiesznie pochłaniała

ogromne ilości pożywienia, pomrukując przy tym z ukontentowaniem. Robiła wrażenie młodego, zdrowego zwierzątka. Wreszcie odsunęła talerz i wyciągnęła się na tapczanie syta i zadowolona. Zapaliła papierosa. Spod przymkniętych powiek przyglądała się w milczeniu kochankowi.

- Zdejmij pidżamę - powiedziała.

- Dlaczego? - spytał, nie patrząc na nią.

- Po pierwsze dlatego, że jest piekielnie gorąco, a po drugie dlatego, że nago podobasz mi się bardziej aniżeli w pidżamie.

Nie poruszył się. Powoli kończył pić herbatę. Postanowił udać, że nie rozumie, o co chodzi. Zbudziło się w nim nagłe uczucie buntu tak silne, że zagłuszyło namiętność. Bez przerwy nim dyryguje. Najpierw zrób śniadanie, a teraz zdejmij pidżamę i chodź się pieścić. Nie, tego już za wiele. Nie będzie ciągle na jej rozkazy. Co ona sobie wyobraża, do jasnej cholery? Artystka z Psiej Wólki. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Czuł na sobie jej wzrok. Był pewien, że się uśmiecha. Gdzieś na dnie podświadomości kołatała się myśl, że nie potrafi nic zmienić, że zawsze będzie tak, jak ona chce.

- Czy ciągle jeszcze myślisz o tej starej? - spytała wesoło. - A może zainteresowałbyś się kimś młodszym?

- Widzę, że humor ci dopisuje - mruknął. Podniosła się i, wsparta na łokciu, przyglądała mu się z drwiącym błyskiem w oczach.

- A dlaczegóż miałby mi humor nie dopisywać? Jest niedziela, lato, słońce pięknie świeci, towarzystwa dotrzymuje mi czarujący młody człowiek.

- Przestań kpić.

- Wcale nie kpię. Czyżbyś wątpił w to, że jesteś czarującym młodym człowiekiem? Zapewniam cię, że jesteś, pod warunkiem oczywiście, że nie robisz tych ponurych min.

- Łatwo ci dowcipkować, tobie nic nie grozi...

- A tobie co znowu takiego grozi?

- Wiesz dobrze, o czym mówię.

- Przestań histeryzować.

- To się musi źle skończyć. Poruszyła się niecierpliwie.

- Nie męcz mnie. Wczoraj przez cały wieczór powtarzałeś mi to w kółko: „To się musi źle skończyć”. Można zwariować z takim „wesołym” amantem.

- Poszukaj sobie weselszego.

Poderwała się z tapczanu i zaczęła się pośpiesznie ubierać.

- A co ty sobie wyobrażasz? Czy myślisz, że do końca życia będę wysłuchiwać twoich jęków dlatego, że parę razy postawiłeś mi kolację w „Kameralnej”? O nie, kochany, to nie dla mnie. Znajdź sobie taką, która by się razem z tobą wsłuchiwała w wyrzuty sumienia. Ja się do tego nie nadaję.

Zwrócił ku niej twarz ściągniętą wściekłością.

- Ale do brania forsy to się nadawałaś! Pogardliwie wzruszyła ramionami.

- Jaka znowu forsa? Myślałby kto, że majątek na mnie straciłeś.

- A pierścionek, a klipsy, a sweter, a spódnica z elany, a te białe pantofle z komisu...

- Może mi jeszcze policzysz, ile razy dałeś mi złotówkę na toaletę, co? - zaśmiała się i energicznie zaczęła szczotkować włosy. - Gentleman, psiakrew, że też ja zawsze muszę trafić na jakiegoś łachudrę. A jeżeli chodzi o te ciuchy, to wiesz, co ci powiem? Zabierz je sobie. Sprzedaj. Odbierzesz swoją forsę. Nie potrzebuję ani spódnicy z elany, ani pierścionka. Obejdę się bez twoich prezentów.

Milczał. Drżącymi z podniecenia rękami zapalił papierosa. Czuł, że ta kłótnia może ich zaprowadzić za daleko. Jeszcze chwila, a ukrywane dotychczas wzajemne żale i pretensje wybuchną z taką siłą, że już nie będzie odwrotu. Nie chciał z nią zrywać.

To miała być bardzo przyjemna niedziela - pomyślał i zrobiło mu się żal. Czekał cały tydzień, cieszył się. Po diabła w ogóle zaczynał tę rozmowę. Zepsuł wszystko jak kompletny idiota.

Zgasił papierosa i niepewnie spojrzał na Monikę. Skończyła się malować, wstała, zamknęła torebkę i podeszła do drzwi.

- Do widzenia, a te graty odeślę ci jutro pocztą. - Była zupełnie opanowana.

Chwycił ją za rękę.

- Monika... Nika... Proszę cię... nie odchodź. Jestem strasznie zdenerwowany... To dlatego. Przepraszam. Nie chciałem ci zrobić przykrości. Tak jakoś. Nie gniewaj się. Przepraszam. Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie samego. To przecież miała być bardzo przyjemna niedziela. Roześmiała się.

- „Bardzo przyjemna niedziela”. A wiesz, że ty jesteś kapitalny. Jak ty sobie to w ogóle wyobrażasz? Najprzód nagadasz mi impertynencji, a potem chcesz, żebym z tobą została. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że zachowujesz się jak skończony cham?

- Zdaję sobie z tego sprawę - przyznał pokornie. - Wybacz mi. Coś mnie poniosło. Nie gniewaj się. Jestem zdenerwowany... Przepraszam. Musisz zrozumieć, że...

Zawahała się. Właściwie była to dobra okazja do zerwania. Już od jakiegoś czasu zastanawiała się nad zlikwidowaniem tej znajomości, która zaczynała jej ciążyć.

Zbyszek coraz częściej bywał rozdrażniony, zdenerwowany, popadał w ponure nastroje, chętnie się upijał, a ona lubiła widzieć wokół siebie ludzi wesołych, beztroskich, zadowolonych z życia. Żałowała, że ten przystojny, świetnie zbudowany chłopak był takim mazgajem. Mimo wszystko jednak podobał jej się. Czuła do niego jakąś słabość, która ją nawet czasem niecierpliwiła.

Po co ja się zadaję z takim mięczakiem? - myślała ze złością. Nie potrafiła się jednak dotychczas zdecydować na rozstanie. Ostatecznie nie było jej z nim tak źle, a że czasem trochę sobie ponarzekał... Nie ma w życiu sytuacji idealnych.

Widząc jej niezdecydowanie nabrał pewności siebie.

- Monika... słuchaj, dlaczego my się właściwie kłócimy? Przecież to nie ma sensu. Zrozum, jestem ostatnio trochę przegrany. Czasem coś powiem bez zastanowienia...

- Zauważyłam to. - Zdjęła rękawiczki i usiadła na krześle, które jej skwapliwie podsunął. - Wiesz co, Zbyszku...? Wydaje mi się, że ty się tym wszystkim za bardzo przejmujesz.

- Łatwo ci mówić. Przecież w końcu to się wyda. Sto dwadzieścia dolarów. Skąd ja wezmę sto dwadzieścia dolarów?

- Nie rozumiem, dlaczego przypuszczasz, że to się wyda?

Machnął ręką niecierpliwie.
- Nie znasz się na tych sprawach. Prędzej czy później musi się wydać.
- Wcale nie musi. Przecież stara nic nie wie o tej forsie.
- Ale się dowie. Dostanie list od córki i dowie się.
- Twoja w tym głowa, żeby takiego listu nie dostała. No, nie bądźże dziecinny. Przecież ty jej doręczasz wszystkie listy.
- No i co z tego, że ja? To żadna gwarancja. Mogę się rozchorować, mogę pójść na urlop, mogą mnie przenieść na - inny rejon, mogą...
- Mogą rzucić bombę atomową. Jak zaczniesz przewidywać wszystkie najgorsze ewentualności, to najlepiej od razu się powieś.
Spojrzał na nią prawie z nienawiścią.
- To wszystko przez ciebie!
- Przeze mnie? Ja ci nie kazałam kraść.
- To dla ciebie, dla ciebie brałem te pieniądze. Żeby mieć na knajpy, na taksówki, na teatry, na kina, na ciuchy. Gdybym nie miał tej forsy, to byś nawet na mnie nie spojrzała.
Parsknęła śmiechem.
- Zachciało ci się udawać dobrze zarabiającego plastyka, no to nie mogłeś chodzić z pustymi kieszeniami.
- A ty niby nie zgrywałaś się na artystkę filmową?
- Będę grała w filmie. Już statystowałam. Reżyser powiedział, że jestem fotogeniczna.
- Bo chciał z tobą iść do łóżka.
- Uważasz, że do niczego innego się na nadaję. Świnia! - Zerwała się z miejsca i zaczęła nerwowo wciągać rękawiczki.
- Monika... Błagam cię... Co ty robisz? Dlaczego my się bez przerwy kłócimy?
- Siebie spytaj, idioto!
- Monika... Czy naprawdę nie możemy spokojnie porozmawiać?
- Z tobą nie można spokojnie rozmawiać!
Wziął ją za ramiona i z powrotem posadził na krześle.
- No, nie złość się. Już nie będę. To chyba przez to gorąco. - Otarł pot z czoła i spojrzał ku oknu, za którym narastał upał. -

Piekielnie gorąco. Człowiekowi może się na mózg rzucić.

Dotknęła jego wilgotnej dłoni.

- Słuchaj, przecież starzy ludzie umierają. Skurczył się nagle jak smagnięty biczem.

- Co ty...? Co ty chcesz przez to powiedzieć? - spytał ściszonym, schrypniętym głosem.

Wzruszyła ramionami.

- Nic nie chcę przez to powiedzieć. Po prostu stwierdzam fakt, że starzy ludzie umierają wcześniej niż młodzi. Nie jest wykluczone, że staruszka niedługo wykituje i wtedy będziesz miał spokój. Wszystko się przecież może zdarzyć.

- Trzeba poprawić tę firankę - powiedział i przysunął krzesło do okna. Nie patrzył na Monikę. Starannie unikał jej wzroku. Czuł, jak strugi - potu znowu zaczynają mu spływać po plecach.

Zapaliła papierosa i zaczęła przeglądać gazetę.

- No jak? Skończyłeś już z tą zasłoną? - spytała po chwili.

- Tak, teraz już się nie urwie.

- Wiesz co? Proponuję, żebyśmy poszli na spacer. Nie wytrzymamy tutaj w tym piekarniku.

- Masz rację. Cholernie gorąco. Gdzie chcesz iść?

- Bo ja wiem. Może nad Wisłę, a może do Łazienek. Zobaczymy. Ubieraj się!

Nie pojechali jednak ani nad Wisłę, ani do Łazienek. Chodzili rozsłonecznionymi ulicami, wchłaniając w siebie żar buchający z nagrzanych domów i zostawiając ślady swych stóp na miękkim asfalcie. Monika zatrzymywała się przed wystawami, oglądała sukienki, kapelusze i koszulki. Najbardziej interesowały ją sklepy komisowe.

- Chciałabym mieć ten seledynowy komplet - westchnęła.

- To będziesz go miała - powiedział ze sztuczną nonszalancją. - Kupię ci.

Otarła się policzkiem o jego ramię.

- Jesteś bardzo miły.

Dwadzieścia dolarów mniej czy dwadzieścia dolarów więcej to żadna różnica -myślał. - A może wygram w totolotka. Wtedy oddałbym starej wszystko. - W tej chwili uświadomił sobie, że miałby z tym duży kłopot. Bo i jak tu zwrócić te pieniądze?

Musiałby kupić dolary na czarnym rynku, a następnie jakoś upozorować całą historię. Roześmiał się.

- Z czego się śmiejesz? - spytała zdziwiona.

- Wyobraziłem sobie, co bym zrobił, gdybym wygrał milion.

Wzruszyła ramionami.

- Nie lubię snuć nierealnych marzeń. Jestem głodna. Zjedli obiad w „Salusie", a potem poszli do kina. Film był kryminalny. Monika ubóstwiała kryminalne filmy.

Kiedy po skończonym seansie znaleźli się znowu na ulicy, przez dłuższy czas milczeli. Monika lubiła dzielić się swoimi wrażeniami i miała zwyczaj z ożywieniem komentować film czy widowisko teatralne. Tym razem jednak nie zdradzała ochoty do rozmowy. Była zamyślona i mogło się wydawać, że nie dostrzega obecności swego towarzysza. Tak doszli do Nowego Światu. Wtedy powiedziała:

- Wiesz, że to był jednak idiota.

- Kto?

- No ten morderca. Przecież on chciał się zemścić. Po co rabował? Gdyby nie ten pierścionek, policja nigdy nie wpadłaby na jego ślad. Bardzo głupio tak kraść przy okazji. Nie uważasz?

- Czy chcesz jeszcze spacerować? - spytał. Mówiła dalej, nie zwracając uwagi na jego pytanie.

- Zrobił straszne głupstwo. Wcale nie był nastawiony na rabunek, więc po co...? Gdyby był śię tylko ograniczył do zabicia tej babki...

- Przestań!

Zdziwiła się niezbyt szczerze.

- Co ci jest? Nie chcesz rozmawiać o filmie?

- Nie chcę.

- A co chcesz?

- Zmęczony jestem. Chyba pójdę spać.

- Sam?

Ciągle starał się na nią nie patrzeć.

- Nie uprzedziłem pani Kozłowskiej - powiedział cicho. - Nie wiem, czy - będzie można skorzystać z pokoju.

Żachnęła się.

- Po co te wykręty? Powiedz od razu, że nie masz ochoty.

- Ależ... Moniko... - Wziął ją pod rękę. Wyrwała mu się energicznie.

- Daj mi spokój. Mam dosyć. W sobotę wieczorem upijasz się i ględzisz jakieś bzdury, w niedzielę całe rano awanturujesz się, a potem mi mówisz, że nie wiesz, czy pani Kozłowska ci pozwoli. Idź spać do tatusia i nie zawracaj mi głowy!

- Monika... Zrozum... Ja muszę jutro wstać do roboty.

- A ja to niby nie muszę, co? Wydaje ci się, że tylko ty pracujesz.

- Nic mi się nie wydaje. Błagam cię, nie męcz mnie. Umilkła i przyspieszyła kroku. Wiedziała doskonale, dlaczego Zbyszek był w takim fatalnym nastroju, ale nie zamierzała mówić z nim na ten temat. Dosyć miała tych wszystkich skomplikowanych problemów moralnych. Zrobi, jak będzie chciał. Ostatecznie to są jego sprawy i on musi decydować. Imponowali jej mężczyźni mocni, gotowi na wszystko, tacy, co to wiedzą, czego chcą. Doprowadzały ją do wściekłości te ciągłe zmiany nastrojów, melancholijne miny, pełne wyrzutu spojrzenia. Do cholery z takim chłopakiem. Niech idzie w czorty.

- Monika...

Spojrzała na niego z chłodnym błyskiem w oczach.

- Czego chcesz?

- To może jednak pójdziemy do Kozłowskiej. Przecież...Nie pozwoliła mu skończyć. Energicznie potrząsnęła głową.

- O nie! Nie pójdziemy do Kozłowskiej. Teraz ja straciłam ochotę. Jak chcesz, to sam idź!

Wzruszył ramionami.

- Co ja bym tam sam robił?

- Więc nie idź. Ja wracam do domu.

- Gniewasz się?

- To moja sprawa. Dobranoc.

- Odprowadzę cię do tramwaju.

- Nie fatyguj się. Podobno jesteś zmęczony.

Doszli do Marszałkowskiej i Monika wsiadła w piętnastkę. Mieszkała na Bielanach.

Dłuższą chwilę stał na przystanku, patrząc bezmyślnie na otaczających go ludzi. Potem zaczął iść wolno w kierunku Saskiego Ogrodu.

To miała być bardzo przyjemna niedziela - pomyślał raz jeszcze, przechodząc Królewską.

Rozdział III

- Nie powinieneś był tego robić. Stanowczo nie powinieneś był tego robić.

Nie odezwał się. Pochylony nad talerzem miarowo poruszał szczękami, dokładnie żując pożywienie. Różowy, sfałdowany kark błyszczał od potu.

- Słyszałeś, co powiedziałam? Nie powinieneś był tego robić.

Wątróbka była znakomita. Końcem języka oblizał tłuszcz z grubych mięsistych warg i posłał żonie niechętne spojrzenie. Co z tego, że doskonale umiała gotować, kiedy nigdy nie dała mu spokojnie zjeść. Zawsze musiała go czymś zdenerwować przy obiedzie. Potem miał zgagę i gniotło go w żołądku. Po co ona to mówi? Sam doskonale wiedział, że nie powinien był tego zrobić.

- Ja ci radziłam, żebyś tego nie robił - mówiła dalej, nie zrażona milczeniem męża. -Ale czy ty mnie kiedy posłuchasz? Zawsze chcesz być mądrzejszy. Zobaczysz, że ty się jeszcze kiedyś wpakujesz przez ten twój głupi upór. - Wytarła energicznie zaczerwieniony nos i błysnęła groźnie wypukłymi oczami, zdradzającymi początki choroby Basedowa. Miała także krótki, sfałdowany kark, pulchne dłonie i pełne, nierówno pociągnięte fioletową szminką wargi.

Odsunął od siebie talerz z nie dojedzoną wątróbką.

- Czego ty ode mnie chcesz, Anielciu? - westchnął.

- Chcę, żebyś miał trochę więcej oleju w tym swoim głupim łbie; rozumiesz? Mam dosyć noszenia wałówek i wystawania pod bramą. Myślisz, że to przyjemne?

Skrzywił się. Nie lubił wspominać takich rzeczy, szczególnie po obiedzie.

- Daj spokój. Tak się znowu nie sfatygowałaś tymi wałówkami.

- A w pięćdziesiątym siódmym roku to kto siedział?! - krzyknęła piskliwie. - Święty Mikołaj?!

- Tylko półtora roku - mruknął ugodowo.

- Półtora roku, bo wzięłam dobrego adwokata.

- Za moje pieniądze.
Chwyciła ze stołu nóż i zaczęła nim wywijać wojowniczo.
- Tobie to łatwo mówić. „Tylko półtora roku". A nie zdajesz sobie sprawy z tego, co ja przeżyłam przez te półtora roku. I pamiętaj, że jak teraz wpadniesz, to bez gadania dostaniesz pięć lat.
- Przestań krakać - powiedział energicznie. - I odłóż ten nóż, bo się skaleczysz.
- A mówiłam... a prosiłam... a tłumaczyłam... nie... musiałeś poleźć do tej starej. I żebyś chociaż kupę forsy zarobił, ale dla tych głupich paru złotych...
Czknął głośno i położył dłoń na żołądku. No tak, już go gniotło. I po co te wszystkie lekarstwa? Po co wydawać pieniądze na lekarzy, kiedy ona zawsze musi go zdenerwować w czasie jedzenia?
Niespodziewanie dla samego siebie grzmotnął pięścią w stół.
- Przestań, do jasnej cholery! Nie chcę tego więcej słuchać! To są moje interesy. Nie wtrącaj się!
Pani Aniela zaniemówiła. Żyły nabrzmiały jej na szyi, twarz pokryła się ceglastym rumieńcem, a oczy stały się jeszcze bardziej wyłupiaste.
- Nie wtrącaj się? - zasyczała zduszonym szeptem, jakby wzruszenie nie pozwalało jej wydobyć normalnego głosu. - Nie wtrącaj się? I ty to mówisz? Ty?
Spojrzał na nią niespokojnie. Wiedział z wieloletniego doświadczenia, że tego rodzaju teatralne efekty nie wróżą niczego dobrego.
- Daj spokój, Anielciu - próbował załagodzić. - Nie ma się o co sprzeczać.
Zerwała się ze swego miejsca i potoczyła się w jego kierunku jak naładowana dynamitem kula. Przezornie zajął obronną pozycję po drugiej stronie stylowej komody, gęsto zastawionej fajansowymi figurkami, pamiątkowymi fotografiami w ramkach i kryształami.
- Więc uważasz, że nie powinnam się wtrącać do twoich interesów? Dobrze. Bardzo dobrze. Nie będę się wtrącać, ale najprzód musisz się ze mną rozwieść. Rozumiesz? Ja żądam

rozwodu! Nie mam zamiaru świecić za ciebie oczami, jak tu przyjdzie milicja. - Oparła białą, tłustą dłoń na kryształowym wazonie.

Niespokojnie obserwował jej ruchy. Postanowił pertraktować. Wazon kosztował ładnych kilkaset złotych.

- Słuchaj, Anielciu, po co się zaraz sprzeczać? Porozmawiajmy spokojnie.

- Czy z tobą można rozmawiać spokojnie?

- Można - stwierdził z przekonaniem. - Zapewniam cię, duszko, że można.

Odsapnęła i rozluźniła zaciśnięte na krysztale palce.

- Dobrze, porozmawiajmy spokojnie. Ja najlepiej lubię rozmawiać spokojnie.

- Ależ oczywiście, oczywiście. Siadaj, Anielciu. Usiadła i zaczęła wachlować się chusteczką. Twarz jej wróciła do normalnej barwy, ale żyły na szyi były jeszcze ciągle nabrzmiałe.

- Więc według ciebie ja nie mam racji?

- Kto powiedział, że ty nie masz racji? - No przecież ty.

- Ja? Nic podobnego. Uważam tylko, że nie powinnaś sobie głowy zanadto zaprzątać moimi interesami. Za bardzo się przejmujesz. To ci może zaszkodzić. Takie zdenerwowania wcale nie są zdrowe. Mnie już boli żołądek.

Przestała się wachlować. Spojrzała na męża z wyrzutem.

- Ty tylko myślisz o swoim zdrowiu. Ja ciebie nic nie odchodzę. Mogę skonać. Mogę się ciężko rozchorować. Tobie wszystko jedno.

Widząc, że ciężka atmosfera została trochę rozładowana, odetchnął z ulgą.

- Anielciu, bój się Boga, co ty wygadujesz? Przecież ja to wszystko dla ciebie... Męczę się, pracuję, ryzykuję...

- Wcale nie chcę, żebyś ryzykował.

- No to jak ty sobie to właściwie wyobrażasz? Trochę muszę ryzykować. Z czego byśmy żyli?

- Wystarczy, jak pojedziesz na wieś i na wsi zahandlujesz. Nie musisz robić tych kombinacji tu, w Warszawie.

Usiadł ciężko na krześle i otarł spocone czoło.

- Przyznaję ci rację, że trochę niepotrzebnie zrobiłem interes z tą starą.

- Trochę niepotrzebnie?! Ty uważasz, że tylko „trochę” niepotrzebnie? A ja ci powiem, że zupełnie niepotrzebnie! Palnąłeś takie głupstwo, że możesz tego ciężko żałować.

- Nie denerwuj się, Anielciu - powiedział łagodnie. - Nerwy ci szkodzą i mnie także. To przez te zdenerwowania chorujesz na tarczycę.

- Ty mnie doprowadziłeś do tej choroby! Ty! Bo musisz zawsze coś takiego kombinować, że potem nie można spać spokojnie.

- Trzeba się wreszcie na coś zdecydować - mruknął, tracąc powoli cierpliwość. - Albo chce się spać spokojnie z pustym żołądkiem za tysiąc osiemset złotych miesięcznie, albo się chce trochę zaryzykować i wtedy je się pieczone kurczęta i kupuje się karakuły.

- Wolałabym o suchym chlebie...! - krzyknęła efektownie.

Machnął ręką.

- Daj spokój. Na co to gadanie? Kto, jak kto, ale ty lubisz dobrze zjeść i kupić sobie ciuchy w pierwszorzędnym gatunku. Mnie chyba nie musisz czarować.

- A ty to niby nie lubisz zjeść? - odcięła się natychmiast pani Aniela. Widząc jednak, że mąż otwiera usta, żeby coś na to zareplikować, przerwała mu gwałtownym ruchem ręki. -A zresztą nie czas teraz na sprzeczki. Trzeba coś wykombinować, żebyś nie wpadł przez tę starą.

- Ja osobiście nie widzę takiego niebezpieczeństwa.

- Nie widzisz, bo nie patrzysz dalej swego nosa. Ale ja widzę doskonale, że tą drogą zajdziesz prościutko do kryminału.

- Przypuszczałem, że ona kupuje na lokatę.

- Przypuszczałeś, przypuszczałeś. A tymczasem to na żadną lokatę. Zaniesie dolary do banku i...

- Może nie poznają...

Pani Anieli znów spąsowiała twarz.

- Zwariowałeś? W banku nie poznają, że to fałszywe dolary? Już tam się dobrze orientują.

- Ale ona nie powie, od kogo ma.

- Powie, powie. Nie bój się. Jak ją milicja dobrze przyciśnie, to zaraz wyśpiewa, od kogo kupiła.
- Cholera jasna! No więc co mam robić? Mam ją zabić czy jak?
- Czekaj, czekaj. Trzeba się zastanowić. Najlepiej byłoby odebrać od niej te trzydzieści dolarów.
- Nie trzydzieści, tylko czterdzieści. Poruszyła się niecierpliwie.
- Mniejsza o to. Trzydzieści czy czterdzieści co za różnica.
- Różnica tysiąca złotych - stwierdził rzeczowo.
- Nie chodzi o tysiąc złotych. Chodzi o to, żebyś się nie dostał do młyna. Musisz pójść do starej i odebrać te dolary.
- Nie po to kupowała, żeby mi oddawać.
- Wykombinuj coś. Wzruszył ramionami.
- Co ja tu mogę wykombinować?
- To już twoja sprawa. Nie będę cię wszystkiego uczyć. Nie jesteś małym dzieckiem. Pójdź do niej i powiedz, że... Czy ja wiem zresztą. Wykradnij, zamień. Rób, co chcesz, abyś to świństwo od niej wycofał.
- Kiedy ona pewnie ma już całą harmonię tych dziesiątek.
- No to co z tego?
- No, to to z tego, że nie będę wiedział, które banknoty zabrać, a które zostawić.
Pani Aniela spojrzała na męża z niekłamanym oburzeniem.
- Czyś ty zwariował, Lucuś?! Nie rozpoznasz fałszywych dolarów?!
- Ciiicho. Nie tak głośno. - Pośpiesznie zamknął drzwi do przedpokoju i wrócił na swoje miejsce. - To nie jest takie proste. Edzio to dobry fachowiec. Zna swoją robotę. Trudno poznać, nawet specjaliście trudno. A zresztą jak ja miałbym się dostać do tych dolarów?
- Nie domyślasz się, gdzie ona trzyma?
- Chyba ma skrytkę w podłodze. Jak u niej byłem, to kot dywanik odciągnął i zauważyłem, że dwie klepki w posadzce są takie trochę wybrzuszone. Zaraz nogą nasunęła dywan. Bardzo się speszyła.
- No, więc właśnie - ucieszyła się pani Aniela. - W porządku. Pójdziesz do niej. Powiesz, że za dużo ci zapłaciła przez pomyłkę czy coś takiego. Albo może lepiej wyczekasz moment,

kiedy będzie karmiła te swoje koty w piwnicy. Wiem, że często zapomina zamknąć drzwi.

- Przecież tam są jeszcze inni lokatorzy.
- Jutro wyjeżdżają na letnisko. Stara będzie sama.
- Skąd wiesz, że wyjeżdżają na letnisko?
- Dowiedziałam się. Skąd - to cię nie obchodzi. Wystarczy, że wiem.

Spojrzał z podziwem na żonę.

- Ale z ciebie cwana baba. Uśmiechnęła się zadowolona z pochwały.
- Jakbym nie była cwana, toby mnie do tej pory już na świecie nie było. A ty byś krugom siedział w mamrze.
- No, nie przesadzaj, duszko. Ja także nam głowę na karku.
- Co z tego, kiedy pustą. Potrzeba ci było łakomić się na ten gówniany zarobek? A swoją drogą skąd ona ma tyle pieniędzy, żeby kupować dolary?

Wzruszył ramionami.

- Diabli ją wiedzą. Co mnie to obchodzi. Może żebrze, a może kradnie. Ja się tam nie interesuję, skąd ludzie mają pieniądze. Nie pracuję w Wydziale Finansowym.
- Tak, tak. To są dziwne historie - pokiwała głową pani Aniela. - Niby bida z nędzą, a dolary kupuje.
- Ma córkę w Ameryce. Pewnie jej jakieś paczki przysyła.
- No, ale na życie też coś musi wydać. Z samej emerytury nie wyżyje. Ale co ja się tam o nią będę martwiła. Niech jej będzie na zdrowie. Teraz trzeba, żebyś ty tę sprawę zgrabnie załatwił. Ileś jej sprzedał?
- Czterdzieści. Cztery dychy.
- Musisz je zabrać i podrzucić prawdziwe.
- Stracę ładnych parę złotych.
- Nie szkodzi. Odbijesz sobie. Wsadzisz jakiemu chłopu.
- Chłopi teraz wolą twarde.
- Znajdziesz amatora i na te trochę miękkich. Bez ryzyka.
- Co ja powiem tej starej?
- Najlepiej nic jej nie mów, tylko zrób tak, jak ci radzę. Wejdź do mieszkania, zajrzyj pod dywanik i zabierz dolary, to znaczy zamień. Nie powinna się spostrzec.

- Kiedy nie poznam, które to.

Pani Aniela westchnęła ciężko i z niechęcią popatrzyła na męża.

- Wolałabym, Lucuś, żebyś nie robił z siebie takiego idioty, bo naprawdę przykro słuchać. Pracujesz w tej branży czy nie? Zresztą weź Edzia ze sobą. On chyba pozna swoją robotę.

*

Edward Radzikowski mieszkał na Muranowie. Zajmował skromną kawalerkę. Pozornie wiódł monotonny żywot spokojnego emeryta. Siadywał na ławkach karmiąc gołębie. Od czasu do czasu można go było zobaczyć w jakimś kinie. Nigdy się nie śpieszył. Bardzo rzadko z kimś rozmawiał. Robił wrażenie samotnika i odludka. Czasami znikał na kilka tygodni. Wtedy prosił sąsiadów, żeby opiekowali się jego mieszkaniem i podlewali kaktusy, które ciasno zalegały okno. Mówił, że wyjeżdża na kurację do Buska albo do Ciechocinka. Skarżył się na reumatyzm.

Kiedy samotny emeryt ujrzał w drzwiach spoconego Waliczka, na jego twarzy pojawił się niechętny grymas. Nie znosił nie zapowiedzianych odwiedzin.

Pan Lucjan, nie zrażony, wtoczył się bezceremonialnie do przedpokoju i powiedział, wyciągając wilgotną, tłustą dłoń:

- Jak się masz!

- Może wejdziesz dalej? - zaproponował Radzikowski, rezygnując z powitalnych gestów. Sam usiadł pod oknem na małej kanapce i w milczeniu obserwował nieproszonego gościa.

- Widzisz, Edziu... - zaczął Waliczek, wysapawszy się do woli. - Widzisz... ja tu do ciebie z taką trochę przykrą sprawą...

Radzikowski poruszył się niespokojnie. Jego ciemne, okrągłe oczy błysnęły zainteresowaniem. W milczeniu wysłuchał całej historii i pozornie obojętnie spojrzał w okno.

Pan Lucjan kręcił się na krześle i pocił się coraz obficiej.

- Ja wiem, że głupio zrobiłem. Przyznaję, że to nie miało sensu. Wiem przecież, żeśmy się umówili, że tylko na wieś, tylko chłopom. No, ale tak mnie coś, cholera, podkusiło. Przyleciał do mnie ten idiota Bolek Kalinowski i powiada, że ma klientkę, która... No, jednym słowem, dałem się nabrać. Czasem tak

człowieka coś zamroczy. Myślałem, widzisz, że ona na lokatę kupuje, skąd niby miałem wiedzieć, że chce jechać do Ameryki, do córki i zbiera te dolary, żeby zapłacić podróż. Teraz trzeba by tego... Rozumiesz? Ja bym sam... ale... mogę coś pokiełbasić. Ty jesteś wspaniały fachowiec, że jak tego, to później trudno... trudno rozpoznać, które to papierki. Więc gdybyśmy tak we dwóch poszli do starej, to ty byś mi pomógł. No jak? Zgadzasz się? Czego ty, do cholery, nic nie mówisz? No, odezwijże się!

Radzikowski przełknął ślinę tak energicznie, że aż mu się grdyka poruszyła, założył nogę na nogę i zapalił papierosa.

- Ja w ogóle nie rozumiem, o co chodzi. O czym ty właściwie mówisz?

- No przecież ci tłumaczę... - podjął z ożywieniem Waliczek, ale tamten mu przerwał.

- Co ja mam właściwie wspólnego z tym wszystkim? Co mnie obchodzi jakaś staruszka, jakieś dolary?

Waliczek patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami.

- No jak to...? Jak to? No, co ty, Edziu? No przecież... Twarz Radzikowskiego pozostała zupełnie nieruchoma.

Patrzył na siedzącego przed nim spoconego grubasa tak, jak się patrzy na jakiś ciekawy okaz w ogrodzie zoologicznym-

- Mam wrażenie, że ci ten upał do głowy uderza, mój drogi. Chyba mnie mieszasz z kim innym. Ja naprawdę nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

Waliczek zamrugał oczami, dziwne zachowanie się Edzia zupełnie go zaskoczyło.

- Więc nie chcesz mi pomóc? Radzikowski spojrzał na zegarek.

- Bardzo mi przykro, ale muszę za chwilę wyjść. Mam coś do załatwienia na mieście. Jutro wyjeżdżam na kurację. Nie będzie mnie dłuższy czas. Nie przychodź tutaj.

- Słuchaj... - spróbował jeszcze Waliczek. - Zrozum, że jeśli w banku stwierdzą, że...

- Powiedziałem ci, że muszę wyjść. Proszę, nie zatrzymuj mnie. A te wszystkie brednie zupełnie mnie nie interesują.

Waliczek wstał i bez słowa pożegnania ruszył ku drzwiom. Kiedy znalazł się na ulicy, poczuł ogarniający go niepokój. Więc

jednak Aniela miała rację, jednak niebezpieczeństwo jest groźne, groźniejsze, niż to sobie wyobrażał. Jeżeli Edzio odegrał wobec niego tę idiotyczną komedię, to znaczy, że rzeczywiście nie można lekceważyć tych czterdziestu dolarów. Ale z drugiej strony trudno przypuścić, żeby stara tak prędko uciułała dolary na bilet lotniczy do Ameryki. Kupuje po pięć, po dziesięć dolarów. To musi potrwać. Ma chyba już dobrze po siedemdziesiątce. Może w ogóle nie dożyje? Stara, schorowana kobieta. Bardzo mizernie wygląda. Wątpliwe, żeby dożyła. Niepotrzebne to całe zdenerwowanie. Na pewno nie dożyje. Po co się martwić na zapas. Aniela zawsze lubi robić panikę. Głupia baba. A jeżeli jednak dożyje? Diabli ją wiedzą. Zdarza się przecież, że takie chorowite staruszki ciągną do setki, chorują, ale żyją. Uzbiera sobie te paręset dolarów i pójdzie płacić za bilet. Urzędnik w banku od razu się kapnie i wezwie milicję. Dochodzenie. Skąd? Kto? Kiedy? Cholera jasna. Chyba jednak nie dożyje. Daj Boże, żeby nie dożyła... Nie można ryzykować, nie można. Za wszelką cenę trzeba zabrać od niej te dolary.

Rozdział IV

Dzieci już spały. Katarzyna szykowała sobie posłanie na składanym łóżku, stojącym pod oknem. Głowę miała obwiązaną wełnianą chustką. Postękiwała. Maria spojrzała na nią z niechęcią.

Pewno znowu migrena - pomyślała. Kochała matkę, ale każda jej niedyspozycja wyprowadzała ją z równowagi. Po prostu drażniło ją to. Nie wiadomo dlaczego od małego dziecka uważała, że rodzice powinni być zawsze zdrowi. Przeniosła wzrok na Jana. Siedział przy stoliku wciśniętym między łóżka i, jak zwykle, coś pisał, odsuwając od siebie otwarte książki, które mu przeszkadzały. Od czasu do czasu odgarniał z czoła niecierpliwym ruchem długie jasne włosy. Dawno już nie był u fryzjera.

Westchnęła i wróciła do kuchni. Miała jeszcze parę kawałków do przeprania. Kiedy wieszała bieliznę na sznurze w łazience, spojrzała w lustro. Przestraszyła się. Wychudzona, mizerna twarz, przygasłe, podkrążone oczy, szare, bezkrwiste wargi. Czy to rzeczywiście ona? Ostatnio nie miała czasu przeglądać się w lustrze. Ot tylko tyle, żeby się uczesać. Nie zastanawiała się na tym, jak wygląda. I nagle... Powolnym, nieśmiałym ruchem podniosła dłoń do, policzków i dotknęła bezbarwnej skóry, naciągniętej na wystających kościach. Uświadomiła sobie, że jest starą, zniszczoną kobietą, a przecież ma dopiero trzydzieści dwa lata. Trzydzieści dwa lata. Łzy napływające do oczu przesłoniły jej odbicie w lustrze. Więc to już koniec? Koniec? W kieracie codziennego dnia nie zdawała sobie sprawy z tego, że praca ponad siły wyniszcza ją w zawrotnym tempie. Troje dzieci, a teraz znów ciąża. I wszystko w tym jednym pokoju. A jego to nic nie obchodzi. Nie dostrzega tego, co się z nią stało. Siedzi i uczy się. Powiedział, że musi podnieść swoje kwalifikacje. Nawet mieszkania nie potrafi załatwić. Tylko dzieci umie robić - nic więcej.

O Boże - myślała - dlaczego ja wyszłam za niego za mąż?

Była kiedyś piękną dziewczyną. Miała delikatną różową cerę, grube, sięgające do kolan warkocze i pełne blasku fiołkowe oczy. A teraz...? Tylu chłopców ubiegało się o jej względy. Dlaczego musiała się zakochać akurat w tym niedołędze życiowym. Jemu wszystko jedno. Jego to nie razi, że w pięć osób mieszkają w jednym pokoju. Nie widzi, że ona się zabija, że się męczy nieludzko. Pójdzie rano do tej swojej pracy i gwiżdże na wszystko. To jest człowiek, który nie ma żadnych wymagań, absolutnie żadnych. Pod wpływem tych rozmyślań podeszła do męża i powiedziała:

- Słuchaj, Janku...

Podniósł na nią zmęczone, zaczerwienione oczy.

- Chciałaś coś?

- Chciałam ci powiedzieć, że jestem już w szóstym miesiącu.

- Proponowałem ci, żebyś nie miała tego dziecka.

- Proponowałeś. Proponowałeś! - krzyknęła. - Ty tylko potrafisz proponować. Wiesz dobrze, że tego nie zrobię. Nigdy! Rozumiesz?! Nigdy!

Wzruszył ramionami.

- No więc czego chcesz ode mnie?

- Jak ty sobie to w ogóle wyobrażasz? Wszyscy na kupie w jednym pokoju. Ja, ty, mama, czworo dzieci...

- Wiesz przecież, że złożyłem podanie o mieszkanie. Dlaczego mnie męczysz?

Spojrzała na niego z nienawiścią. To on ją doprowadził do tego stanu. To przez niego
straciła młodość, urodę, wszystko...

- Złożyłeś podanie i jesteś spokojny, tak? Czy myślisz, że kiedykolwiek dostaniesz mieszkanie w ten sposób?

- Myślę, że dostanę.

- To jesteś skończony idiota. Skończony idiota, rozumiesz? Taką rzecz trzeba załatwić. Złożyć podanie to jeszcze nie wszystko. Nie tylko ty chciałbyś dostać mieszkanie. Takich jest więcej. Jak się nie zakręcisz koło tego, to możesz sobie czekać do końca świata.

- Więc według ciebie co mam robić? - spytał zniecierpliwiony. -

Ja łapówek dawać nie umiem, a choćbym i umiał, nie mam z czego. Trzeba na te sprawy jakoś realnie się zapatrywać.

- Byłoby dobrze, żebyś ty się w ogóle trochę realniej zapatrywał na życie -wybuchnęła. - Jak się nie ma mieszkania, to się nie zakłada rodziny, to się nie płodzi tyle dzieci. Coś ty ze mnie zrobił?! Co? Zasuszoną staruszkę. Zabrałeś mi młodość, urodę. Zniszczyłeś mnie. Przyjrzyj mi się! Przyjrzyj!

Poruszył się niespokojnie. Nie znosił tego rodzaju scen.

- Każdy się kiedyś musi trochę zestarzeć - bąknął.

- Trochę zestarzeć?! I ty uważasz, że ja się „trochę" zestarzałam? Czy ty w ogóle widzisz, jak ja żyję, jak ja wyglądam. Czy ty wiesz, że ja mam dopiero trzydzieści dwa lata? Czy ty sobie zdajesz z tego sprawę?

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział zgodnie. - Masz trzydzieści dwa lata.

Chwyciła go za klapy marynarki.

- Spojrzyj na mnie. Czy tak powinna wyglądać kobieta, która ma trzydzieści dwa lata?

- Uspokój się, Marysiu. Obudzisz dzieci.

- Coś ty się nagle zrobił taki czuły ojciec? Nie o dzieci ci chodzi. Chcesz się wykręcić od tej rozmowy. Ale to się na nic nie zda. Musimy sobie wreszcie pewne sprawy Wyjaśnić. Ja nie mam zamiaru zaharować się na śmierć. Nie mam zamiaru w tym jednym pokoju doczekać się dziesięciorga dzieci. Rozumiesz?

- O Jezu... Czego ty chcesz ode mnie? - jęknął żałośnie.

- Chcę, żebyś się zachowywał jak prawdziwy mężczyzna, jak ojciec rodziny, żebyś pomyślał, żebyś się zastanowił nad tym, jak my żyjemy, żebyś coś zrobił.

- Co ja mogę zrobić? Złożyłem podanie o mieszkanie i czekam. W końcu mi coś przydzielą. Teraz się uczę, zdam egzamin, podniosę swoje kwalifikacje, będę więcej zarabiał. No, co mogę więcej zrobić?

- Nie wiem. Nie wiem. Wiem tylko, że tak dłużej nie wytrzymam. Ja tu oszaleję w tym jednym pokoju. Oszaleję!

Dotknął jej dłoni.

- Nie denerwuj się, Marysiu. Błagam cię, nie denerwuj się. Wyjeżdżamy jutro na wieś, na - wczasy. Wypoczniesz,

nabierzesz sił.
- A potem znowu wrócę tu, do tych czterech ścian. I znowu to samo. Żeby chociaż mieć całe to mieszkanie dla siebie.
- Słyszałem, że pani Kościelna wybiera się do córki, do Ameryki. Jak pojedzie, to zajmiemy jej pokój. My będziemy tam mieszkali, a tutaj mama z dziećmi.
Spojrzała na niego z pogardą.
- Wierzysz w cuda? Przecież stara chce lecieć samolotem. Mówi, że nie zniosłaby podróży statkiem, że choruje na chorobę morską. A wiesz, ile kosztuje samolot do Ameryki? Córka jej od czasu do czasu przyśle w liście dziesięć dolarów. Wyobrażasz sobie, ile to może potrwać? Jeszcze z dziesięć lat.
- To stara osoba - powiedział Jan. - Skarżyła mi się kiedyś, że choruje na serce.
Spojrzała na niego jakoś dziwnie.
- Chcesz czekać na jej śmierć? Chcesz się cieszyć z tego, że ktoś umrze? Spuścił oczy.
- Tego nie powiedziałem, ale...
- Ale co...?
- No, to są przecież sprawy zupełnie naturalne. Wiadomo, że starzy ludzie umierają. Nie ma co robić z tego powodu tragedii. A jeżeli pokój się zwolni, to my...
- Dosyć! Dosyć! - krzyknęła. - To jest obrzydliwe! Wzruszył ramionami.
- Nie widzę w tym nic obrzydliwego. Jeżeli wyjedzie albo umrze, to oczywiście my zajmiemy jej pokój. Zrozumiałe.
- Ty tylko potrafisz czekać na śmierć staruszki, żeby poprawić sobie egzystencję.. Nie stać cię na nic innego.
Jan chciał coś na to odpowiedzieć, ale nie zdążył. W tej chwili zapukał Jurek.
- A widzisz, mówiłem, że pobudzisz dzieci.
Pani Katarzyna postękując wygramoliła się ze swego polowego łóżka.
- Zaraz, zaraz. Pewnie go trzeba przewinąć. Czego wyssie zawsze musicie kłócić, moi kochani? Czego wy się kłócicie? - Podeszła do dziecięcego łóżeczka i z ogromną wprawą przystąpiła do akcji. Jurka jednak nie zadowoliła najwidoczniej

zmiana pieluszki, bo wrzeszczał coraz głośniej. Zbudzona Dorota zawtórowała bratu. Zaraz potem odezwał się Michaś. Nic mu wprawdzie nie dolegało, ale na wszelki wypadek ryknął i zalał się łzami.

Jan wstał. Wiedział, że to się szybko nie skończy, nie ma co marzyć o dalszej pracy. Popatrzył chwilę na kobiety krzątające się przy dzieciach i poczuł, że dłużej tu nie wytrzyma. Musi wyjść, musi być chociaż przez chwilę sam, nie słuchać krzyków Marii i płaczu dzieci. Bał się, że jeśli tu pozostanie pięć, dziesięć minut, to zacznie łamać meble, demolować mieszkanie, bić swoich najbliższych.

- Pójdę się trochę przejść - powiedział i skoczył ku drzwiom.

Na ulicy owionęło go ciepłe, nagrzane wielogodzinnym słońcem powietrze. Nareszcie cisza, spokój. Nikt nie krzyczy, nikt nie płacze, nikt od niego nic nie chce. Zaczął iść szybko w kierunku Barbakanu myśląc o tym, że małżeństwo jest prawdziwą klęską dla mężczyzny. Mógłby przecież coś osiągnąć, do czegoś w życiu dojść, gdyby nie żona, dzieci, teściowa. Jak tu na to wszystko zarobić? Skąd wziąć pieniądze? Wszędzie był już zadłużony, a ciągle nie wystarczało na najniezbędniejsze potrzeby. Rzucił nawet palenie, nie dlatego, żeby dbał o zdrowie, ale dlatego, żeby nie wydawać pieniędzy. Właściwie co miał z życia? Nic, absolutnie nic. Spał w dusznym, zatłoczonym pokoju, rano wstawał, biegł do pracy, późnym popołudniem wracał, uczył się albo robił jakąś zleconą robotę, a potem znowu spał w dusznym, zatłoczonym pokoju. Tak było codziennie. Próbował się pocieszać, że są ludzie, którym się gorzej powodzi, ale to była słaba pociecha.

Trzeba to wszystko zmienić - myślał, przyśpieszając odruchowo kroku. - Takie życie to męka, męka nie do zniesienia.

Maria miała rację. Musi działać, musi dokonać czegoś, żeby poprawić ich sytuację.

Łatwiej to jednak powiedzieć, aniżeli zrealizować, bo właściwie cóż mógł zrobić? Najpilniejsza była dla nich w tej chwili sprawa mieszkania. Większość awantur wybuchających pomiędzy nim a Marią spowodowana była ciasnotą

mieszkaniową. No, bo rzeczywiście, sześcioro w jednym pokoju, a teraz znowu dziecko w drodze. To nie do wytrzymania. Naczelnik obiecał poprzeć jego sprawę, ale czy poprze? Na pewno ma kogoś bliższego, komu; będzie chciał załatwić mieszkanie w pierwszej kolejności. Nie ma sensu się łudzić. W końcu mieszkanie dostanie, ale kiedy? Najprostsze wyjście z tej sytuacji byłoby, żeby zająć pokój starej Kościelnej. Może jednak wyjedzie do Ameryki? Wyjedzie albo umrze. Tak czy inaczej zwolni pokój. Ale kiedy to nastąpi? Za rok, za dwa, za pięć lat... A on już dłużej czekać nie może, ani miesiąca, ani; tygodnia, ani dnia. Nie może wrócić do tego zatłoczonego, i przesiąkniętego zapachem brudnych pieluch pokoju. Czuł, że to ponad jego siły, że znajduje się o krok od popełnienia czegoś strasznego. Z przerażeniem pomyślał o tych ludziach, którzy w nagłym ataku szału mordowali nożem; lub siekierą swoje rodziny. Spokojni, łagodni, dobrzy i nagle...

Pośpiesznie minął rynek Nowego Miasta i zbiegł na dół schodami ku Wiśle. Miał takie wrażenie, jakby go ktoś gonił. Ogarnął go nagły, paniczny strach. Zaczął biec wzdłuż rzeki, nie zważając na zdziwione spojrzenia mijających go ludzi. Wreszcie zdyszany, zlany potem zwolnił kroku i usiadł na leżących w pobliżu drewnianych klocach. Wtedy posłyszał czyjś głos:

- Bardzo przepraszam, czy nie posiada pan przypadkiem zapałeczki?

Gwałtownym ruchem podniósł głowę. Tuż przy nim stał tłusty mężczyzna o czerwonej twarzy i małych zmętniałych oczach. Mdła woń alkoholu unosząca się w powietrzu była dość intensywna.

Nieznajomy zapalił papierosa i przysiadł obok na kamieniu.

- Ładny wieczór - powiedział,” otaczając się kłębami dymu. - Ciepło. Człowiek się poci, panie szanowny, nawet w nocy. Gorące lato w tym roku. A pan tak na spacerek nad Wisłę sobie wyszedł, co?

- Zaczekał chwilkę, a nie otrzymawszy odpowiedzi, mówił dalej: -Nad Wisłą przyjemnie, wiaterek chłodny, można odetchnąć. Najgorzej to między kamienicami. Kamienie się nagrzeją i człowiek się dusi. A tu nad rzeką przyjemnie.

Człowiek sobie pochodzi, czasem kogoś sympatycznego spotka. Pan pozwoli, że się przedstawię -Waliczek jestem, Lucjan Waliczek.

Jan z obrzydzeniem dotknął mokrej, spoconej dłoni, mruknął: Wierzbicki - i wstał, pragnąc jak najprędzej pozbyć się natręta. Waliczek jednak nie miał zamiaru zrezygnować z towarzystwa.

- Pan chyba także żonaty. Mizernie pan wygląda, bardzo mizernie. Pewnie żona dziurę w brzuchu wierciła i uciekł pan z domu. Niełatwo, panie, z kobitami, oj niełatwo. - Wziął Jana pod rękę i przysunął swą twarz do jego twarzy. Ja pana skądś znam. Nie mogę sobie tylko w żaden sposób przypomnieć, skąd.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy się kiedykolwiek spotkali - powiedział Jan i przyśpieszył kroku.

- Ja mam dobrą pamięć, panie szanowny. Na pewno gdzieś już pana widziałem. Nie jestem taki pijany, na jakiego wyglądam. Owszem, wypiłem coś niecoś, ale orientację jeszcze mam zupełnie dobrą. Pańska twarz nie jest mi obca. Czy pan czasem nie mieszka na Starym Mieście?

- Tak.

- A czy może pan mieszka w tym mieszkaniu, co i pani Kościelna?

- Zgadza się. W tym - mieszkaniu.

- O, widzisz pan! - ucieszył się Waliczek i mocniej wpił się w rękaw marynarki Jana. -Widzisz pan, jednak co głowa, to głowa. Od razu mi się wydawało, że my jesteśmy znajomi. Drzwi mi pan otworzył, jak przyszedłem do pani Kościelnej.

- Możliwe.

- Pogadaliśmy sobie wtedy chwileczkę, ale dzieci płakały i słabo słyszałem, co pan mówił. Dużo pan ma dzieci?

- Troje.

- Spora rodzinka, spora. Ile to trzeba zarobić, żeby dać jeść, ubrać. Nie żarty.

- Oj, tak.

- Co my się tak będziemy nad tą Wisłą przechadzać - powiedział po chwili Waliczek. -Wiesz pan; co? Chodźmy gdzie na piwko. Ja pana zapraszam.

Jan chciał się wykręcić, ale Waliczek nie ustępował.

- Chodź pan! Na co te ceregiele? Posiedzimy, pogadamy sobie trochę, ponarzekamy po staropolsku, to nam się lżej zrobi na duszy. Nie mam jakoś chęci wracać do domu. Moja żona nie w humorze. Po co się narażać? Wrócę, jak już będzie spała. A pan może też miał jakieś nieporozumienie rodzinne? No, mów pan śmiało. Nie ma się czego wstydzić. Ludzka rzecz. W małżeństwie, jak to w małżeństwie, raz człowiek dostanie buzi, a raz po buzi. Dobry kawał, co? Udało mi się. He, he, he. No więc, zapraszam pana na piwko. Pojedziemy sobie na Pragę.

Mam tam znajomego kelnera. Obsłuży nas pierwsza klasa, jak przed wojną. No już, bo szkoda czasu. Pojechali.

Zaprzyjaźniony kelner rzeczywiście wykazywał dużą znajomość swego fachu. Oprócz piwa pojawiła się ćwiartka wyborowej i zimne zakąski, a potem golonka i druga ćwiartka. Jan już miał dobrze w czubie, kiedy Waliczek zaproponował brudzia.

- Buzi, Jasiu, buzi. Polubiłem cię jak rodzonego brata. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Na frasunek dobry trunek.

- Muszę już wracać do domu - powiedział Jan - żona będzie się niepokoić.

- A niech się niepokoi. Kobiecie to dobrze robi, jak się czasem niepokoi. Nie jest taka pewna. Nie przejmuj się, Jasiu. Raz się żyje. Miły chłop z ciebie, tylkoś strasznie wymizerowany. Wyglądasz, jakbyś nie dojadał. Z czego ty właściwie żyjesz?

- Mam posadę.

- A na boku coś kombinujesz?

- Nic nie kombinuję.

- No to niby w jaki sposób, utrzymujesz rodzinę? Żona pracuje?

- Nie.

- W takim razie zupełnie nie rozumiem, jak sobie radzisz.

- No cóż... Ciężko jest. Trzeba się ograniczać. Ale najgorsze to mieszkanie. Nas dwoje, teściowa, troje dzieci i wszyscy w jednym pokoju.

- O rany! Przecież to można zwariować.

- Można.

- Starasz się o mieszkanie?

- Oczywiście, ale to nie takie proste. Liczę trochę na to, że może ta stara Kościelna wyjedzie do Ameryki. Wtedy zajęlibyśmy jej pokój. Już by się zupełnie inaczej żyło.

Waliczek nagle wytrzeźwiał. Mętne przed chwilą, zapłynięte alkoholowymi oparami oczy odzyskały swój zwykły blask. Patrzył uważnie na nowego przyjaciela i nad czymś się zastanawiał. Dla wzmożenia działalności mózgu począł dłubać w zębach zaostrzoną zapałką.

- Myślisz, że ta stara wyjedzie do Ameryki?

- Bo ja wiem? Taki ma zamiar. Podobno ciuła dolary, które jej córka przysyła.

- I za sto lat nie uciuła. Ja tam uważam, że ona do Ameryki nie wyjedzie. Prędzej na Powązki albo na Bródno. To staruszka.

- Staruszka - przytaknął Jan i zamyślił się. Waliczek pociągnął z kufla duży łyk piwa.

- Słuchaj, Jasiu, taki jesteś fajny chłop, że chciałbym ci jakoś pomóc. Przydałoby ci się parę patyków zarobić.

- Pewnie, że by mi się przydało.

- No widzisz. Czuję, że będziemy razem kombinować niezłe interesy.

- Jakie to interesy?

- Powoli. Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. Umówimy się na jutro, to sobie spokojnie pogadamy.

- Jutro nie mogę. Wyjeżdżam z rodziną na urlop.

- Dokąd jedziecie?

- Niedaleko. Pod Sochaczew.

- Ale mógłbyś się wyrwać na jeden dzień do Warszawy, co?

- Pewnie, że bym mógł.

- No to, bracie, jutro odwieziesz rodzinę, a pojutrze przyjedziesz do Warszawy pogadać ze mną o interesach. Spotkamy się tutaj, w tej knajpie. O dwunastej w południe. Przyjedziesz? Jan zawahał się.

- Chciałbym wiedzieć, co to za interesy? Waliczek poklepał go po plecach.

- Nie bój się. Bez ryzyka. Ze mną nie zginiesz. Od razu ci wpadnie trzy, cztery tysiące.

- Cztery tysiące?

- A coś ty sobie wyobrażał, że ja cię dla stu złotych będę ściągał z urlopu? Nie, bracie! Mnie drobne zarobki nie interesują. Zresztą pojutrze porozmawiamy.

Wypili jeszcze po jednym piwie i Waliczek skinął na kelnera.

- Panie Mięciu, pan będzie łaskaw rachuneczek.

Jan wolno wracał do domu. W głowie szumiał mu wypity alkohol i cała rozmowa z tym grubasem wydawała mu się dziwnie nierealna. Chwilami nawet wątpił, czy to mu się w ogóle przydarzyło. Postanowił jednak przyjechać na spotkanie. A może rzeczywiście uda się zdobyć trochę pieniędzy...

Pan Lucjan zaś, spojrzawszy na chmurną twarz żony, powiedział wesoło:

- Zdaje mi się, Anielciu, że wszystko załatwi się na sto dwa.

Rozdział V

Stał w oknie i patrzył na szarą ścianę przeciwległego domu. Czuł ogarniający go bezwład. Duże krople potu spływały po twarzy. Nie chciało mu się nawet sięgnąć do kieszeni, żeby wyjąć chustkę i wytrzeć tę lepką wstrętną ciecz, osiadającą na czole i policzkach.

Z wąskiej ulicy płynęło duszne powietrze, pełne kuchennych zapachów. Z oddali dolatywały krzyki bawiących się dzieci.

Wiedział, że wreszcie będzie się musiał odwrócić i wziąć udział w tym, co się działo za jego plecami. Pragnął odwlec tę chwilę. Dużo dałby za to, żeby go tutaj ktoś zastąpił, żeby nie trzeba było nic mówić, o nic pytać. Zapalił papierosa i wciągnął w płuca dużą porcję dymu. To go trochę uspokoiło. Nie mógł zrozumieć, co mu się stało? Skąd nagle to przewrażliwienie?

Chyba jestem zmęczony - pomyślał i przyjrzał się papierosowi. Był przecież przyzwyczajony do widoku śmierci. Widział już w życiu dużo trupów. Był obecny przy niejednej sekcji zwłok. Więc dlaczego właśnie ta zbrodnia zrobiła na nim takie wrażenie? Nie mógł już dłużej stać bezczynnie i patrzeć na mur. W końcu zwróciłoby to uwagę tamtych. Musiał użyć całej siły woli, aby się odwrócić.

Drobne, wyschnięte ciało ciągle jeszcze rysowało się ciemną plamą na czerwonym dywaniku, który wyglądał jak kałuża krwi. Włosy miała zupełnie białe, bardzo gęste. Na szarej, pomarszczonej twarzy zastygł wyraz trwogi i zdziwienia. Zdawało się, że była zaskoczona niespodziewanym nadejściem, śmierci. Nogi podkurczone. Długa suknia przykrywała niemal całkowicie czarne, zakurzone pantofle. Ręce były podniesione ku szyi w odruchu obronnym. Palce szeroko rozczapierzone.

- Czy można zabrać zwłoki, towarzyszu kapitanie? - spytał sierżant Cieślak.

Sarnecki skinął głową..

- Tak. Można zabrać. - Jego własny głos wydał mi się dziwnie

obcy, niemiły. - Można zabrać - powtórzył, jakby nie miał pewności, czy posłyszano to, co powiedział.

W upalne czerwcowe popołudnie Leokadia Kościelna na zawsze opuściła Stare Miasto!

Przez następnych parę dni kapitan Sarnecki na próżno usiłował rzucić trochę światła na tę ponurą i tajemniczą sprawę. Nie był nowicjuszem i miał już na swoim koncie niejedną rozwiązaną zagadkę kryminalną. Tym razem jednak jego wieloletnie doświadczenie zostało wystawione na ciężką próbę. W żaden sposób nie mógł sobie stworzyć najbardziej nawet fantastycznej teorii uzasadniającej ten zbrodniczy czyn. Motyw zbrodni. Jaki mógł być motyw zbrodni? Rabunek nie wchodził w rachubę. W pokoju staruszki znaleziono obrączkę, dwa pierścionki, zegarek i sto pięćdziesiąt złotych. Pod czerwonym dywanikiem była prymitywna skrytka w podłodze, w której Leokadia Kościelna przechowywała dolary. Pięć banknotów dziesięciodolarowych, jeden dwudziesto - i trzy pięciodolarowe. Razem osiemdziesiąt pięć dolarów. Tego też nikt nie zabrał, chociaż ruchome klepki w posadzce były tak widoczne, że wystarczyło tylko odsunąć dywanik, a nawet stąpnąć na nie nogą, żeby się zorientować w sytuacji. Ekspertyza lekarska wykluczyła mord na tle seksualnym. Więc dlaczego? Dlaczego Leokadia Kościelna została zamordowana? Orzeczenie lekarskie brzmiało: „Zgon nastąpił na skutek zadławienia. Narzędziem zbrodni był najprawdopodobniej szalik albo duża chustka.” Kto i dlaczego? Na to pytanie należało odpowiedzieć, a to nie było proste.

Sarnecki wielokrotnie obejrzał materiał daktyloskopijny, zdjęcia sytuacyjne i protokoły. Na tekturowej teczce napisał drukowanymi literami „Zabójstwo Leokadii Ko, ściernej”. Starannie uporządkował papiery, fotografii i przedmioty znalezione w pokoju starej emerytki. Robi to wszystko po to, żeby czymś się zająć. Wiedział przecież, że te czynności w najmniejszym stopniu nie posuwają sprawy naprzód. Czuł się jak człowiek, który wypad do głębokiej studni i nerwowymi palcami dotyka gładkiej śliskiej cembrowiny. Żadnego punktu zaczepienia. Roz mowy z sąsiadami Leokadii Kościelnej nic mu

nie wyjaśniły. Wszyscy właściwie wydawali jednakową opinie o zmarłej: miła, cicha kobieta, uczynna, zgodna w pożyciu domowym. Nikt nigdy nie słyszał, żeby się z kim kłóciła. Wierzbiccy, którzy mieszkali w tym samym mieszkaniu, nigdy się na nią nie skarżyli. Czy miała wrogów Jakich wrogów mogłaby mieć taka dobra, sympatyczna staruszeczka? A zresztą żyła samotnie, prawie się z łudź mi nie kontaktowała, nie miała przyjaciół, nie była towarzyska. Nikt u niej nie bywał ani ona do nikogo nie chodziła.

Najbardziej elokwentna okazała się pani Stefania do dziecka, która mieszkała z mężem i dziećmi naprzeciwko Wierzbickich.

- Biedna pani Kościelna. Biedactwo. A tak się cieszyła, że niedługo zobaczy córkę. Nie doczekała, bidula Jakie to życie jest niepewne. No, niech pan powie. Dziś człowiek jest, a jutro go już nie ma i koniec.

- Co pani wiadomo o córce pani Kościelnej? - spytał Sarnecki.

- Wiem tylko tyle, że mieszka z mężem w Ameryce i że przysyłała paczki, a nawet i dolary w listach. No, bo inaczej z czego by pani Kościelna żyła? Przecież nie z te emeryturki.

Sarneckiego zastanowił fakt, że nie znaleziono żadnych listów. Wiedział, że starzy ludzie lubią kolekcjonować i przechowywać korespondencję od swoich najbliższych.

- Czy pani odwiedzała panią Kościelną? Skinęła głową.

- Tak. Byłam u niej parę razy. Pokazywała mi fotografię córki i zięcia.

- A czy pokazywała pani może jakiś list?

- Tak. O ile sobie przypominam, czytała mi nawet kawałek listu.

- Czy pani Kościelna przechowywała listy od córki?

- Tak, trzymała je w szafie na półce, przewiązane niebieską wstążeczką.

Sarnecki zapalił papierosa.

Co, u diabła, mogło się stać z tymi listami? - pomyślał.

- Czy pani pozostawała w bardziej zażyłych, przyjacielskich stosunkach z Leokadią Kościelną?

Pani Stefania wzruszyła ramionami.

- Ale skąd. Znałyśmy się tak zwyczajnie po sąsiedzku, ale o

żadnej przyjaźni nie było mowy. Zresztą z panią Kościelną trudno się było przyjaźnić. To była dziwaczka.
- Dlaczego dziwaczka?
- No tak. Ja uważam, że ona wolała koty od ludzi.
- Jakie koty? W jej pokoju nie widziałem ani jednego kota.
- Bo ona tych kotów nie trzymała w mieszkaniu.
- A gdzie?
- Pani Kościelna opiekowała się bezdomnymi kotami, takimi włóczęgami, co to chowają się w piwnicach i sieniach. Dzikie, brudne, nieraz pewnie chore. Nie mogłam wyjść z podziwu, że jej się chce zajmować takim paskudztwem. Z jednym kocurem to nawet do weterynarza jeździła. Oboje z profesorem tak tymi kotami się zajmowali. Po całych dniach w piwnicach siedzieli.
- Z jakim profesorem? - zainteresował się Sarnecki
- A taki też jeden stary wariat. Emeryt. Podobno kiedyś uczył dzieci przyrody. Ale nie wiem, czy to prawda Wszyscy mówią tu o nim: profesor.
- Jak on się nazywa?
- Nawet nie wiem. Ale jak pan chce się z nim zobaczyć, to pan zapyta o profesora. Każde dziecko panu powie. Mieszka tu niedaleko, na Krzywym Kole.

Po rozmowie z panią Bodziecką, Sarnecki raz jeszcze przesłuchał Tomka Nowickiego. Niczego nowego jednał? nie dowiedział się. Chłopak powtórzył niemal dosłownie swoje pierwsze zeznanie. Wrócił do domu ze szkoły. Mama kazała mu zanieść jedzenie dla kotów pani Kościelnej Trochę flaków z poprzedniego dnia, okrawki mięsa i suche pieczywo. Zawinął to wszystko w gazetę i pobiegł nad Wąski Dunaj. Dzwonił, stukał, ale nikt mu nie otwierał Pomyślał, że pani Kościelna pewnie karmi koty w piwnicy i już miał wrócić do domu, kiedy wydało mu się, że w mieszkaniu ktoś się poruszył. Zadzwonił jeszcze raz a potem nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Po szedł do pokoju pani Kościelnej i zobaczył ją leżącą ni podłodze. Bardzo się przestraszył i zawołał tę panią, która mieszka naprzeciwko. Potem zlecieli się ludzie, ktoś zatelefonował po pogotowie, przyjechała milicja.
- Czy często przynosiłeś pani Kościelnej pożywienie dla kotów?

- spytał Sarnecki.

- Niezbyt często. Kilka razy przyniosłem.

- A czy pomagałeś pani Kościelnej karmić koty?

- Bardzo rzadko. Nie mam czasu. Muszę się uczyć. Zresztą wolę z chłopakami grać w piłkę, jak siedzieć w piwnicy i karmić koty. Pan profesor zawsze pomagał pani Kościelnej.

Sarnecki uważnie przyjrzał się bystrej, inteligentnej twarzy chłopaka.

- Powiedz mi jeszcze taką rzecz. Czy jak zobaczyłeś, że pani Kościelna leży na podłodze, to zajrzałeś do tego drugiego pokoju?

- Tak. Chciałem kogoś zawołać na pomoc. Nie wiedziałem, że tamci państwo wyjechali.

- A w tym drugim pokoju nie było nikogo? - Nikogo.

- A czy zaglądałeś do łazienki i do kuchni?

- Nie. Nie zaglądałem. A po co?

- Myślałem, że może chciałeś wziąć trochę wody, żeby cucić panią Kościelną.

Tomek potrząsnął głową.

- O nie, proszę pana, za bardzo się bałem. Pani Kościelna tak dziwnie wyglądała. Przestraszyłem się.

- Mówiłeś, że ci się zdawało, że słyszałeś jakiś ruch w mieszkaniu.

- Musiało mi się to tylko zdawać, bo nie było nikogo oprócz pani Kościelnej, która się przecież nie mogła poruszyć.

- Tak. Pani Kościelna nie mogła się poruszyć. Sarnecki przeprowadzał niekończące się rozmowy z ludźmi, którzy mogli coś powiedzieć o Leokadii Kościelnej, którzy znali ją osobiście lub tylko z widzenia. Wszyscy mniej więcej mówili to samo, że miła, że dobra, że cicha, że wielka przyjaciółka zwierząt. Nikt nie wspominał o cechach ujemnych, które mogłyby ewentualnie być przyczyną jakiegoś antagonizmu. Młoda lekarka, Ewa Kortowska, powiedziała wprost:

- Wiem doskonale, o co panu chodzi, panie kapitanie Chce pan znaleźć jakiś rys charakteru tej biednej staruszki, który pomógłby panu stworzyć teorię dotyczącą motywu zbrodni. Otóż mogę pana zapewnić, że choćby par

przeprowadził wywiady z tysiącem osób, nic pan takiej go nie znajdzie. To była naprawdę cicha, spokojna kobiecina, która nikomu nie zawadzała, nikomu nie wchodziła w drogę, z nikim się nie kłóciła, nie procesowała. Bardzo mało się udzielała. Była skryta, nietowarzyska, niekomunikatywna. Jedyną jej pasją było karmienie na wpół dzikich, bezpańskich kotów, chroniących się po piwnicach a jedynym jej marzeniem był wyjazd do córki, do Ameryki.

- Czy rozmawiała pani z nią kiedyś na ten temat? - spytał Sarnecki.

- Tak. Jestem lekarką rejonową i parokrotnie byłam wzywana do pani Kościelnej. Grypa, o ile sobie przypominam, a raz zdaje się coś z sercem. Kiedy człowiek jest chory, często bywa skłonny do zwierzeń. Pani Kościelna prosiła mnie, żebym ją dobrze leczyła, bo chce dożyć tej chwili, żeby pojechać do córki, której nie widziała od lat

- Pamiętam, że mi wtedy pokazała nawet fotografię córki i zięcia. Mówiła, że zbiera dolary na bilet samolotowy.

- Nie chciała popłynąć „Batorym"?

- Nie. Twierdziła, że bardzo źle znosi podróż statkiem że cierpi na morską chorobę. Ja także odradzałam jej podróż „Batorym". Przy nie nadzwyczajnym stanie serca to mogło być niebezpieczne.

- Okazuje się, że siedzenie w domu także może być niebezpieczne - powiedział Sarnecki.

- Straszna historia. Straszna i zupełnie niezrozumiała. Czy sądzi pan, kapitanie, że uda się panu wykryć tego potwornego zbrodniarza?

Sarnecki westchnął.

- No cóż... zrobię, co będzie w mojej mocy. Obawiam się jednak, że może to być jedna z tych spraw, które nie wykryte wędrują ad acta. Dotychczas nie zdołałem sobie stworzyć najbardziej nawet fantastycznej hipotezy, uzasadniającej popełnienie morderstwa. Nie złodziej, nie zboczeniec, nie porachunki osobiste. Więc kto? Kto i dlaczego? Jeżeli nie możemy się nawet domyślić motywu zbrodni, to właściwie nie ma sposobu dojść do sprawcy. Dlatego też zabieram ludziom

czas, między innymi i pani, usiłując dowiedzieć się czegoś, co mogłoby mnie naprowadzić na najniklejszy bodaj ślad.

- I niczego takiego nie dowiedział się pan?

- Niestety nie.

Nie było to zupełnie ścisłe. Sarnecki dowiedział się jednak czegoś, co zaczynało zaprzątać jego umysł. Listy. Ktoś ukradł listy, które Leokadia Kościelna otrzymywała od córki. Zostawił pieniądze, zegarek i biżuterię, a listy ukradł. Musiało być w nich coś niezwykle ważnego, jeżeli, jeżeli zdecydował się nawet zabić. Mężczyzna czy kobieta? Raczej mężczyzna. Kobiety rzadko bywają dusiciel kami. Na to trzeba jednak dość dużo siły. Chociaż w danym wypadku... Leokadia Kościelna była wątłą, drobną staruszką. Zaciśnięcie na szyi szalika czy większej chustki nie stanowiło problemu nawet dla niezbyt wysportowanej kobiety. Narzędzie zbrodni, to znaczy ten szalik czy chustka, było prawdopodobnie pochodzenia zagranicznego. Na sukni zamordowanej znaleziono nitkę koloru ciemno-fioletowego. Dokładne badania laboratoryjne wykazały, że tego rodzaju nici nie są produkowane w Polsce.

Och, gdyby tak po tej nitce do kłębka... - myślał Sarnecki.

Na razie jednak najbardziej konkretnym tropem wydały mu się skradzione listy. Co mogły zawierać? Może kogoś kompromitowały? Ale czyż to dostateczny powód do morderstwa? Czy nie prościej było je wykraść, korzystając z nieobecności staruszki? Tym bardziej, że wszystko wskazywało na to, że zbrodniarz wiedział, gdzie Leokadii Kościelna chowa listy od córki. W pokoju zastano wzorowy, a nawet pedantyczny porządek. Rzeczy nie poprze wracane. Nie było widać, żeby ktoś czegoś szukał w pośpiechu. Sarnecki na próżno głowił się nad tym, co mogli zawierać listy. Cóż córka, mieszkająca w Ameryce, maże pisać do staruszki matki? Postanowił wybadać w tę sprawie najbliższego człowieka Leokadii Kościelnej, Seweryna Podsiadłego, zwanego na Starym Mieście profesorem.

Siedział pod kolumną Zygmunta i karmił gołębie. Sarnecki przez dłuższą chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Doszedł do wniosku, że ten kościsty starzec o suchej twarzy ascety mógł

rzeczywiście kiedyś zajmować się pracą pedagogiczną. Wyglądał trochę na kaznodzieję, a trochę na starogreckiego mędrca. Miał chyba około osiemdziesiątki, ale równie dobrze mógł mieć i więcej. Na« leżał do tego typu starych ludzi, którzy starzeją się do pewnego momentu, a potem już lata całe wyglądają tal samo. Zupełnie łysa głowa pokryta była żółtawą skórą przypominającą zabytkowy pergamin. Nie golone od kilki dni policzki zarosła siwa szczecina. Szare, głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami oczy patrzyły na świat spokojnie, ale surowo. Czasem w tych oczach pojawiał się jeszcze blask dawnego życia i temperamentu, ale trwało to ułamek sekundy. Wtedy twarz starca jaśniała przez moment młodzieńczą werwą, jakby pod wpływem czarodziejskiego eliksiru. Potem znowu w szarych oczach był spokój i rezygnacja.

- Miłe gołąbki - powiedział Sarnecki. A nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony przyjaciela zwierząt, dodał: - Gorąco. Upalne lato w tym roku.

Seweryn Podsiadły milczał. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby podnieść głowę i spojrzeć na człowieka, który chciał nawiązać z nim rozmowę.

Sarnecki jednak nie dawał za wygraną. Wiedział, że ludzie, którzy przekroczyli pewien wiek, bywają mało komunikatywni. Usiadł obok pod kolumną i wyjął papierośnicę.

- A może pan zapali? - zaproponował uprzejmie. Napotkał twarde, niechętne spojrzenie.

- Czy pan ma do mnie jakiś interes? - spytał Seweryn Podsiadły i znowu odwrócił twarz ku gołębiom.

Sarnecki trochę się speszył. Inaczej wyobrażał sobie tę rozmowę. Nie wiadomo dlaczego przypuszczał, że będzie miał do czynienia z miłym, jowialnym staruszkiem, opłakującym tragiczny zgon swojej przyjaciółki. Tymczasem bez powodzenia usiłował nawiązać kontakt z człowiekiem, którego surowa, niezmiernie sugestywna twarz onieśmielała go. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu zmierzać do celu okrężną drogą. Beztroska pogawędka wydała mu się w tym wypadku czymś zupełnie nierealnym.

- Jestem oficerem milicji i prowadzę śledztwo w sprawie

zabójstwa Leokadii Kościelnej - powiedział, zapalając papierosa. Kiedy postawił sprawę jasno, od razu po czuł się pewniej.

- Tak przypuszczałem - mruknął Podsiadły i rzuci gołębiom nową garść okruchów.

- Z informacji, które zebrałem, wynika - mówił da lej Sarnecki - że pan pozostawał w przyjacielskich sto sunkach z Leokadią Kościelną.

- Ludzie lubią przesadzać. W moim wieku już z ni kim nie pozostaje się w przyjacielskich stosunkach. Sa motnie czeka się na śmierć.

- Ale jednak często pan się widywał z Leokadią Kościelną - nastawał Sarnecki.

- Owszem. „Widywałem się.

- Mówiono mi, że wspólnie opiekowaliście się zwierzętami, a szczególnie bezdomnymi kotami.

- Czy sądzi pan, że nie należy się opiekować bezdomnymi kotami?

- Ależ ja nic takiego nie powiedziałem! - wykrzyknął Sarnecki. - Przeciwnie. Uważam, że to szlachetna; godna najwyższego uznania działalność. Biedne, bezdomne, głodne zwierzęta. Proszę mi nie brać za złe, że wypytuję pana o pewne sprawy. Rozumiem, że pan musi być wstrząśnięty tragiczną śmiercią Leokadii Kościelnej.

Podsiadły spojrzał na mówiącego.

- Tak, to jedno z moich najcięższych przeżyć. - Wyjął z kieszeni kromkę chleba i zaczął ją nerwowo drobić długimi, wyschniętymi palcami.

Zapanowało milczenie. Sarnecki rozumiał doskonale, że jeśli chce się czegoś dowiedzieć od tego ponurego starca musi działać ostrożnie. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się znowu.

Widzi pan, ja prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Leokadii Kościelnej.

- Już mi pan to zakomunikował na początku naszej rozmowy - powiedział z pewnym zniecierpliwieniem w głosie stary emeryt.

- Prowadzę śledztwo w tej sprawie - mówił dalej nie zrażony Sarnecki - i pragnę zebrać jak najwięcej informacji dotyczących tragicznie zmarłej Leokadii Kościelnej. Myślę, że i panu zależy na tym, żeby morderca poniósł zasłużoną karę.

Podsiadły wolno potrząsnął łysą głową.

- To już niczego nie zmieni, tak jak nie można zmienić natury ludzkiej. Czy pan wierzy w Boga?

- Nie wydaje mi się, żebym wierzył w Boga - powiedział ostrożnie Sarnecki.

Starzec rzucił gołębiom pokruszony chleb i wyprostował się.

- Ja kiedyś wierzyłem w Boga, ale to było dawno. Zapewne to pana dziwi. Przeważnie młodzi nie wierzą w Boga, a starzy wierzą. Im bliżej śmierci, tym człowiek zaczyna się bardziej bać i szuka jakiegoś oparcia, jakiejś pociechy. Zaczyna chodzić do kościoła i stara się wierzyć w Boga i w życie pozagrobowe. Ale ja nie. Im dłużej szedłem w życie, tym bardziej traciłem wiarę w Boga. Patrzyłem na te wszystkie łajdactwa, na te wszystkie zbrodnie i traciłem wiarę. To niemożliwe, żeby istniał Bóg i żeby się godził na to, co się tutaj dzieje.

- Ma pan rację - zgodził się skwapliwie Sarnecki. Filozoficzne rozważania zaczynały go trochę niepokoić. Bał się, że potem trudno będzie starego nakierować na właściwy temat.

- Nie mam już chleba dla gołębi - powiedział z tragicznym patosem Podsiadły, przeszukując kieszenie wy tartej marynarki. - Nie mam chleba dla gołębi. Wszystko się kończy, i dobre, i złe. Ale zawsze szybciej kończą się rzeczy dobre. Zło trwa dłużej, jest silniejsze, potężniejsze A wie pan, dlaczego? Dlatego, że ludzie są źli. „Historii ludzkości wydaje mi się czasem podobną do snu drapieżnego zwierzęcia”. Wie pan, czyje to słowa? Fryderyk Chrystian Hebbel. Słyszał pan to nazwisko?

- Nie, nie słyszałem.

- Szkoda. To był bardzo mądry człowiek. Czasem pojawiają się na świecie ludzie mądrzy, tylko że nikt ich nie słucha, nikt nie zwraca na nich uwagi.

Sarnecki zaczął się niecierpliwić. Nie miał najmniejsze go zamiaru wdawać się z tym dziwakiem w filozoficzna dyskusje.

Zapalił nowego papierosa i powiedział:
- Chciałbym z panem porozmawiać na temat pani Kościelnej.
Starzec zwrócił ku niemu smutną, pooraną zmarszczkami twarz.
- Jest pan niezwykle natrętnym człowiekiem. W te; chwili przypomina mi się jeszcze jedno powiedzenie Hebbla: „Gdy się pozbywam złego towarzystwa, odczuwam, jak dobre jest moje własne”. Nie mam już chleba dla gołębi. Siedzenie pod kolumną Zygmunta staje się wobec tego bezprzedmiotowe. Do widzenia panu. - Wstał i szerokim, zdecydowanym krokiem poszedł w kierunku Świętojańskiej.
Sarnecki wzruszył ramionami.
- Wariat - mruknął i zgasił papierosa. - Stary wariat. - Był niezadowolony z siebie. Nie umiał najwyraźniej przeprowadzić tej rozmowy, na którą tak bardzo liczył. Nie dowiedział się niczego i bardzo wątpliwe, żeby kiedykolwiek zdołał wyciągnąć z Seweryna Podsiadłego jakieś wiadomości. Pokpił sprawę. Za ostro, za brutalnie zabrał się do rzeczy.
Taki facet wymaga koronkowego rozpracowania - myślał i czuł, że ogarnia go bezsilna wściekłość. - A ja tak zaraz kawę na ławę... Niech to wszyscy diabli. Należało przecież wziąć pod uwagę, że staruszek musi się czuć poważnie załamany po śmierci swej przyjaciółki. Trzeba było podejść do niego delikatniej, stracić nawet ze dwa dni. No, trudno. Teraz pozostała tylko poczta.
Kierownik urzędu pocztowego ze zdziwieniem powitał przedstawiciela władzy. Tego rodzaju wizyta zawsze napawa pewnym niepokojem, choćby człowiek miał zupełnie czyste sumienie.
- Czym mogę służyć, panie kapitanie?
- Przede wszystkim chciałbym prosić, żeby nasza rozmowa miała charakter ściśle poufny.
- To się samo przez się rozumie. Czy są może jakieś zarzuty pod adresem naszego urzędu?
- Nie, nie, nie o to chodzi. Chciałbym się od pana dowiedzieć czegoś na temat Leokadii Kościelnej.
- Chodzi o tę staruszkę, która została zamordowana?

- Właśnie. To była wasza klientka.
- Co pan kapitan chciałby wiedzieć?
- Chciałbym zebrać trochę informacji odnośnie korespondencji otrzymywanej przez Leokadię Kościelną.
- Zaraz to załatwimy.

Właściwie to nie wniosło nic nowego. Informacje otrzymane na poczcie pokrywały się z tym, co mówili sąsiedzi Leokadii Kościelnej. Córka przysyłała z Ameryki paczki, a od czasu do czasu listy lotnicze, zazwyczaj polecone.

Bardzo możliwe, że w listach były dolary. Poczta nie kontroluje korespondencji.

Sarnecki podziękował i wyciągnął rękę na pożegnana gdy nagle kierownik urzędu pocztowego stuknął się palcem w czoło.

- O, psiakość, byłbym zupełnie zapomniał. Przecie chyba wczoraj przyszedł list z Ameryki do tej staruszki Nawet zastanawialiśmy się tutaj, co z nim zrobić. Nie było adresu nadawcy, a że wiedzieliśmy, że pani Kościelna nie żyje...
- Niech mi pan poda ten list - powiedział pośpiesznie Sarnecki. - To może być interesujące.

I rzeczywiście było interesujące.

Kochana Mamusiu, pisała, córka Leokadii Kościelnej list otrzymałam. Pretensje Mamusi są nie uzasadnione. Ja tak jak zawsze, napisałam do Mamusi na początku ubiegłego miesiąca i przesłałam w liście dwadzieścia dolarów Dlaczego Mamusia od dłuższego czasu nie potwierdza odbioru pieniędzy? W ciągu ostatnich kilku miesięcy przesiałam chyba ponad sto dolarów i ani słowem Mamusie nie napisała, czy Mamusia je otrzymała. Muszę to wiedzieć, bo jeżeli pieniądze giną na poczcie tutaj u nas albo w Warszawie, to będę to jakoś inaczej załatwiała. Nie md sensu, żeby ktoś zabierał regularnie dolary, które ja Mamusi wysyłam. Niestety Edward ostatnio zrobił parę niekorzystnych transakcji, na których stracił większe sumy. Dlatego też, przynajmniej na razie, nie jestem w stanie zapłacić za przejazd Mamusi. Mam nadzieję jednak, że nasza sytuacja finansowa ulegnie poprawie i wtedy będę chciała sprowadzić Mamusię do nas. Czekam na wiadomość. Niech Mamusia koniecznie napisze, co się stało z tymi dolarami, które

przysłałam. Całuję Mamusię bardzo serdecznie, ucałowania od Edwarda załączam, Joanna.

Sarnecki skończył czytać i wsunął list do kieszeni.

- Można by sprawdzić, czy w zeszłym miesiącu przyszedł jakiś list do Leokadii Kościelnej? List lotniczy z Ameryki?

- Polecony?

- Przypuszczalnie tak.

- Zaraz przejrzymy książkę doręczeń.

Okazało się, że dziewiątego maja Leokadia Kościelna pokwitowała odbiór poleconego listu z Ameryki.

- Kto jest doręczycielem w tej dzielnicy? Kierownik niespokojnie poruszył się na krześle.

- Michalak. Nie przypuszcza pan chyba, panie kapitanie...

Sarnecki przerwał mu ruchem ręki.

- Nic nie przypuszczam. Spytałem ot tak, z prostej ciekawości. Prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania Kościelnej i staram się o niej czegoś dowiedzieć. Każdy, kto miał jakiś kontakt z tą nieszczęśliwą staruszką, może stać się dla mnie źródłem cennych informacji. Listonosz to przecież nieraz tak jak przyjaciel domu. Niejedno wie o swoich klientach. Niech mi pan powie, czy Michalak od dawna obsługuje ten rejon?

- Dokładnie nie pamiętam. Wydaje mi się jednak, że chyba już około dwóch lat.

- To młody człowiek?

- Tak. Młody, przystojny chłopak. Ma tu powodzenie u naszych panienek.

- A jaka jest pańska opinia o nim?

Kierownik urzędu pocztowego przyjrzał się uważniej mówiącemu.

- No cóż... panie kapitanie... Właściwie nie mam powodu, żeby na niego narzekać. Czasem spóźnia się do pracy, ale raczej rzadko, przeważnie w poniedziałki. Na ogół jednak to dobry pracownik, stara się. Zresztą pochodzi z zasłużonej rodziny pocztowców. Jego dziadek był listonoszem, jego ojciec jest listonoszem.

- Także u was?

- Nie. Na Woli. Niezwykłej uczciwości człowiek.

Dwukrotnie już odznaczony za ofiarną pracę.

- Czy mógłbym przejrzeć książki doręczeń z ostatnich kilku miesięcy?

Pobyt w urzędzie pocztowym przedłużył się. Dopiero około szóstej Sarnecki pożegnał uprzejmego kierownika, prosząc go o zachowanie ścisłej dyskrecji.

- Niech pan powie, że to była kontrola z dyrekcji i niech pan nie rozmawia na żadne tematy z, tym Michalakiem.

Następne dwa dni upłynęły Sarneckiemu pod znakiem wzmożonej aktywności. Parokrotnie odwiedził Zakład Kryminalistyki, porozumiał się z ekspertami, w rzeczach Leokadii Kościelnej odnalazł notes z jej notatkami i jeszcze raz spróbował porozmawiać z Sewerynem Podsiadłym. Rozmowa ta nie dała jednak żadnych konkretnych rezultatów. Stary profesor znowu zaczął filozofować, mówił o Bogu, o niesprawiedliwym urządzeniu świata, o znikomości ludzkiego istnienia, o manowcach i bezdrożach, na które zeszła ludzka myśl. Sypał przy tym cytatami wielkich myślicieli jak z rękawa, poczynając od Platona i Arystotelesa, a kończąc na Marksie, Engelsie i Russellu. Sarnecki stracił blisko trzy godziny, nabawił się bólu głowy, ale niczego ciekawego o Leokadii Kościelnej nie dowiedział się. Skąpe wiadomości, których mu użyczył pesymistycznie do świata i życia nastawiony starzec, pokrywały się z tym, co już słyszał od innych mieszkańców Starego Miasta. Seweryn Podsiadły nie chciał mówić o swej tragicznie zmarłej przyjaciółce. Wspomnienie o tym, co się stało, było dla niego zbyt bolesne.

Mimo że nie wszystko szło po jego myśli, Sarneckiemu znacznie humor się poprawił. Wyniki badań laboratoryjnych, przeprowadzonych w Zakładzie Kryminalistyki, dostarczyły mu ciekawego materiału, który pozwalał już ruszyć sprawę z martwego punktu. Odciski palców starannie zebrane w pokoju Kościelnej także dawały do myślenia. I wreszcie nadszedł moment, kiedy kapitan uznał, że jest przygotowany do rozmowy z Michalakiem.

Nie umiał opanować zdenerwowania. Był blady, ręce mu się trzęsły, co chwila z trudem przełykał ślinę, tak jakby mu coś

uwięzło w gardle.

Sarnecki przez chwilę w milczeniu obserwował listonosza.

- Dlaczego pan się tak denerwuje? - spytał. Chłopak spróbował się uśmiechnąć, ale tylko skrzywił się niewyraźnie.

- Nie, właściwie wcale się nie denerwuję. Dlaczegóż miałbym się denerwować. Po prostu nie jestem przyzwyczajony do rozmów z milicją. Może dlatego...

- Nic nie szkodzi. Przyzwyczaicie się. Usiądźcie wygodnie, bo być może, że sobie dłużej porozmawiamy. Słyszeliście o Leokadii Kościelnej?

- To ta staruszka, która...

- ...która została zamordowana - dokończył Sarnecki. - Tak, właśnie o nią chodzi. Zdaje się, że to wy doręczaliście jej pocztę?

- To mój rejon.

- Czy przypominacie sobie, jakiego rodzaju listy otrzymywała Leokadia Kościelna?

- Zdaje się, że przeważnie lotnicze, z Ameryki.

- Czasem bywały i polecone.

- Chyba tak.

- Czy te polecone listy zawsze kwitowała Leokadia Kościelna?

- Tak, oczywiście.

- A czy nie zdarzało się, że czasem kwitował ktoś inny, na przykład ktoś z rodziny, która mieszka w tym samym lokalu?

Chłopak unikał spojrzenia Sarneckiego. Odwrócił twarz w kierunku stojącej w rogu pokoju kasy ogniotrwałej.

- Może. Nie pamiętam. Czasem się tak robi, że ktoś inny kwituje.

- To były koperty lotnicze?

- Tak.

- A co było w tych kopertach?

- Jak to co? Listy.

- Czy tylko listy, czy może także i dolary? Michalak zbladł gwałtownie.

- Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Przecież nie zaglądałem do kopert.

- Jesteście tego zupełnie pewni?

- Jak pan może mnie podejrzewać?

- Mogę. - Głos Sarneckiego stał się nagle twardy, nieprzyjemny. - Proponuję, żebyśmy się przestali bawić w ciuciubabkę. Powiedzcie mi od razu, ile ukradliście tych dolarów? Sto? Dwieście?

Chłopak zerwał się z miejsca.

- Ja nie ukradłem! Ja nie ukradłem! Dlaczego pan przypuszcza...?

- Siadajcie - Sarnecki wyjął z szuflady biurka książki doręczeń, które zabrał z poczty.

- Poznajecie te zeszyty? Tak, to te, w których kwituje się odbiór listów poleconych. Czy wiecie, że ekspertyza wykazała, iż cztery podpisy Leokadii Kościelnej są podrobione i to podrobione w sposób bardzo nieudolny?

- Może... może to ktoś... ktoś z tych ludzi, którzy tam mieszkają - bąknął Michalak.

- Można by tak przypuszczać - mówił spokojnie Sarnecki. - Jest to jednak niezbyt prawdopodobne. Ktoś, kto kwituje odbiór cudzego listu poleconego, nie stara się podrobić podpisu nadawcy, a tu te usiłowania są bardzo wyraźne. Poza tym fachowcy z Zakładu Kryminalistyki twierdzą, że podpisy Leokadii Kościelnej zostały podrobione waszą ręką.

Chłopak siedział blady i milczący. Nie znajdował żadnego argumentu. Czuł zimną pustkę w głowie. Nie był zdolny zebrać myśli, bronić się.

- Jak dawno wynajmujecie pokój u tej Kozłowskiej? - padło niespodziewane pytanie.

Wiedzieli... wiedzieli wszystko. Nie miało sensu zaprzeczać.

- Od jak dawna wynajmujecie pokój u Eugenii Kozłowskiej? - powtórzył Sarnecki.

- Nie pamiętam... Kilka miesięcy.

- Wy mieszkacie z ojcem na Woli, prawda?

- Tak. Na Płockiej.

- A pokój u Kozłowskiej wynajmowaliście po to, żeby się spotykać z dziewczyną?

Michalak w milczeniu skinął głową.

- Jak się nazywa ta dziewczyna? Gdzie mieszka? - Tego nie

powiem.

Sarnecki wzruszył ramionami.

- Utrudniacie mi tylko robotę, ale mniejsza z tym. I tak ją znajdziemy. Mamy jej zdjęcie.

- Zdjęcie?...

- Tak. Od paru dni jesteście pod ścisłą obserwacją. W sobotę po południu widziano was z tą dziewczyną. Spacerowaliście w Alejach Ujazdowskich. Potem poszliście na kolację do „Cristalu", a wieczorem pojechaliście taksówką do pani Kozłowskiej. Widzicie, że informacje mam raczej dokładne. No więc jak? Może mi powiecie, jak to było z tymi
dolarami? Taka ładna dziewczyna kosztuje. Restauracje... taksówki... prezenciki... Z pensji listonosza na to wszystko chyba nie wystarcza. No, słucham.

- Czego pan chce ode mnie? - jęknął chłopak. Gardło miał ściśnięte. Był bliski płaczu. Ogarniała go rozpacz, ale jednocześnie czuł coś w rodzaju ulgi. Dręczący go od; dawna niepokój nabrał konkretnych kształtów. Stało się. Już teraz nic gorszego stać się nie może.

- A więc... - mówił dalej Sarnecki, odczekawszy chwilę - żeby mieć na to wszystko pieniądze, zabieraliście z listów dolary, które sprzedawaliście na czarnym rynku. Trwało to dłuższy czas. Pewnie coś około roku, a może nawet dłużej. W końcu pojawiła się obawa, że wszystko to wyjdzie na jaw. Leokadia Kościelna mogła pojechać do córki albo jej córka mogła przyjechać tutaj. Wreszcie ktoś z waszych kolegów mógł doręczyć list, z którego wynikałoby, iż pani Kościelna od dłuższego czasu nie potwierdza odbioru dolarów. Trzeba się było jakoś zabezpieczyć przed ewentualną wpadką. A ponieważ, jak wiadomo, sekretu najlepiej dochowuj ą umarli...

- Jezus Maria! - Chłopak zbladł strasznie. Zdawało się, że za chwilę zemdleje. Kurczowo wpił się palcami w blat biurka. - Pan myśli, że ja... Pan mnie podejrzewa?! Przysięgam, że ja jej nie zabiłem! Ja jej nie zabiłem! Nie zabiłem!! Jezu!

- Uspokój się - powiedział energicznie Sarnecki. - Uspokój się i odpowiadaj na pytania.

- Nie zabiłem. Nie zabiłem - powtarzał półprzytomnie. -

Pan mi musi uwierzyć...
Pan...
- Czy byłeś kiedykolwiek w pokoju Leokadii Kościelnej?
- Nie, nigdy. Zawsze wszystko załatwiałem w przedpokoju.
- Na pewno nigdy nie byłeś u niej w pokoju?
- Na pewno. Nigdy.
- To ciekawe - Sarnecki otworzył leżącą przed nim na biurku tekturową teczkę i wyjął z niej powiększone fotografie linii papilarnych. - A czy ty wiesz, przyjacielu, że w pokoju Leokadii Kościelnej znaleziono odciski twoich palców. No i co ty na to?
- To nieprawda. Pan chce mnie wciągnąć w pułapkę.
- Nie mam najmniejszego zamiaru. Odciski twoich palców są niezwykle wyraźne. Ciekawe, czegoś mógł szukać w szafie Leokadii Kościelnej?
- W szafie?
- Tak. Wyobraź sobie, że wewnątrz szafy były odciski twoich palców. Nie ulega żadnej wątpliwości. Może mi powiesz, czego tam szukałeś?
- Niczego. Jestem niewinny. Ja jej nie zabiłem. Sarnecki spokojnie zapalił papierosa i przyjrzał się zmienionej twarzy chłopaka.
- Więc ja ci powiem. W szafie Kościelnej szukałeś listów od jej córki. Kradłeś dolary, a potem zamordowałeś staruszkę i zabrałeś listy, które cię mogły skompromitować. Do tej sprawy jeszcze wrócimy. Musisz mi dokładnie wyjaśnić, dlaczego zależało ci na tych listach?

Rozdział VI

Downnar miał wolny dzień. Następował on zazwyczaj pc zakończeniu dochodzenia w jakiejś, sprawie. Czuł się wte dy beztroski, swobodny, nic nie zaprzątało jego umysłu żadne skomplikowane problemy nie spędzały mu snu z po wiek. Gdzieś daleko za sobą zostawiał rozszyfrowaną zagadkę kryminalną i starał się o niej jak najprędzej zapomnieć. Twierdził, że nie ma nic gorszego jak obciążenie pamięci sprawami już przebrzmiałymi. „Balast przeszłoś ci", mawiał w chwilach filozoficznych nastrojów, „często przeszkadza ludziom poruszać się swobodnie w teraźniejszości. Należy się go pozbyć, pozostawiając jedynie małą szkatułkę, zawierającą cenne doświadczenia".

Obudził się około dziewiątej z rozkosznym uczuciem, że ma dla siebie cały dzień. Żadnych spotkań, żadnych rozmów, żadnych przesłuchań. Nie musi niczego udawać, na nikogo zastawiać sieci, nie musi wysilać się na tak zwane „podchwytliwe" pytania. Całkowity relaks. Pojedzie nad Wisłę do klubu, poleży na piasku, opali się, zje obiad, a pc południu zadzwoni do Teresy. Może pójdą na jakiś film albo do teatru. Już bardzo dawno nie był w teatrze.

Wstał, podszedł do okna i odsunął zasłonę. Znowu upalny dzień wypełniony słońcem. Nagrzane gęste powietrze leniwie wsączało się do pokoju.

Będzie deszcz - pomyślał Downar, spoglądając na niepokojące chmury, które zaczynały wałęsać się ponad dachami domów. - Trzeba się śpieszyć z tą plażą.

Ogolił się, wykąpał i właśnie zaczynał przygotowywać śniadanie, kiedy w przedpokoju rozległ się dzwonek. Zdziwiony odwrócił głowę. Nie spodziewał się nikogo. Dozorca? Inkasent z elektrowni? Listonosz? A może żebrak? Odsunął zasuwę i przekręcił klucz w zamku. W drzwiach zobaczył starszego, szpakowatego mężczyznę ze zwisającymi melancholijnie

długimi wąsami.
- Dzień dobry. Bardzo przepraszam. Pan major pewnie mnie nie poznaje?
Downar zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć. Ta sympatyczna, wąsata twarz nie była mu obca. Gdzieś już widział tego człowieka, ale gdzie?
- My się chyba znamy... - powiedział z niewyraźnym uśmiechem.
- Listy panu majorowi przynosiłem, pocztę.
- Ach, to pan Michalak! Dzień dobry. Proszę, niech pan wejdzie. Nie poznałem pana w pierwszej chwili w tym cywilnym ubraniu.
- Mam dzisiaj wolny dzień. Downar podsunął mu krzesło.
- Niech pan siada, panie Józefie. Tak pan nagle zniknął z naszego terenu.
- Prosiłem, żeby mnie przenieśli na Wolę. Mieszkam na Płockiej. Bliżej mam do pracy. A pan major był akurat na urlopie i tak jakoś wyszło nieładnie, że się nawet nie pożegnałem.
- Napije się pan ze mną herbatki? - spytał Downar, spoglądając na smutną, zatroskaną twarz starego listonosza. Nie czekając na odpowiedź poszedł po drugą szklankę i ustawił na stoliku chleb, dżem, ser i wędlinę.
- Proszę, niech się pan częstuje.
Michalak był najwyraźniej zażenowany.
- Dziękuję. Ja po śniadaniu.
- Nie szkodzi, nie szkodzi. Właśnie czas na drugi śniadanie. No i co tam u pana słychać, panie Józefie?
- Niedobrze słychać - westchnął Michalak.
- No, cóż takiego? Choruje pan?
- Nie o chorobę się rozchodzi. Zdrowie, chwała Bogi dopisuje mi możliwie. Okropne mam zmartwienie z Zbyszkiem, z moim synem.
- A co się stało?
- Siedzi.
- Chuliganił się?
- Gorzej, o wiele gorzej. Posądzony jest o morderstw.

Downnar przestał jeść i uważniej spojrzał na mówiącego.
- Co pan powiedział? Pański syn posądzony jest o morderstwo?
Staremu wargi zaczęły się trząść. Oczy miał pełne łez. Nie mógł wydobyć głosu. Skinął tylko głową.
- Jak to się stało? Na jakiej podstawie go oskarżają
- On nie zabił! Nie zabił! - krzyknął nagle Michą lak. - To nieprawda. Przysięgam panu... - Pochylił się do przodu i zaczął mówić szybko, bezładnie, jakby w obawie, żeby mu nie przerwano. - Ja właśnie dlatego do pana majora... Ja... Niech go pan ratuje. Błagam... To moje jedyne dziecko. Panie majorze! Ja wiem, że... Ja tego chłopca od maleńkiego wychowałem. Sam. Żona zginęła w powstaniu. Starałem się, żeby wyrósł na dzielnego człowieka. Chciałem, żeby coś z niego było. Jeżeli pan mi nie pomoże, to nikt... nikt... nie mam nikogo. Ja tar w żadnych adwokatów nie wierzę. Tylko pieniądze umieją ciągnąć z człowieka. Jak pan nie pomoże, to przepadło. Przepadło wszystko. Powieszą go. Kradł dla tej dziwki i za to niech posiedzi w więzieniu. Więzienie mu się na leży, ale nie szubienica. On się jeszcze opamięta, jeszcze ja go wyprowadzę na ludzi, jak wyjdzie z kryminału. Tylko żeby nie dostał kary śmierci. On nie zamordował tej starej, panie majorze. Przysięgam.
- Niech się pan uspokoi - powiedział Downar. - I niech pan spróbuje wszystko mi po kolei opowiedzieć. Na razie nic z całej tej historii nie rozumiem.
Michalak otarł mokre od potu czoło i drżącymi rękami wyjął z kieszeni paczkę papierosów.
- Przepraszam - powiedział cicho. - Ja... ja... Proszę się nie dziwić, panie majorze. To dla mnie ciężkie, bardzo ciężkie. Rozumiem, że z mojego gadania nie może pan wiedzieć, o co chodzi. Powiem wszystko po kolei, postaram się.
Downar w milczeniu wysłuchał opowiadania. Było mu żal starego, zupełnie złamanego człowieka, który wierzył w niego jak w jakieś wszechmogące bóstwo.
A jeśli chłopak naprawdę udusił Leokadię Kościelną? - pomyślał. - Co wtedy? Bo, że ojciec nie wierzy w winę syna, to

naturalne. Przede wszystkim nie chce wierzyć. Muszą być poważne poszlaki, jeżeli prokurator wydał nakaz aresztowania.

Michalak skończył mówić. Znowu wytarł chustką spocone czoło i twarz, niespokojne spojrzenie wbił w Downara.

- Panie majorze, ja... ja zrobię wszystko, żeby go ratować, oddam wszystko. To mój syn. On nie zabił tej kobiety. Niech mi pan pomoże.

- Kto prowadzi dochodzenie?

- Kapitan Sarnecki.

- Rozmawiał pan z nim?

- Tak. Przesłuchiwał mnie, wypytywał... Powiedział, dlaczego musiał zaaresztować Zbyszka.

- Ale z synem się pan nie widział?

- Nie. Nie pozwolili mi.

- Czy ostatnio nie zauważył pan czegoś nienormalnego w zachowaniu syna?

- No tak... owszem. Bywał zdenerwowany, nieraz nawet niegrzecznie mi odpowiadał, co się dawniej nigdy nie zdarzało. Często nie nocował w domu. Domyśliłem się że ma dziewczynę. No cóż... chłopak dwadzieścia dwa lata, niedługo skończy dwadzieścia cztery. To już nie dziecko.

- Pytał go pan o tę dziewczynę?

- Pytałem, ale nic mi nie chciał powiedzieć. Straszni się zrobił skryty.

- I nie wie pan, co to za jedna?

- Wiem. Wyśledziłem ich kiedyś, bo mnie to wszystko zaczynało niepokoić. Zbyszek miał pieniądze. Nieraz wracał do domu pod gazem. Kupił sobie nowy garnitur buty, parę koszul. Stroił się. Czułem, że coś nie w porządku. Pytałem go, skąd bierze forsę. Raz zełgał, że wygra na wyścigach, a drugi raz znowu opowiedział mi bajki o jakimś bogatym koledze, który mu pożyczył większą sumę.

- Co to za dziewczyna?

- Zdzira.

- Wie pan może, czym się zajmuje? - Jest fryzjerką.

- Jak się nazywa?

- Monika Lewicka.

- Widzę, że zebrał pan o niej szczegółowe informacje Michalak westchnął głęboko.

- Chciałem jakoś ratować chłopaka. Czułem, że się zanosi na coś niedobrego. Rozmawiałem nawet z tą dziwką.

- No i co?

- No i nic. Wyśmiała mnie. Powtórzyła oczywiście wszystko - Zbyszkowi. Doszło między nami do awantury. Mało brakowało, a byłbym go sprał.

- Szkoda, że pan tego nie zrobił - powiedział Downar.

- Pomoże mi pan? Niech mi pan pomoże, niech mi pan nie odmawia.

Downar unikał błagalnego spojrzenia.

- Porozmawiam z kapitanem Sarneckim. Muszę się zorientować, jak wszystko wygląda. Niczego oczywiście nie obiecuję. Jeżeli pański chłopak jest rzeczywiście niewinny, to nie ma powodu do obaw. Może pan być pewien, że zostaną wyczerpane wszelkie środki, aby znaleźć prawdziwego mordercę. Nikogo się nie skazuje na podstawie samych tylko poszlak. Postaram się pomóc kapitanowi Sarneckiemu w wyświetleniu tej sprawy.

Michalak pochylił się i chciał Downara pocałować w rękę. Ten cofnął się gwałtownie.

- Co pan wyprawia?!

- Panie majorze, ja... ja... panie majorze... - wyszeptał stary listonosz i wybuchnął płaczem. Trzymane na wodzy najwyższym wysiłkiem woli nerwy odmówiły posłuszeństwa.

Downar pocieszająco poklepał go po plecach.

- Niech pan będzie dobrej myśli, panie Józefie. Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni. Chłopak dostanie oczywiście wyrok za kradzież dolarów, ale to mu dobrze zrobi. Zreflektuje się, będzie miał czas trochę się nad sobą zastanowić, a po pierwsze zerwie z tą dziewczyną. Teraz niech pan idzie do domu i niech się pan nie martwi. Będzie dobrze.

Michalak znowu zaczął dziękować, ale Downar już mu nie pozwolił się roztkliwiać. Pożegnali się jak starzy, dobrzy przyjaciele.

I tak wolny dzień diabli wzięli. Downar z melancholijnym

westchnieniem wyjrzał przez okno. Plaża, kino, spotkanie z Teresą, wszystko to stało się w jednej chwili nierealne, nie do osiągnięcia. Wiedział, że zalana łzami twarz starego towarzyszyłaby mu wszędzie i że nie mógłby beztrosko leżeć nad Wisłą. Jedyną pociechę stanowią gęste chmury gromadzące się nad miastem. Zanosiło się na deszcz. Nie, stanowczo to nie była plażowa pogoda.

Podniósł słuchawkę i połączył się z Komendą Miasta. Po upływie niecałej godziny wysiadł z taksówki przed Pałacem Mostowskich.

Sarnecki czekał już na niego. Najwyraźniej był zaintrygowany niespodziewaną wizytą.

- Co się stało? Bardzo się cieszę, że cię widzę, ale wywnioskowałem z twojego głosu, że masz jakąś konkretną sprawę do mnie.

Downar opowiedział o rozmowie ze starym listonoszem.

- Muszę ci się przyznać, Władziu, że żal mi tego człowieka. Wyobraź sobie, że zrezygnowałem z wolnego dni żeby się zająć tą historią.

- Coś ty się zrobił taki sentymentalny? - zdziwił się Sarnecki. - Nie znałem cię z tej strony.

Downar nieznacznie wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem... Może się starzeję, a może zaczynał lepiej rozumieć ludzkie dramaty. Widzisz... ja tego starego dosyć dobrze poznałem. Przez dziesięć lat przynosił na pocztę. Wielokrotnie rozmawialiśmy ze sobą. Polubiłem go. To zanikający już dzisiaj typ człowieka. Trochę może romantyk, ogromny optymista. Szczery, prawy, niezwykle uczciwy, pełen wiary w życie, w ludzi. Lubi swą pracę i jest z niej zadowolony. Nigdy nie słyszałem, żeby się skarżył na zmęczenie czy niską pensję. Zawsze widziałem go uśmiechniętego, zadowolonego. Jego dumą i nadzieją był syn. Często mi o nim opowiadał, chwalił się nim. Ten chłopak był treścią jego życia. Możesz sobie wyobrazić, co za tragedia.

- Tak - pokiwał głową Sarnecki. - Ciężki cios dla ojca. Pewnie chciałbyś się zaznajomić z dotychczasowymi wynikami śledztwa?

- Właśnie miałem zamiar prosić cię o to.

Wysłuchawszy szczegółowej relacji, dotyczącej zamordowania Leokadii Kościelnej i aresztowania młodego Michalaka, Downar zamyślił się. Zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju.

- Słuchaj, Władku, powiedz mi, ale tak zupełnie szczerze, czy ty wierzysz w winę tego chłopaka? Mówię oczywiście o morderstwie, a nie o dolarach.

Sarnecki wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką.

- Właściwie trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Fakty przemawiają zdecydowanie przeciwko niemu, a że ja jestem zwolennikiem wysnuwania wniosków na podstawie” konkretnego, realnego materiału, więc...

- Nie wątpisz chyba w to - przerwał mu Downar - że w naszej robocie nie propaguję bujania w obłokach. Czasem jednak należy dopuścić do głosu intuicję. Czy jesteś wewnętrznie przekonany, tak na sto procent, że to morderca?

Sarnecki potrząsnął głową.

- Nie. Szczerze mówiąc, nie jestem przekonany. I to właśnie mnie niepokoi. Zatrzymałem chłopaka, prokurator bez najmniejszego sprzeciwu wydał nakaz aresztowania, wszystko niby gra, a ja nie jestem z siebie zadowolony. Przesłuchiwałem go kilkakrotnie i za każdym razem pogłębiają się moje wątpliwości. To nie jest typ faceta który by zadusił staruszkę szalikiem. Zakochał się w dziewczynie i dla niej kradł dolary, w porządku, ale żeby na zimno mordował... Wydaje mi się to ciągle mało prawdopodobne.

- To mnie cieszy - powiedział Downar. - Słuchaj czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym ja tak na wpół oficjalnie włączył się do tej sprawy? Zaczyna mnie ona interesować, a poza tym rzeczywiście chciałbym poi móc staremu Michalakowi.

- Ależ naturalnie. Sam ci to miałem zamiar zaproponować. Sądzę, że nie tylko półoficjalnie, ale zupełnie oficjalnie mógłbyś doszlusować. Byłoby mi to o tyle na rękę, że nie chcę brać sam odpowiedzialności za tego chłopaka. Sąd może go skazać. Jeżeli nie uda się rzucić trochę nowego światła

na sprawę, dostanie duży wyrok.

Downar już myślał o czym innym.

- Wspomniałeś mi o dolarach znalezionych u tej staruszki. Czy mógłbyś mi je pokazać?

- Oczywiście. - Sarnecki wyjął z kasy ogniotrwałe tekturowe teczki. - Osiemdziesiąt pięć dolarów. Spore jak na emerytkę, do której ostatnio nie dochodziły listy z Ameryki. Chyba musiała kupować. Skąd brała na to forsę?

Downar uważnie obejrzał banknoty.

- Czy wiesz, że te cztery dziesięciodolarówki są fałszywe? - spytał.

- Fałszywe? - Sarnecki był zaskoczony. - Jesteś pewien?

- Najzupełniej. Nie mam co do tego wątpliwości. Weź szkło powiększające i spojrzyj na nie pod światło. Bez trudu można poznać. Dosyć dobra robota, ale widziałem już lepszą. To towar drugiego sortu. Ciekawe tylko, czy robione u nas, czy importowane?

- Wiesz... - powiedział speszony trochę Sarnecki, kładąc dolary na biurku. - Przyznam ci się szczerze, że nie brałem takiej ewentualności pod uwagę, nie oglądałem dokładnie tych dolarów. Ktoś nabrał biedną staruszkę. Czy sądzisz, że to może mieć jakieś znaczenie dla sprawy?

Downar - usiadł i zapalił papierosa.

- Myślę, że tak. Trzeba zastanowić się nad tym, czy ktoś naciął babcię, czy też brała ona może udział w jakichś kombinacjach. Miałem trochę do czynienia z fałszywymi dolarami. Wiem, że handlarze tą walutą chętnie dobierają sobie do współpracy właśnie takie osoby, które na pozór stoją poza wszelkimi podejrzeniami. Ciekaw, jestem, czy Leokadia Kościelna jeździła czasem na wieś, pod Warszawę?

- Owszem. Jeździła lokować swe koty u dobrych ludzi.

- Koty?

- Tak. Nie wiem, czy ci wspomniałem, że staruszka opiekowała się bezdomnymi kotami gnieżdżącymi się w piwnicach. Dokarmiała je, a potem wyjeżdżała pod Warszawę, żeby szukać opiekunów dla swoich pupilów.

- I przy okazji mogła sprzedawać okolicznym chłopom

fałszywe dolary - dodał Downar.

Sarnecki spojrzał na niego z żywym zainteresowaniem.

- Wiesz co, że to jest jakaś koncepcja. Trzeba by się zorientować, komu pani Kościelna podrzuciła na wychowanie koty. Idąc po linii twojego rozumowania, można by stworzyć teorię, że morderstwo było wynikiem jakichś porachunków na tle handlu fałszywymi dolarami. Próby szantażu, obawa przed wpadką. Jeśli na przykład założyć, że z jakichś powodów Kościelna miała zamiar zdemaskować wspólników... Można snuć bardzo wiele przypuszczeń. Pomysł wydaje mi się trochę fantastyczny, ale warto przemyśleć i taką ewentualność.

- O wiele mniej fantastyczny, mój drogi, niż sobie wyobrażasz - powiedział z przekonaniem Downar. - Rozwożenie kotów po okolicznych wsiach to przecież doskonały pretekst. Któż mógłby podejrzewać poczciwą staruszeczkę, przyjaciółkę zwierząt, o handel fałszywą walutą. Idealnie pomyślane. Powiedz mi, czy rozmawiałeś z współlokatorami Leokadii Kościelnej?

- Wyjechali na urlop. Kiedy zostało popełnione morderstwo, nie było ich w Warszawie.

- Uważam, że bezwzględnie należy z nimi pogadać nie czekając, aż wrócą z urlopu.

- Sądzisz, że to coś może dać?

- Oczywiście. Oni powinni być najlepiej zorientowani, z kim kontaktowała się Kościelna.

- Z tego, co mówią sąsiedzi, wynika, że właściwie z nikim nie utrzymywała stosunków. Jedynym człowiekiem, z którym bliżej żyła, był ten stary emeryt, Seweryn Podsiadły. Wspominałem ci.

- Rozmawiałeś z nim?

- Tak. Niewiele się można od niego dowiedzieć. Dziwak, filozof z bożej łaski. Najchętniej obcuje z kotami, z gołębiami.

- Chciałbym się z nim zobaczyć. Interesują mnie takie typy.

Sarnecki wzruszył ramionami.

- Możesz to zrobić w każdej chwili. Nie sądzę jednak, żeby ci to coś dało. Znajdziesz go albo na rynku Starego Miasta, albo w jakiejś piwnicy. Karmi gołębie, koty. Spytasz o profesora.

Każde dziecko ci powie, gdzie go szukać. Bardzo charakterystyczna, popularna postać. Podobno kiedyś był nauczycielem.

Downar nagle przestał się interesować Sewerynem Podsiadłym.

- A jak to jest z tą nitką, którą znaleźliście na sukni denatki? - spytał.

- Dość długa nitka, około piętnastu centymetrów. Kolor ciemnofioletowy. Można przypuszczać, że pochodzi z szalika czy chustki, której użył morderca.

- Dałeś do zbadania?

- Oczywiście. Fachowcy twierdzą, że to przypuszczalnie towar importowany. Włókno nietypowe dla naszej produkcji.

- Nic takiego w rzeczach Kościelnej nie znaleźliście?

- Nie.

- Ale mogła dostać od córki z Ameryki fioletowy szalik, który komuś podarowała albo sprzedała.

- To prawdopodobne.

- Jeszcze jeden powód, żeby porozmawiać z rodziną Wierzbickich. Może któraś z tych babek widziała u Kościelnej fioletowy szalik. Kobiety, jak wiesz, zwracają uwagę na te rzeczy.

- A nie miałbyś ochoty przejechać się do tych Wierzbickich pod Sochaczew? - spytał Sarnecki.

Downar w zamyśleniu przygryzł dolną wargę.

- Hm, no cóż... może bym się i przejechał. Ale najprzód pogadam z dziewczyną twojego aresztanta.

- Wiesz, gdzie jej szukać?

- Wiem.

Sarnecki spojrzał z uznaniem na przyjaciela.

- O, widzę, że z miejsca poważnie zabierasz się do rzeczy. Masz lepsze informacje ode
mnie.

*

Piętnaście po siódmej Monika skończyła czesać ostatnią klientkę. Była zdenerwowana. Umówiła się z Waldemarem na wpół do ósmej. W żaden sposób nie mogła zdążyć.

Stara klempa - myślała ze złością, patrząc na tęgą, tlenioną blondynkę mizdrzącą się przed lustrem.
- Panno Monisiu, jak się pani podoba mój nowy kapelusik?
- Czarujący, pani mecenasowo, czarujący. Świetni pani w nim.
- A czy pani nie odnosi wrażenia, że ta fryzura jest troszeczkę za wysoka?
Monika najchętniej trzasnęłaby babę czymś ciężkim, ale odpowiedziała z uprzejmym uśmiechem:
- Skądże znowu. Do pani urody tylko takie uczesanie. Zresztą to teraz bardzo modne. Wreszcie pozbyła się podstarzałej elegantki i wyszła ni ulicę. Zaledwie jednak zrobiła parę kroków, posłyszała męski, przyjemnie brzmiący głos.
- Przepraszam, czy pani Monika Lewicka? Spojrzała zdziwiona.
- Tak. A o co chodzi? Downar przedstawił się jako Tadeusz Kamiński i powiedział, że jest przyjacielem Zbyszka.
- Dostałem od niego gryps - szepnął konfidencjonalnie. - Prosił, żebym się z panią skontaktował.
Nie umiała ukryć niezadowolenia. Tamte sprawy już były daleko poza nią i nie chciała do nich wracać.
- Nie mam czasu.
- Musi pani znaleźć chwilę czasu. Wstąpmy gdzieś na kawę. Potem odwiozę panią swoim wozem. O, widzi pani tamtego niebieskiego wartburga?
Podobał jej się zarówno wartburg, jak i jego właściciel. Zresztą samochodem będzie o wiele prędzej aniżeli tramwajem.
- Dobrze - zdecydowała się - ale tylko na dziesięć minut. Ktoś na mnie czeka.
- Rozumiem, rozumiem - uśmiechnął się Downar. - Nie wątpię w to, że na taką uroczą dziewczynę zawsze ktoś czeka.
Jest nawet dość miły - pomyślała Monika i życzliwiej spojrzała na nowego znajomego. - Ostatecznie Waldemar może chwilę poczekać. Nic mu się nie stanie.
Weszli do pobliskiej kawiarni i zajęli stolik w końcu sali.
- Zbyszek siedzi - powiedział cicho Downar, pochylając się ku dziewczynie.

Niechętnie wzruszyła ramionami.

- Idiota. Na takich głupich kantach zawsze się wpada. Podgrandził parę dolarów, a teraz siedzi.

- Nie chodzi o dolary. Poruszyła się niespokojnie.

- Nie rozumiem. Więc za co go zamknęli?

- Za dolary także. Ale sprawa mocno się skomplikowała. Starą ktoś udusił. Zbyszek jest podejrzany o to morderstwo.

Monika spuściła oczy i zaczęła majstrować coś przy zamku torebki.

- Przecież nie mają żadnych dowodów - powiedziała po chwili.

- Podobno znaleźli odciski jego palców w pokoju tej staruszki.

- Odciski palców? - zdziwiła się. - Nie był chyba la tyle głupi, żeby pójść tam bez rękawiczek.

Downar uważniej spojrzał na dziewczynę.

- Więc pani przypuszcza, że to jednak on?

- Nic nie przypuszczam. O co panu właściwie chodzi? - nagle podniosła głos.

- Otrzymałem gryps od Zbyszka. Prosił mnie, żeby...

- Ma pan ten gryps przy sobie? Downar zaczął szukać po kieszeniach.

- Zaraz, zaraz... Gdzieś go tutaj wsadziłem. Nie nogę znaleźć. Musiałem go zostawić w tamtej marynarce.

- Takich rzeczy nie należy zostawiać w „tamtej” marynarce - powiedziała Monika.

- Zbyszek prosił, żebym się z panią zobaczył. Chodzi) to, żeby pani mądrze zeznawała.

- Nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.

- W tej sytuacji nie jest wykluczone, że milicja będzie Danią przesłuchiwała.

- Milicja? Mnie? A czegóż oni mogą ode mnie chcieć?

- No... jest pani przyjaciółką Zbyszka.

- O, to już się skończyło. Zresztą mam nadzieję, że nie będzie rozmawiał na ten temat z milicjantami.

- Prawdopodobnie będą go pytać, po co mu było potrzeba tyle pieniędzy?

- Ja mu nie kazałam kraść. Nic o tym wszystkim nie wiedziałam.

- Chodziliście po lokalach. Nie zastanowiło panią, skąd listonosz ma pieniądze na te przyjemności?

Wzruszyła ramionami.

- Przede wszystkim Zbyszek przez dłuższy czas nie przyznawał się do tego, że jest listonoszem. Udawał plastyka. A poza tym ja się nie interesuję tym, skąd mężczyźni biorą pieniądze. Co mnie to obchodzi?

- Właściwie ma pani rację - powiedział Downar. - Niech się każdy martwi o siebie. Chciałem tylko panią uprzedzić, że może być pani wzywana na milicję. W razie czego niech pani tak zeznaje, żeby nie zaszkodzić Zbyszkowi.

- W ogóle nie mogę sobie darować, że wdałam się z taką ofermą. Ofiara losu. I po co się to porywa na takie kombinacje? Nie ma żadnej smykałki do interesów.

- Mam wrażenie, że pani ma większą smykałkę.

- No pewnie.

- To może razem zrobilibyśmy jakiś interes, co?

- A pan czymś handluje?

- Od czasu do czasu. Trochę kręcę tymi towarami z zagranicznych paczek. W tej chwili przyszło mi na myśl, że razem moglibyśmy nieźle kombinować. Pani ma codziennie kontakty z bogatymi babkami. Ja dostarczyłbym towar, a pani zaproponowałaby klientce.

- To jest myśl - zainteresowała się Monika. - Co pan ma teraz do sprzedania?

- Coś by się tam znalazło. Jakieś perfumy francuskie, bielizna, sweterki. A sam szukam szalika. To znaczy nie dla mnie, dla jednej mojej znajomej.

- O jaki szalik panu chodzi?

- Musi być coś porządnego. Ale najważniejszy kolor. Ma być ciemnofioletowy. Może pani trafi na coś takiego. Zaraz bym wziął, jeżeli oczywiście cena możliwa. Niech mi pani poszuka takiego szalika. To byłaby nasza pierwsza transakcja, maleńka, ale na początek dobre i to.

- Postaram się. Niech pan przyniesie mi któregoś dnia te perfumy.

- Na pewno.

- Czy będzie się pan kontaktował ze Zbyszkiem?

- Nie wiem. Może mi się uda posłać mu jakiś gryps.” - Niech mu pan napisze, żeby nie mówił o mnie. Wcale nie mam ochoty włóczyć się po komendach milicji. - Spojrzała na zegarek.

- Muszę już iść. Do widzenia.

*

Waldemar Koszycki był typem południowca. Miał duże marzące oczy, śniadą cerę i pełne, zmysłowe wargi. Poza tym miał duże powodzenie u kobiet i szeroką naturę, nie miał natomiast pieniędzy, które lubił wydawać bez głębszego zastanowienia. Niebawem też doszedł do przekonania, że praca w zespole adwokackim jest zbyt absorbująca, a za mało intratna i że należy szukać jakichś innych źródeł dochodu. Źródła się znalazły. Woda może nie by łaj w nich zupełnie czysta, ale pieniądze płynęły szerokim strumieniem.

Z Moniką zetknął się zupełnie przypadkowo. W restauracji na Dworcu Głównym siedzieli przy jednym stoliku, a że oboje nudzili się czekając na pociąg, więc zaczęli rozmawiać. Koszyckiemu od razu przypadła do gustu energiczna, realnie patrząca na życie dziewczyna. Podobała mu się. Postanowił przenieść na prywatny grunt tę dworcową znajomość. Tak się też stało. Sprawa o tyle była łatwiejsza, że właśnie w tym czasie Monika rozglądała się za nowym przyjacielem. Bardzo prędko doszli do porozumienia. Często odwiedzała jego kawalerkę.

- Dlaczego się spóźniłaś?

- Prawdopodobnie dlatego, że zatrzymała mnie jakaś ważna sprawa.

- Co się stało?

- Miałam wiadomości od Zbyszka.

- Od tego listonosza?

- Cóż za pogardliwy ton... Wydął ostentacyjnie wargi.

- Do tej pory nie mogę zrozumieć, jak taka dziewczyna jak ty mogła się zadawać z listonoszem.

- Widocznie odpowiadało mi to. Nie spotkałeś się nigdy z kaprysami kobiecymi?

- No tak... ale wiesz... listonosz... To fatalnie brzmi.

- Pan mecenas brzmi oczywiście o wiele lepiej - uśmiechnęła

się drwiąco.

Nie lubił, kiedy próbowała podkpiwać sobie z niego. Spytał:

- No i cóż? Jakież masz wieści od swojego kryminalisty?

Żachnęła się.

- Wiesz dobrze, że mnie z nim już nic nie łączy. A jeśli chodzi o wieści, to nie są najweselsze. Podobno oskarżają go o morderstwo.

- Fiuuu - gwizdnął przeciągle Koszycki. - To poważna sprawa. Trzeba by się zastanowić, czy nie można by na tym zarobić paru złotych?

Rozdział VII

Mimo iż Sarnecki otrzymał bardzo poważną pomoc w osobie Downara, śledztwo w sprawie zabójstwa Leokadii Kościelnej nie ruszyło z martwego punktu. Wytworzyła się dosyć skomplikowana sytuacja. Po każdym przesłuchaniu młodego Michalaka słabła wiara w jego winę ale ciągle jeszcze poszlaki były trudne do podważenia i nic nie wskazywało na to, żeby w najbliższym czasie miał się pojawić nowy kandydat na mordercę.

Downar zaczynał się niecierpliwić. Nie przypuszczał, że to będzie szło tak opornie. Im głębiej zastanawiał się nad tą ponurą zbrodnią, tym bardziej utwierdzał, się w przekonaniu, że jej autorem nie jest lekkomyślny listonosz. Puścił wodze fantazji, pragnął stworzyć sobie jakąś zupełnie nową teorię. Wszystkie jednak mgliste hipotezy nie wytrzymywały próby logicznego rozumowania. Najprostsza i najbardziej przekonywająca była ciągle pierwotni wersja: Michalak kradł dolary z listów, bał się zdemaskowania i zadusił staruszkę szalem czy ręcznikiem. Fioletowa nitka mogła znaleźć się zupełnie przypadkowo na sukni ofiary i nie musiała pochodzić z narzędzia zbrodni. Należało wyjaśnić sprawę odcisków palców wykrytych wewnątrz szafy. Michalak uparcie zaprzeczał, jakoby kiedykolwiek wchodził do pokoju zamordowanej. Downar postanowił przełamać jego upór.

Chłopak ze spuszczoną głową siedział na pryczy więziennej. Nie zareagował na odgłos otwieranych drzwi. Nie poruszył się i nie zmienił pozycji. Z całej jego postawy emanowała apatia i zupełna rezygnacja.

Downar usiadł w pobliżu na taborecie i wyjął papierosy.

- Zapali pan? - Żadnej odpowiedzi. Nie nalegał i nie powtórzył pytania. Potarł zapałkę i zaciągnął się dymem. Po chwili powiedział: - Przyszedłem tu, żeby jeszcze raz z panem porozmawiać. Byłoby dobrze, żeby pan wreszcie zrozumiał, że

pragnę panu pomóc.

Michalak pogardliwie wzruszył ramionami.

- Na co ta gadka? Już przecież zrobiliście ze mnie mordercę. To najłatwiejsze. Poszlaki są, motyw zbrodni jest, facet siedzi pod kluczem. Po cholerę macie się wysilać? A że powieszą nie tego, co trzeba, to kogo to obchodzi. Może się kiedyś okaże, że to była pomyłka sądowa, a może i nie.

Downar palił spokojnie papierosa i z uwagą obserwował zaciętą twarz chłopaka.

- Jest pan rozgoryczony, zniechęcony. Rozumiem to. Proponuję jednak, żeby pan także postarał się nas zrozumieć. Nie ulega przecież wątpliwości, że pan sam wpakował się w to wszystko. Nie trzeba było kraść dolarów, nie byłoby teraz kłopotów.

- No więc dobrze, kradłem! - wybuchnął Michalak. - Kradłem, ale nie zabiłem! Co innego kraść, a co innego mordować.

- No tak. To jest co innego - zgodził się Downar. - Chciałbym pana namówić na szczerą rozmowę ze mną. Trzeba, żeby zdał pan sobie sprawę - z tego, że ja włączyłem się do śledztwa nie po to, żeby pana prześladować, tylko po to, żeby pana bronić. Pański ojciec był u mnie i prosił o pomoc, a pomóc mogę jedynie w tym wypadku, jeżeli pan się zdecyduje powiedzieć całą prawdę.

- Ja jej nie zabiłem.

- To już wiele razy słyszeliśmy. Przypuśćmy, że jesteśmy skłonni uwierzyć w pańską niewinność. Ale jeśli pan nie zabił, musiał to zrobić ktoś inny. Szukając prawdziwego mordercy, należy przede wszystkim wytłumaczyć niejasne sprawy, które obciążają pana. W tej chwili mam na myśli odciski pańskich palców znalezione wewnątrz szafy, stojącej w pokoju Leokadii Kościelnej. Dotychczas pan twierdził, że nigdy pan w tym pokoju nie był. Odciski są zupełnie wyraźne i jakakolwiek pomyłka jest tli wykluczona. Przypuszczam, iż orientuje się pan, że nie; ma na świecie dwóch osobników, którzy mieliby identyczne linie papilarne. Dla nas nie ulega wątpliwości, że pan zaglądał do tej szafy. Negując ten fakt, zaciemnia pan sprawę i pogarsza swoją sytuację. Niech się pan zastanowi.

Sądzę, że sam pan dojdzie do wniosku, że nie ma sensu się wypierać.
- Ja jej nie zabiłem.
- Nie o to chodzi. Pytam, czy pan otwierał szafę?.
- Tak.
- I zabrał pan listy?
- Tak.
- Dlaczego pan to zrobił?
- W poniedziałek spóźniłem się do pracy. Kierownik myślał, że nie przyjdę i oddał mój rejon koledze. Akurat był list do tej babki. Nie wiedziałem, co jest w tym liście. Bałem się, że... Pan rozumie?
- Rozumiem - powiedział Downar. - To było w poniedziałek piętnastego czerwca.
- Tak. Zdaje się, że tak.
- Pan wiedział, gdzie Leokadia Kościelna trzyma listy od córki?
- Wiedziałem. Nieraz mi pokazywała.
- To pan jednak wchodził czasem do jej pokoju?
- Tak.
- Niepotrzebnie pan skłamał. Kłamstwo zawsze pogarsza sprawę.
- Przestraszyłem się. Myślałem...
- Czy zastał pan już tę kobietę martwą?
- Ależ nie. W pokoju nie było nikogo. Gdybym ją zastał nieżywą, nie zajmowałbym się listami.
- Jak pan się dostał do mieszkania?
- Drzwi były otwarte.
- I nie bał się pan, że pani Kościelna nadejdzie i zastanie pana grzebiącego w jej szafie?

Michalak potrząsnął głową.

- Nie. Przecież najprzód sprawdziłem, gdzie ona jest. Była w piwnicy i karmiła swoje koty
- A skąd pan wiedział, że zastanie pan mieszkanie otwarte?

Chłopak zawahał się.

- Właściwie to nie wiedziałem. Wziąłem ze sobą wytrych.
- Umie pan operować wytrychem?
- Umiem. Kiedyś pracowałem w warsztacie ślusarskim.

Downnar był coraz bardziej zamyślony. Zapalił nowego papierosa.
- A w mieszkaniu nie zastał pan nikogo?
- Nie... to znaczy... chyba nie.
- Co to znaczy „chyba nie"?
- No tak... bo... bo jak wychodziłem, to mi się zdawało, że coś stuknęło w drugim pokoju. Ale pewnie mi się przywidziało. Kto miałby stukać? Wierzbiccy przecież wyjechali na urlop. Chyba, żeby jakiś kot...
- Skąd pan wiedział, że Wierzbiccy wyjeżdżają na urlop?
- Sam pan Wierzbicki mi powiedział, że w niedzielę wyjeżdżają. Prosił, żebym zatrzymał na poczcie, jeżeliby coś przyszło do niego. Napisał nawet takie małe podanie. Tak się u nas praktykuje, jak ktoś wyjeżdża na urlop.
- Nie chciał, żeby pani Kościelna odbierała jego pocztę?
- Nie, nie chciał.
- Niech mi pan jeszcze powie, czy nie zauważył pan u pani Kościelnej fioletowego szalika?
- Fioletowego szalika? - zdziwił się Michalak. - Nie pamiętam. Chociaż... zaraz... zaraz. Gdzieś widziałem taki ładny fioletowy szalik. Pamiętam, bo Monika szukała właśnie fioletowego szalika do swojej jesionki.
- I gdzie pan widział ten szalik? - zniecierpliwił się Downar.
- O ile dobrze pamiętam, to chyba na wieszaku w przedpokoju u pani Kościelnej. Ale nie jestem pewien. Bywam w tylu mieszkaniach. Mogło mi się coś pomylić.
- A ta pańska dziewczyna znalazła wreszcie szalik w kolorze fioletowym?
- Chyba nie. Nie widziałem u niej takiego szalika.
- Czy ona wiedziała, że pan kradnie dolary z listów.
- Nie, nie - zaprzeczył z ożywieniem Michalak. - Ona nie ma z tym nic wspólnego, nic nie wiedziała.
Downar uśmiechnął się.
- Bardzo to ładnie, że nie chce pan mieszać do tego wszystkiego swojej byłej narzeczonej, ale...
- Dlaczego pan powiedział „byłej"? My się kochamy.
Downar zawahał się. Nie był pewien, czy powinien zadać ten

cios. Zdecydował się jednak. Przyjacielskim gestem dotknął ramienia Michalaka.

- Posłuchaj mnie, chłopcze. Niestety, nie najlepiej ulokowałeś swoje uczucia. To z gruntu zła, wyrachowana dziewczyna. Ty ją obchodzisz tyle, co zeszłoroczny śnieg. Ma już nowego przyjaciela.

- To nieprawda!

- Przykro mi, ale to prawda. Rozmawiałem z nią.

- Pan...?! Pan rozmawiał z Moniką? Chyba żeście jej nie zaaresztowali?

- Nie. Skądże. Nie mamy takich zamiarów. Wydaje mi się jednak, że powinien pan wiedzieć prawdę. Spróbuję streścić tę rozmowę.

W miarę jak Downar mówił, na twarzy chłopaka malowały się kolejno sprzeczne uczucia: zdziwienie, niedowierzanie, gniew, wreszcie smutek i rezygnacja.

- Nie kłamie pan? - spytał cicho, a jego głos zabrzmiał nagle dziwnie dziecinnie. - To wszystko prawda?

Downar skinął głową.

- Tak, to prawda. Czy pan sam nie - czuł w ostatnich czasach, że coś się psuje między wami?

- Nie chciałem dopuścić do siebie tej myśli. Starałem się sobie wmówić, że to są normalne nieporozumienia, jakie zdarzają się zawsze między dwojgiem ludzi, że to nic poważnego, że tak być musi.

- Wróćmy do mojego pytania - powiedział Downar. - Chciałbym się od pana dowiedzieć, czy pańska dziewczyna wiedziała o tych kradzieżach dolarów?

- Z początku nic nie wiedziała. Potem zwierzyłem jej się. Nie mogłem sobie dać rady z tym wszystkim. Musiałem komuś powiedzieć.

- No i co? Jakaż była reakcja panny Moniki?

- Właściwie chyba żadna. Specjalnie się tym nie przejęła. Ona w ogóle rzadko czym się przejmuje.

- Nie robiła panu wymówek? Nie miała panu za złe tego, że okrada pan starą, samotną kobietę?

Chłopak odwrócił głowę, skurczył się.

- Czego pan chce? - spytał cicho.

- Po prostu chcę sobie stworzyć możliwie jak najwyraźniejszy obraz pańskiej przyjaciółki. Każdy szczegół może mieć znaczenie. Niech mi pan powie, czy ta dziewczyna znała nazwisko Leokadii Kościelnej?

- Znała.

- A czy wiedziała, gdzie mieszka?

- Tego nie wiem. Nie pamiętam, czy jej mówiłem. Niech pan zostawi Monikę w spokoju. Ona z tym wszystkim nie ma nic wspólnego. Nie chcę żeby była zamieszana w tę sprawę.

Downar potrząsnął głową.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe i nie wydaje mi siej żeby to było słuszne. Doceniam pańską rycerskość, ale dziewczyna w jakimś stopniu ponosi odpowiedzialność z to, co się stało. Mam na myśli oczywiście kradzieże da larów. Niech się pan zastanowi. Wiedziała, że pan kradł i korzystała z tych pieniędzy bez żadnych skrupułów. Przecież doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że listonosza nie stać na płacenie rachunków w nocnych lokalach.

- Nie przyznałem jej się, że jestem listonoszem. Przedstawiłem się jako artysta plastyk.

- Ale po jakimś czasie zorientowała się, że pracuje pan na poczcie?

- Tak. Potem wiedziała. Spotkała mnie kiedyś na ulicy, jak szedłem z torbą, w służbowej czapce. Nie mogłem już dłużej grać tej komedii.

- No więc właśnie. Wiedziała, że pan jest listonoszem a mimo to bywała z panem w drogich lokalach, przyjmowała prezenty... Orientowała się, że te pieniądze pochodzą z niezbyt czystych źródeł. Uczciwa dziewczyna nie zgodziłaby się na taką sytuację.

Michalak milczał. Nie znajdował argumentacji, którą mógłby przeciwstawić temu rozumowaniu. To była prawda. Od dawna to czuł, ale nie chciał o tym myśleć. Bał się utracić to, co uważał za szczęście. Dopiero usłyszane przed chwilą słowa uświadomiły mu wyraźnie całą sytuację. Teraz już nie mógł uciekać przed własnymi myślami, nie mógł stosować tych tchórzliwych uników, którymi się dotychczas posługiwał.

Żadnych niedomówień, żadnych złudzeń.

*

Z więzienia Downar pojechał do komendy. Nie zastał Sarneckiego. Usiadł więc w fotelu i paląc papierosa, czekał. Odbyta przed chwilą rozmowa dała mu do myślenia. - Przede wszystkim więc raz jeszcze utwierdził się w przekonaniu, że ten chłopak nie jest mordercą. Poza tym zaczynała mu się zarysowywać nowa koncepcja, nowa ewentualna wersja zbrodni. Wydawało mu się, że nareszcie ruszą z miejsca. Nie, stanowczo to nie był stracony czas.

Po upływie pół godziny wrócił Sarnecki. Ujrzawszy przyjaciela spowitego w chmurę tytoniowego dymu, zaniepokoił się:

- Czy masz zamiar uwędzić się? Dlaczego nie otworzysz okna?

Downar nie zwrócił uwagi na to rzeczowe pytanie.

- Słuchaj, Władku - powiedział, wstając z fotela - czy moglibyśmy pojechać zaraz do mieszkania Leokadii Kościelnej?

W wołdze Sarnecki próbował dowiedzieć się czegoś o celu ich wyprawy, Downar jednak był zamyślony i dawał niechętne, ogólnikowe odpowiedzi. Wreszcie Sarnecki zdenerwował się.

- Cóżeś ty, u licha, taki tajemniczy? Nie możesz wyraźnie powiedzieć, o co chodzi?

- Nie męcz mnie - mruknął Downar. - Czy nie widzisz, że próbuję wydedukować coś inteligentnego?

- No i jak ci idzie?

- Na razie słabo, ale może się rozkręcę.

- No to się rozkręcaj, tylko szybko, bo już jesteśmy na miejscu.

Przed bramą domu stał milicjant, a mieszkanie było opieczętowane.

- Dobrze, że ci Wierzbiccy wyjechali na urlop - powiedział Sarnecki.

- Chyba dobrze - zgodził się Downar - To w pewnym sensie ułatwia robotę, ale może także skomplikować to i owo

- Co masz na myśli?

- Chciałbym się trochę rozejrzeć w tym pokoju, który zajmują Wierzbiccy. Byłeś tam?

- Zaglądałem, ale żadnej rewizji nie przeprowadzałem. Nie widziałem potrzeby.
- I słusznie. Wiesz co, Władziu? Bardzo chciałbym znaleźć ten fioletowy szalik. Jakie to on włókna zawiera?
- Włókna Cuprama.
- O, właśnie. Cuprama. To nawet ładnie brzmi, tak jakoś tajemniczo.
Sarnecki zerwał pieczęcie i weszli. Dawno nie wietrzone mieszkanie czuć było stęchlizną i zjełczałym tłuszczem.
- Otwórz okno - powiedział Downar, wycierając chustką spocony kark. - Udusić się tu można. - Pobieżnie obejrzał pokój Leokadii Kościelnej i poszedł do pokoju Wierzbickich. -Mówiłeś, że ile osób mieszka w tej klitce?
- Troje i troje małych dzieci.
- Cholera. To makabryczne. Powinni im jak najprędzej przydzielić jakieś mieszkanie. Przecież w tych warunkach można oszaleć. Można wymordować całą rodzinę.
- Coś ty powiedział?
- To, coś słyszał. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby facet pomieszkawszy w takich warunkach złapał pewnego pięknego poranka za siekierę albo choćby za fioletowy szalik.
Sarnecki niechętnie wzruszył ramionami.
- Po co snuć nierealne przypuszczenia? Wiesz przecież, że Wierzbickich nie było w Warszawie, kiedy zostało popełnione morderstwo.
- Podobno są na wczasach pod Sochaczewem. Czy sądzisz, że spod Sochaczewa do Warszawy tak trudno przyjechać?
- To byłaby już zbrodnia z premedytacją. Zresztą w jakim celu?
- W jakim celu? - Downar wskazał na łóżko i łóżeczka dziecinne. - Jakbyś dłuższy czas pomieszkał w takich warunkach, to i ty może nabrałbyś chęci, żeby wysłać staruszkę na tamten świat i zająć jej pokój.
Sarnecki potrząsnął głową z powątpiewaniem.
- Zdarzały się wprawdzie podobne historie, ale Wierzbicki nie jest typem człowieka, który mógłby...
- Rozmawiałeś z nim?
- Nie, ale zebrałem o nim informacje. Pracuje w

Ministerstwie Komunikacji. Ma opinię człowieka sumiennego, cichego. Nie pije, nie ma żadnych nałogów. Usposobienie łagodne. Udzielono mi o nim jak najlepszych referencji

- Tacy najgorsi - powiedział z przekonaniem Dow nar. - Kiedy taki łagodniutki, cichy, spokojny facet wpadnie w szał, to koniec. Mogiła. No cóż... ja nie przesądzam sprawy. Szukam po prostu jakichś innych możliwości. Obaj nie wierzymy w winę listonosza. Być może zresztą, że Wierzbickiego także wyeliminujemy z lista kandydatów na mordercę. To jest nawet zupełnie prawdopodobne.

- Ale obstajemy przy tym, że zbrodnię popełnił mężczyzna?

Downar wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Myślę, że najlepiej nie obstawać przy niczym. Kobiety na ogół niezbyt chętnie posługują się tym systemem. Duszą noworodki, ale ludzi dorosłych...? Ja w swojej karierze nie spotkałem się z kobietą dusicielką. Ale i takiej ewentualności nie można, oczywiście wykluczyć. Kościelna była drobną, wątłą staruszką. Młoda, silna kobieta bez trudu mogła ją wykończyć za pomocą szalika. Płeć piękna woli truciznę albo mały pistolet, ale...

- Dlaczego chciałeś obejrzeć to mieszkanie? - spyl tał Sarnecki.

- Chciałem zobaczyć, jak wygląda miejsce zbrodni. Poza tym młody Michalak, z którym dziś rozmawiałem, powiedział mi, że kiedy tutaj wszedł, żeby zabrać z szafuj listy, posłyszał jakieś szmery w sąsiednim pokoju.

- To jednak przyznał się do kradzieży listów?

- Tak. Słuchaj, Władziu, czy w tym pokoju zbieraliście materiał daktyloskopijny?

- Nie. Nie uważałem tego za potrzebne. Odciski palców wzięto tylko z pokoju Kościelnej.

- Ja bym sugerował, żeby tutaj zrobić to samo, a nawet zainteresowałbym się kuchnią i łazienką. Nikt tu nie sprzątał. Sądzę, że nie będzie trudności.

- Przypuszczasz, że morderca mógł się ukryć w drugim pokoju i czekać na swą ofiarę?

Downar nie odpowiedział. Schylił się, podniósł leżącą pod ścianą zmiętą gazetę.

Rozwinął ją i położył na stole starą, wytartą raszplę.
- Ciekawe, po co Wierzbicki zapakował w gazetę to żelazo?
Sarnecki uważnie obejrzał narzędzie.
- Wygląda, jakby była na końcu zaostrzona. Takie coś zawija się w papier, żeby komuś dać po głowie; zamiast gazrurki.
Downar wziął do ręki gazetę.
- Czy wiesz, z którego jest to „Życie Warszawy”? Z piętnastego.
- To znaczy, że ktoś był w tym pokoju w dniu morderstwa.
- Właśnie. Wierzbiccy wyjechali na urlop w niedzielę czternastego czerwca. Piętnastego w godzinach południowych popełniono morderstwo. Ktoś zawinął raszplę w gazetę z piętnastego. Wygląda na to, że morderca początkowo chciał się posłużyć tą raszplą. Potem zrezygnował z tego. Może po prostu nie czuł się na siłach, żeby uderzyć staruszkę w głowę, a może uważał, że posługując się szalikiem zostawi mniejsze ślady?
- Gdyby iść za twoim rozumowaniem - powiedział Sarnecki - to znaczy, gdyby przyjąć że Wierzbicki wrócił do Warszawy specjalnie po to, żeby dokonać zbrodni, to czyby tę raszplę kładł pod własną ścianą?
- Oczywiście, że nie - zgodził się Downar. - Narzędzie zbrodni raczej by usunął. Ale mógł się spieszyć i położył raszplę gdziekolwiek, a potem już nie miał do pokoju dostępu.
Sarnecki rozglądał się w zamyśleniu.
- Masz rację. Trzeba będzie tutaj zebrać materiał daktyloskopijny. A może to jednak listonosz...? Może to właśnie on przygotował sobie kawałek żelaza? Nie możemy się przecież sugerować, twierdzić, że Michalak jest rzeczywiście niewinny, bo ma uczciwego ojca. Na razie opieraj my się tylko na naszej intuicji. Tak nam się wydaje, ale to jeszcze mało. Widziałem już w życiu lepszych cwaniakowi którzy mieli miny niewiniątek.
- Ależ oczywiście. - Downar wstał i ostrożnie zawinął raszplę. - Może zdołają zdjąć z tego jakieś odciski palców, chociaż wątpię. Wiesz co? Mam ogromną ochotę przejechać się do Sochaczewa i odwiedzić ten ośrodek wczasowy. Co ty na to?
- Popieram tę inicjatywę.

*

Ośrodek wczasowy ciągnął się wzdłuż torów kolejowych. Stare wagony przerobione na domki campingowe błyszczały świeżą farbą wśród przykurzonej zieleni niewielkich drzew. Schrypnięty megafon wyrzucał z siebie hałaśliwą muzykę z płyt, która zakłócała spokój ludziom szukającym odpoczynku na tak zwanym „łonie natury”. Jazzowym melodiom wtórowały wrzaski bawiących się dzieci oraz naszczekiwanie zdenerwowanych psów. W niewielkiej odległości, zaraz za szerokim, piaszczystym traktem wyrastała ściana prawdziwego lasu. Niestety, tu i ówdzie na wysokopiennych sosnach widniały czerwone tablice oznajmiające, że wstęp surowo wzbroniony. Rzadko kto, oczywiście, brał sobie to do serca, ale zdarzali się i tacy, którzy nieśmiało i trwożliwie zatrzymywali się na skraju polany, nie odważając się na wycieczki w głąb zakazanego terenu.

Downar przyjechał dopiero późnym popołudniem. Zostawił wóz na bocznej, leśnej drodze i piechotą poszedł do kolorowych wagonów. Bez trudu znalazł kwaterę Wierzbickich.

Maria skończyła właśnie karmić dzieci. Zobaczywszy obcego mężczyznę zdziwiła się i zaniepokoiła zarazem.

- Czy zastałem pana Wierzbickiego? - spytał Downar.
- Nie, nie ma męża.
- A kiedy będzie?
- Nie wiem.
- Zdawało mi się, że pani jest jego żoną.
- Jestem.
- I nie wie pani, kiedy mąż wróci?
- Nie wiem.

Downar uważnie przyjrzał się tej mizernej, zniszczonej kobiecie. Była w niej jakaś zaciętość, jakaś ponura rezygnacja.

- Czy nie zechciałaby pani pójść ze mną na maleńki spacerek. Mam z panią do pomówienia.

Potrząsnęła głową.

- Bardzo żałuję, ale nie chodzę z nieznajomymi na spacery.

Downar uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Och, bardzo przepraszam, że dotąd się nie przedstawiłem.

Nazywam się Wiśniewski i jestem przyjacielem pani męża z dawnych lat. Nie widzieliśmy się kawał czai su i spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo w przeddzień jego wyjazdu na urlop. Umówiliśmy się, że odwiezie rodzinę i zaraz na drugi dzień wróci do Warszawy, żeby się ze mną spotkać.

- Tak - powiedziała Maria. - Mówił mi, że ma się z kimś spotkać i wrócił do Warszawy zaraz w poniedziałek.

Downar zrobił zdziwioną minę.

- Przyznaję, że nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Nie spotkaliśmy się. Czy pani jest pewna, że Janek pojechał w poniedziałek, piętnastego do Warszawy?

- Ależ tak. Powiedział, że się z kimś umówił i pojechał. Byłam nawet bardzo z tego niezadowolona.

- Zdumiewające. Najwidoczniej jakieś nieporozumienie. Może gdzie indziej na mnie czekał? No więc jak? Przejdziemy się trochę? Taki piękny wieczór.

- Dobrze. Powiem tylko mamie, że wychodzę.

Po chwili szli miękką leśną ścieżką, pokrytą wilgotną trawą. Downar dyskretnie obserwował smutną twarz Marii.

Niełatwe życie ma ta kobieta - pomyślał i zrobiło mu się wstyd, że gra wobec niej komedię. Tropić bandziorów zastawiać sidła na hochsztaplerów, oszustów i przeróżnych kombinatorów - w porządku. Ale wydobywać prawdę z ludzi nieszczęśliwych, bitych przez los, z największym wysiłkiem przedzierających się przez życie, to było bardzo przykre.

Maria pierwsza przerwała milczenie.

- Więc pan jest dawnym przyjacielem Janka? Nigdy mi o panu nie wspominał.

- Och, wie pani, jak to bywa. - Downar konsekwentnie brnął dalej w kłamstwo. -Ludzie się rozstają, życie ich unosi w różne strony. Zapominamy nawet o najbliższych. Są jednak więzy, które wytrzymują próbę wieloletniej rozłąki. Możemy o tym kimś nie myśleć, nie mówić, ale gdy nastąpi spotkanie, wszystko odżywa na nowo.

- Martwię się Jankiem - szepnęła jakby do siebie - bardzo się martwię.

- Co się stało? Dlaczego...?

- Właśnie nie wiem, co się stało i to mnie niepokoi. Zmienił się. Dawniej lubił siedzieć w domu z nami wszystkimi. A teraz... Znika na całe dni. Pije. Nieraz czuję od niego wódkę.
- Od kiedy się to zaczęło?
- Niedawno. Właściwie od przyjazdu tutaj. Tak się cieszyłam na ten wspólny urlop, a teraz prawie go nie widuję.
- Przypuszcza pani, że tu wchodzi w grę jakaś kobieta?
Energicznie potrząsnęła głową.
- Nie, nie, to nie to. Janek nie jest typem Don Juana. Boję się, że wpadł w złe towarzystwo.
- To bardzo prawdopodobne. Czy pani jest pewna, że on na drugi dzień po przyjeździe tutaj wyjechał do Warszawy?
- Oczywiście. Jestem zupełnie pewna. Doskonale pamiętam. Przyjechaliśmy w niedzielę czternastego, a Janek w poniedziałek wyjechał.
- Do Warszawy?
- Tak. Odprowadziłam go do autobusu. Widziałam, jak wsiadał.
- I pytała go pani, po co jedzie do Warszawy?
- Oczywiście. Powiedział, że umówił się ze znajomym. Dziwne, żeście się panowie nie spotkali.
- Nie wymienił mojego nazwiska?
- Nie. W ogóle nie chciał rozmawiać na ten temat. Był jakiś bardzo nieprzyjemny. Na moje pytanie odpowiedział mi niegrzecznie, żebym się nie wtrącała do jego spraw. Jest teraz taki nerwowy. Ostatnio trudno w ogóle z nim się porozumieć. Boję się, żeby nie zrobił jakiegoś głupstwa. Wyrzucam sobie, że mu dokuczałam i to mieszkanie.
- Dokuczała mu pani?
- Tak. Widzi pan... my się okropnie męczymy w jednym pokoju. Wszyscy razem mieszkamy w takiej klitce, a, moja matka, Janek i troje dzieci. Teraz będzie czwarte. Więc czasem, jak już jestem doprowadzona do rozpaczy, robię Jankowi wymówki, że się nie postara prędzej o mieszkanie. Nie powinnam, bo w końcu on robi co może. To nie jego wina, że nie potrafi chodzić koło swoich spraw. Teraz, żeby coś załatwić, trzeba ludziom deptać po piętach, dopominać się,

nudzić. Janek nie nadaje się do tego. No cóż... już taki jest. Ja wiem, że wreszcie mieszkanie dostaniemy. Parę razy była u nas komisja, powiedzieli, że jesteśmy pierwsi na liście. Ja rozumiem, że mają trudności, że masa ludzi jest w podobnej sytuacji, ale nie mogę się doczekać, coraz częściej brak mi sił, tracę cierpliwość i dochodzi do awantur.

- Na pewno wkrótce dostaniecie mieszkanie - powiedział z przekonaniem Downar. -Musi pani jeszcze trochę pocierpieć. Ale proszę sobie wyobrazić, jaka to potem będzie radość.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- No tak, oczywiście.

- Czy przyjechali tu państwo na cały miesiąc?

- Tak. Janek ma urlop do połowy lipca. Ja z dziećmi jeszcze może zostanę do pierwszego sierpnia. Ładnie tu, pogoda piękna.

- Nie boi się pani zostawiać na tak długo mieszkania w Warszawie bez opieki?

- Ach, nie. Cóż mogliby nam ukraść. A zresztą w tym samym mieszkaniu mieszka pani Kościelna, więc...

Nic nie wie o morderstwie - pomyślał niechętnie Downar. Ogarnął go nagły gniew. Sprawa zaczynała się paskudnie komplikować. Żal mu było zarówno starego Michalaka, jak i tej nieszczęsnej, skopanej przez życie kobiety.

Ile ona może mieć lat? - zastanawiał się, patrząc na zniszczoną, pooraną zmarszczkami twarz. - Nie może być stara. Ma małe dzieci.

- Może wrócimy? - zaproponowała Maria. - Robi się późno.

Kiedy wyszli z lasu, spostrzegli mężczyznę siedzącego przy drodze na pniu zwalonego drzewa.

- O, Janek wrócił - powiedziała z ożywieniem Maria.

Downar energicznym krokiem ruszył naprzód. Serdecznie uścisnął zdumionego Wierzbickiego i, całując go z dubeltówki, szepnął pośpiesznie:

- Jestem z milicji. Powiedziałem pańskiej żonie, że przyjaźnimy się od dawna. Muszę pana zabrać do Warszawy. Proszę nic żonie nie mówić.

W tej chwili nadeszła Maria.

- No i widzisz, co za niespodzianka. Przyjaciel przyjechał cię odwiedzić. Cieszysz się, prawda?
- Oczywiście - mruknął Jan. - Ogromnie się cieszę.

Maria była podekscytowana. Twarz jej się zaróżowiła, oczy błyszczały.
- Zostanie pan z nami na kolacji? Downar potrząsnął głową.
- Żałuję bardzo, ale to niemożliwe. Muszę zaraz wracać i zabieram Janka.

Posmutniała.
- Zabiera pan Janka? Dlaczego? I czym pojedziecie o tej porze?
- Mam z nim do pogadania, a jednocześnie powinie - I nem jeszcze coś w Warszawie załatwić. Zostawiłem wóz na skraju lasu. Jutro wyjeżdżam za granicę, więc dlatego...
- To chyba nie wrócisz dzisiaj na noc? Wierzbicki wzruszył ramionami
- Nie wiem. Chyba nie.

Downar zaczął się żegnać. Chciał jak najprędzej skończyć tę rozmowę.
- Chodź, chodź, robi się późno.
- Może wziąłbyś sweter?! - krzyknęła za nimi Maria.

Nie było odpowiedzi. Zawróciła i ruszyła wolno w kierunku kolorowych wagonów. Dopiero po dłuższej chwili Jan spytał:
- Czego pan chce ode mnie?
- Muszę z panem pomówić, a nie mogę przecież - ze względu na stan pana żony -zrobić tego tutaj.
- Czy konieczna jest ta jazda do Warszawy?
- Tak.

W milczeniu doszli do samochodu. Gdy wydostali się na szosę, Downar dodał gazu. Wieczorne blaski kładły się szerokimi plamami na przydrożnych drzewach. Dzień jeszcze był, ale coraz wyraźniej dawał się odczuć nastrój zbliżającej się nocy.
- Czy nie możemy jednak porozmawiać gdzieś tutaj? - zaproponował Jan.
- Nie, nie możemy.
- Czy jestem aresztowany?
- Jeszcze nie.

- Ale o co właściwie chodzi?
- Niedługo się pan dowie.

Umilkli. Wierzbicki zrezygnował z dalszych pytań. Zaczął się natomiast zastanawiać nad tym, kto mógł go sypnąć.

W komendzie Downar zostawił Jana pod opieką milicjanta, sam zaś poszedł do Sarneckiego.

- Przywiozłem tego faceta.
- No i co?
- No i chciałbym, żebyśmy go razem przesłuchali.
- A ty sam nie możesz tego zrobić?
- Nie, nie, wolałbym z tobą. Twoja obecność wpłynie na większe zobiektywizowanie tej rozmowy. Widzisz... mnie cholernie żal tych ludzi. Rozmawiałem z jego żoną. Cień kobiety. Nieszczęsna istota.
- Coś ty się, Stefek, zrobił taki wrażliwy? - uśmiechnął się Sarnecki. - Nie poznaję cię. Ciągle kogoś żałujesz. Może byś przestał pracować w milicji. Myślę, że stanowisko prezesa jakiegoś towarzystwa charytatywnego bardziej by ci odpowiadało.
- Nie żartuj. - Downar nerwowym ruchem zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju. - Tym Wierzbickim rzeczywiście życie układa się nie najlepiej. Spróbowałbyś ty pomieszkać w takim pokoiku w sześć osób.

Sarnecki wzruszył ramionami.

- Mój drogi, pozwól sobie powiedzieć, że w większości wypadków ludzie sami są sobie winni. Jak ktoś nie ma warunków, nie powinien zakładać rodziny. Ale u nas to się wszystko robi w myśl staropolskiej dewizy: „jakoś to będzie". Facet się żeni, w przyspieszonym tempie płodzi dzieci i od razu ma pretensję, że nie dostaje mieszkania, od razu tragedia. No trudno... nasze budownictwo mieszkaniowe nie może nadążyć za przyrostem ludności. Buduje się dużo i ludzie bez przerwy otrzymują mieszkania, ale trzeba się trochę zastanawiać nad przyszłością rodziny. Napłodzą dzieci, a potem rozpacz, że muszą mieszkać w jednym pokoju.
- Może go przesłuchamy - zaproponował Downar, Nie znajdował przekonywających kontrargumentów. Nie mógł nie

przyznać Sarneckiemu racji. Podniósł słuchawkę i wydał polecenie.

Wierzbicki był blady i zdenerwowany, ręce mu się trzęsły, gdy sięgał do kieszeni po chusteczkę.

Szybko skruszał - pomyślał Sarnecki. - To nie powinno potrwać długo.

Głośno zaś powiedział:

- Proszę, niech pan siada i niech pan się nie denerwuje. Nie ma powodu do zdenerwowania. Zaprosiliśmy pana na tę rozmowę, żeby wyjaśnić pewne fakty i żeby pan nam dopomógł w prowadzeniu śledztwa.

Wierzbicki z pewnym wysiłkiem przełknął ślinę.

- Ja w ogóle nie wiem, o co chodzi.

- I nawet się pan nie domyśla? - spytał łagodnie Downar.

- Nie. Nie mam pojęcia, czego panowie chcą ode mnie. Sarnecki poprawił się na krześle i wyjął papierośnicę.

Twarz miał poważną, skupioną.

- Zapewne nie jest panu obce nazwisko Leokadii Kościelnej.

- Mieszka w tym samym mieszkaniu, co i my.

- Chciał pan powiedzieć „mieszkała”. Leokadia Kościelna została zamordowana.

- Zamordowana?

- Czy pan nic o tym nie wiedział?

- Nie. Skądże. Przecież jak wyjeżdżaliśmy na wczasy, to pani Kościelna żyła i dobrze się czuła.

- Chyba postępuje pan niesłusznie gmatwając się w te wszystkie kłamstwa. To nie jest najlepsza taktyka. Automatycznie rzuca pan na siebie podejrzenie.

- Ależ...

Downar przerwał mu ruchem ręki.

- Niech pan da spokój. Nie wyobraża pan sobie przecież, że ściągnęliśmy pana tutaj, nie zebrawszy uprzednio odpowiednich informacji. Wyjechał pan z rodziną na wczasy czternastego w niedzielę, a piętnastego, w poniedziałek wrócił pan do Warszawy. Poinformowała mnie o tym pańska żona, a poza tym widziano pana w Warszawie. Czy w dalszym ciągu chce pan twierdzić, że nic pan nie wiedział o zamordowaniu

Leokadii Kościelnej?

Wierzbicki milczał. Był bardzo blady. Miał przerażenie w oczach.

- Myślicie, że ja... że to ja ją zabiłem?!

- Szukamy sprawcy tej zbrodni - powiedział spokojnie Sarnecki. - Byłoby lepiej dla pana, gdyby się pan nie zachowywał jak morderca.

- Bo ja się czuję jak morderca.

Obaj oficerowie, zaskoczeni, spojrzeli na pochyloną postać siedzącego przed nimi mężczyzny. Zapanowała pełna napięcia cisza.

- Dlaczego pan się czuje jak morderca? - spytał ostrożnie Downar.

Wierzbicki nagle wyprostował się. Oczy mu zabłysły gorączkowym blaskiem, policzki pokryły się ceglastym rumieńcem. Przez chwilę oddychał ciężko.

- Bo ja pragnąłem jej śmierci! - wybuchnął gwałtownie. - Chciałem, żeby umarła. I kiedy zobaczyłem ją leżącą na podłodze...

- To pan widział trupa?

- Wszedłem do domu i zobaczyłem ją martwą.

- I co pan zrobił?

- Uciekłem. Przestraszyłem się. Zdawało mi się, że to ja ją zabiłem, że ją zabiłem moimi myślami. Chciałem, żeby umarła.

- I nie przyszło panu do głowy, żeby kogoś zaalarmować?

- Nie! Nie! Jak ją zobaczyłem, to pierwszą moją myślą było, że będziemy mieli drugi pokój. A potem uciekłem. Bałem się... bałem się, że wszyscy będą wiedzieli, że to ja ją zabiłem.

- Ale przecież tak naprawdę to pan jej nie zabił - powiedział Sarnecki.

- Chciałem, żeby umarła.

Sarnecki wymienił szybkie, porozumiewawcze spojrzenie z Downarem.

- W pańskim pokoju znaleźliśmy zaostrzoną raszplę zawiniętą w gazetę. Czy pan ją tam zostawił?

Na zmęczonej twarzy Wierzbickiego odmalowało się zdziwienie.

- Raszplę? Nie. Nic nie wiem o żadnej raszpli.
- A czy pan w ogóle był wtedy w swoim pokoju?
- Nie. Zajrzałem do pokoju pani Kościelnej i zaraz uciekłem.
- I na pewno nie zostawił pan tej raszpli zawiniętej w gazetę?
- Nie.
- Słuchajcie, panowie - powiedział swobodnym tonem Downar. - Co byście powiedzieli na filiżankę dobrej kawy? Sądzę, że wszystkim nam przyda się małe pokrzepienie.
- To jest genialna myśl - uśmiechnął się Sarnecki, odgadując błyskawicznie intencję przyjaciela. - Oczywiście, że kawka znakomicie nam zrobi. - Podniósł słuchawkę i wdał się w niezbędne pertraktacje.

Pili kawę i rozmawiali na tematy obojętne. Downar opowiedział treść niedawno obejrzanego filmu, Sarnecki zaś narzekał na upał i na brak basenów w Warszawie. Wierzbicki był zupełnie zdezorientowany. - Milczał i co chwilę przenosił wzrok z jednego na drugiego.

Kiedy odstawili puste filiżanki, Sarnecki zwrócił się do Downara:
- Myślę, że nie będziemy dłużej zatrzymywać pana Wierzbickiego. Czy masz może jeszcze jakieś pytanie?
- Tak. Chciałbym, żeby mi pan powiedział, w jakim celu przyjechał pan w poniedziałek, piętnastego do Warszawy?

Wierzbicki poruszył się niespokojnie. Chwilowe odprężenie natychmiast zniknęło. Twarz znowu się ściągnęła. W oczach zamigotał strach.
- Miałem tu pewne sprawy do załatwienia.
- Czy moglibyśmy się dowiedzieć, jakie to sprawy?
- To bardzo osobiste. Wolałbym... Downar ze zrozumieniem pokiwał głową.
- Ach, tak. No cóż... nie nalegam. Od pańskiej żony dowiedziałem się, że raczej niezbyt spokojnie spędza pan urlop. Skarżyła się, że pan gdzieś jeździ i że po całych dniach pana nie ma. Czy to te prywatne sprawy tak pana absorbują?

Wierzbicki był bardzo zmieszany. Widać było, że nerwowo szuka wytłumaczenia dla swych wypadów.
- Widzi pan... - powiedział odchrząknąwszy - mnie

właściwie bardzo nuży ciągłe przebywanie z rodziną. - Dzieci płaczą, żona jest przeważnie niezadowolona, a teściowa, jak to teściowa... - Odetchnął głęboko, rad, że jakoś jednak wybrnął z sytuacji.

Downar obserwował go z uśmiechem. Już dawno nie spotkał człowieka, który tak zupełnie nie umiałby kłamać.

- Więc jednym słowem szuka pan rozrywek poza życiem rodzinnym?

- Właśnie. Chcę skorzystać z urlopu, trochę się zabawić...

- Przypuszczam, że nie zabawia się pan sam.

- Oczywiście, że nie.

- Czy nie wydaje się panu, że wpadł pan w niezbyt może odpowiednie towarzystwo?

Wierzbicki znowu się zaniepokoił.

- Nie rozumiem... Co pan ma na myśli?

- Och, to przecież zupełnie proste - powiedział dobrodusznie Downar. - Nawet najbardziej doświadczony człowiek może wpaść w złe towarzystwo, szczególnie jeśli szuka rozrywek, chce używać życia...

- Każdy sobie dobiera takie towarzystwo, jakie mu odpowiada - mruknął Wierzbicki, przestraszony własną odwagą, z trudem poruszył grdyką.

Przesłuchanie dobiegło końca. Obaj oficerowie przestali się nagle interesować Wierzbickim. Zamienili między sobą kilka obojętnych zdań. Wypalili po jeszcze jednym papierosie. Wreszcie Downar powiedział:

- Dziękujemy panu. To na razie wszystko. Czy odesłać pana wozem do żony?

Wierzbicki energicznie potrząsnął głową.

- Nie, nie, dziękuję bardzo. Zostanę na noc w Warszawie. Jutro wrócę pociągiem albo autobusem. - Wstał pośpiesznie, jakby w obawie, że mogą go jeszcze zatrzymać. - To ja już mogę iść?

- Tak. Do widzenia panu.

Zaledwie drzwi się za Wierzbickim zamknęły, Sarnecki podniósł słuchawkę, nakręcił numer i powiedział:

- Już wyszedł. - Następnie zwrócił się ku Downarowi: - Poleciłem wziąć faceta pod obserwację. Nie masz chyba nic

przeciwko temu.
- Czytasz w moich myślach - uśmiechnął się Downar. - Co sądzisz o tym typie?
- Jakaś ofiara losu. Próbował tu łgać, ale wcale mu to nie wychodziło. Ciekawe, w co on się takiego zaplątał? Bo że coś kombinuje, chyba nie ma wątpliwości.
Downar pokiwał głową.
- Wygląda na to, że wciągnięto go w jakąś aferę, ale nie mam pojęcia, co to może być. Właściwie nie znam człowieka, który mniej by się nadawał do mętnych interesów. A jeśli chodzi o sprawę Kościelnej, jakie odniosłeś wrażenie?
- Moim zdaniem on jej nie zamordował. Chyba że to znakomity aktor i że absolutnie wszystko tu przed nami odegrał z całkowitą premedytacją.
- Wykluczone. Wystarczyło popatrzeć na tę przerażoną gębę. Komu zleciłeś inwigilację?
- Sierżant Kaczor tym się zajmie. To sprytny chłopak. Mam nadzieję, że już jutro dostarczy nam trochę ciekawych wiadomości.

Rozdział VIII

Interesy szły nie najlepiej. Coraz trudniej było znaleźć klienta, który chciałby wpłacić większą zaliczkę na poczet „prowizji" za pomoc w urzędzie kwaterunkowymi Amatorzy okazyjnych transakcji samochodowych zrobili się przesadnie podejrzliwi, a chętnych do załatwiania poufnych spraw w prokuraturze za pośrednictwem „ustosunkowanego" pana mecenasa trzeba było wyławiaj z ogromnym nakładem sił i energii. Na domiar złego i dolarowe operacje także się urwały..

Z powodu nieprzewidzianych komplikacji należało, przynajmniej przez pewien czas, zaniechać tej działalności.

Nic więc dziwnego, że Waldemar Koszycki był w fatalnym humorze. Z prawdziwym rozgoryczeniem myślał o tym, że - być może - zmuszony będzie sprzedać swoją octavie. Uważał to oczywiście za posunięcie desperackie. Pozbycie się wozu poważnie go deklasowało i automatycznie obniżało w hierarchii społecznej. Człowiek nil mający własnego samochodu tracił w jego mniemaniu zaufanie bliźnich.

Właśnie leżał na tapczanie licząc spacerujące po suficie muchy, zastanawiał się nad sposobem podreperowania mocno już nadszarpniętych finansów, kiedy przyszła Monika. Była już bardzo zadomowiona, miała klucze od mieszkania i coraz większy wpływ wywierała na swego nowego przyjaciela, tak jej się przynajmniej zdawało.Koszyckiego bawiło to konsekwentne dążenie do władzy. Z zainteresowaniem obserwował dziewczynę i tolerował jej dyktatorskie posunięcia, które - jak dotychczas - nie stały w wyraźnej sprzeczności z jego interesami. Monika podobała mu się jako kobieta, a poza tym uważał ją za znakomity materiał na przyszłego wspólnika. Od pierwszego ich spotkania wyczuł instynktownie, że ulepieni są z tej samej gliny. Konsekwentne dążenie do raz obranego celu, spryt, inteligencja, brak skrupułów, zimne wyrachowanie - to były cechy charakteru, które mu imponowały.

Wstawiła kwiaty do wazonu i powiedziała:

- Odpoczywasz?

Było to raczej stwierdzenie faktu aniżeli pytanie. Poszła do łazienki po wodę, a kiedy wróciła, usiadła przy nim na tapczanie. Leniwym ruchem przewrócił się na bok i dotknął jej dłoni. Zdawała się nie zauważać tej pieszczoty.

- Wiesz co? Widziałam w komisie fantastyczny płaszcz zamszowy. Przydałby mi się na jesień. Nawet niedrogi. Czy mógłbyś mi dać sześć tysięcy?

Cofnął rękę i wybuchnął śmiechem.

- Jesteś wspaniała! Spojrzała na niego urażona.

- Czego się głupio śmiejesz?

- Bo właśnie, kotku, zastanawiałem się nad tym, jak zdobyć trochę forsy na najpotrzebniejsze wydatki.

- Coś ty nagle tak zbiedniał? Wzruszył ramionami.

- Nie zbiedniałem, tylko po prostu ostatnio jakoś mi interesy nie idą. Czy ty myślisz, że teraz łatwo zarobić?

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Po co się zgrywasz? Jak nie chcesz mi dać tych sześciu tysięcy, to nie dawaj. Bez łaski.

Chciał ją objąć, ale wyrwała się energicznie.

- Zostaw mnie!

Sięgnął po leżące na stoliku papierosy.

- Ależ, kociątko, nie dąsaj się. Słowo ci daję, że w tej chwili jestem bez pieniędzy. Ta zła passa oczywiście minie, ale na razie...

- Dobrze, dobrze. Nie mówmy już na ten temat. Wstał z tapczana. Chciał przybrać bardziej autorytatywną pozycję.

- Słuchaj, Nika, mówiłaś zdaje się, że ten twój pięknotek, ten listonosz siedzi.

- Tak, przecież wiesz o tym doskonale.

- I rzeczywiście jest podejrzany o morderstwo?.

- Rzeczywiście.

- To poważna sprawa.

- Bardzo.

- Ma jakąś rodzinę?

- Ma ojca.

- Czym się tatuś zajmuje?
- Także jest listonoszem. To u nich rodzinne. Koszycki skrzywił się.
- Słabo, bardzo słabo.
- O czym ty myślisz?
- Myślę o tym, że listonosz chyba słabo stoi finansowo.
- Dlaczego cię to interesuje?
- Widzisz, Nikusiu... - Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. - Ładna pogoda -powiedział i zapalił papierosa.

Monika patrzyła na niego zaintrygowana.
- Co ty znowu kombinujesz?

Uśmiechnął się.
- Przypuszczam, że mimo wszystko zebrałby jakie dziesięć, piętnaście tysięcy. Sprzeda radio, telewizor, na książeczce też ma pewnie parę złotych. Czego się nie robi dla ratowania syna. Co ty na to?

Niepewnie wzruszyła ramionami.
- Bo ja wiem...

Usiadł przy niej na tapczanie. Twarz mu się ożywiła, oczy zabłysły.
- Posłuchaj, maleńka. Pójdziesz do starego i powiesz, że bardzo się martwisz tym, co się stało, że czujesz się za to odpowiedzialna i że chciałabyś mu pomóc. To zabrzmi zupełnie przekonywająco. Potem powiesz, że znasz pewnego adwokata, który ma stosunki w prokuraturze i który mógłby ewentualnie taką sprawę zatuszować. Oczywiście to musi pociągnąć za sobą pewne koszta. Powiedzmy piętnaście tysięcy. Albo nie... na początek wystarczy dziesięć. Później ewentualnie dojdą jakieś nie przewidziane wydatki. Nie trzeba starego płoszyć zbyt wygórowaną sumą. No więc jak? Podoba ci się?

Monika chwilę milczała. Nie zachwycał jej ten sposób zdobycia pieniędzy. Wolałaby coś innego. Jednak wizja zamszowego płaszcza była bardzo sugestywna. W tych dniach mogła go mieć. Prezentował się naprawdę bardzo elegancko i tak się w nim świetnie czuła.
- Dobrze - powiedziała, nie patrząc na Koszyckiego. - Spróbuję. Ale pod warunkiem, że fifty-fifty.

- O, jesteś bardzo wymagająca.
- Przecież to mój klient.
- Ale moja koncepcja. Koncepcja jest ważniejsza. Dostaniesz trzydzieści procent.
Energicznie potrząsnęła płowa.
- Nie ma mowy. Wobec tego rezygnuję.
- Umiesz się targować, moja mała - uśmiechnął się kwaśno. - No, dobrze, pięćdziesiąt procent, ale ty i ko w wypadku, jeżeli ja nie będę musiał rozmawiać z tym człowiekiem. W przeciwnym razie dostaniesz czterdzieści procent.
- Zgoda.
Jeszcze tego wieczoru Monika pojechała na Wolę. Idąc ulicą Płocką myślała, że dziesięć tysięcy to ostatecznie nie tak dużo. Nic się nie stanie, jak stary sprzeda telewizor. Po co ma sobie niszczyć wzrok. Podobno telewizja fatalnie działa na oczy, a w tym wieku trzeba się szanować. Pokrzepiona na duchu tym rozumowaniem, przyśpieszyła kroku. Michalak był bardzo zdziwiony niespodziewanymi odwiedzinami. Patrzył niedowierzająco na dziewczynę i ciągle trzymał rękę na klamce, jakby miał zamiar zaraz zamknąć drzwi.
Uśmiechnęła się z niewinnym zażenowaniem.
- Bardzo przepraszam, że pana niepokoję, ale muszę z panem porozmawiać. Czy mogę wejść?
- Proszę, niech pani wejdzie - powiedział bez entuzjazmu i wpuścił ją do mieszkania. Wyłączył telewizor.
- Niech pani siada.
Usiadła na brzeżku krzesła i, mnąc w ręku chusteczkę, utkwiła nieśmiałe spojrzenie w twarzy starego listonosza.
- Ja... ja... Mnie jest naprawdę bardzo przykro. Tak mi żal Zbyszka...
- Nie czas teraz na żale. Trzeba było się przedtem zastanowić. - Patrzył na nią niechętnie, wrogo.
- Czego pani chce?
Przede wszystkim chciałabym, żeby się pan na mnie nie gniewał. My się ze Zbyszkiem kochamy. - Ta miłość zaprowadziła go do więzienia. Monika z trudem zdobyła się na łzy.

- Chciałabym... chciałabym pomóc. - Wyjęła z torby chusteczkę i wytarła oczy. - Ja wiem, że to moja wina. Przepraszam.

Michalak przyjrzał się jej uważnie. Pogładził wąsy. Wyraz jego oczu trochę złagodniał.

- Cóż pani tu może pomóc? Stało się. Trzeba czekać na zakończenie śledztwa. Później będzie sprawa...

- Nie wolno dopuścić do sprawy! - zawołała podniecona.

- Sprawa być musi.

- Wcale nie musi. Właśnie o to chodzi, żeby nie było sprawy.

- To niemożliwe.

- Ależ pan się myli. To zupełnie możliwe. Mało to spraw umarza się z powodu braku dowodów... Wolno potrząsnął głową.

- Tej sprawy nie umorzą. Nie ma o czym gadać.

- Trzeba tak załatwić, żeby umorzyli. Czy pan tego nie rozumie? Po to przecież przyszłam do pana.

- Nie rozumiem - przyznał szczerze Michalak. - O czym pani właściwie mówi?

Poruszyła się niecierpliwie.

- Mówię o tym, że nie możemy dopuścić do sprawy. Bo w sądzie to nigdy nie wiadomo... Niech pan posłucha. Mam znajomego adwokata, który może zgodziłby się nam pomóc.

- Zgodziłby się bronić Zbyszka? Co to za adwokat?

- Nie chodzi o obronę. Ten adwokat załatwiłby tak, żeby sprawy w ogóle nie było. Umorzyliby.

- Umorzyliby?

- No tak, właśnie. W ogóle nie doszłoby do sprawy.

- I ten adwokat potrafiłby to zrobić?

- Oczywiście. On ma ogromne stosunki w prokuraturze. Już niejedną taką sprawę załatwił. Tylko, że... że to musiałoby kosztować. A ja, niestety, nie mam pieniędzy.

Michalak w zamyśleniu szarpał wąsa.

- Tak, tak, oczywiście, że musiałoby kosztować. Rozumiem. A ile?

- Może dziesięć, może dwanaście tysięcy - powiedziała skwapliwie Monika i odetchnęła głęboko.

- Nie wiem. Musiałabym pomówić z tym adwokatem.

- A ja mógłbym się z nim zobaczyć?
- Lepiej nie. Widzi pan, to są bardzo delikatne sprawy. Jemu zależy na dyskrecji. Im mniej ludzi go zna tym lepiej. Stara się zmniejszyć możliwie ryzyko.
- Bardzo słusznie, bardzo słusznie - pokiwał głową Michalak. - No cóż... Musiałbym się zastanowić. Ja tak dwunastu tysięcy nie noszę w kieszeni. Trzeba by jakoś zebrać te pieniądze. Czy pani jest pewna, że to solidny człowiek?
- Ależ tak! - zawołała z zapałem Monika. - To niezwykle solidny i uczciwy człowiek. Można mu zaufać. Niejednemu już pomógł. On lubi pomagać ludziom. Poza tynf jest niesłychanie bezinteresowny. Dla siebie nie weźmie ani złotówki. Tyle tylko, co na taksówki. Ale, żeby taką rzecz załatwić, trzeba posmarować. Rozumie pan?
- Pewnie, że rozumiem. Doskonale rozumiem. No... jeżeli pani tak mówi, że zaufany człowiek, to chyba warto zaryzykować te pieniądze. Jakby umorzyli sprawę, to faktycznie byłoby bardzo dobrze. Forsę pewnie trzeba dać z góry?
- Oczywiście, ale jeżeli się pan boi...
- Nie, no co się mam bać? Trzeba przecież chłopaka ratować. Jak pani mówi, że solidny facet...
- Nadzwyczajnie solidny. Przekona się pan. Dobrzy znajomi polecili mi go.
- Jak dobrzy znajomi polecili go, to w porządku.
- No, więc jak? - spytała niecierpliwie Monika.
- No cóż... Muszę zebrać tę forsę i załatwimy... Dwanaście tysięcy to dla mnie spory grosz. Będę musiał coś sprzedać, może nawet telewizor. Mówi się trudno. W takich wypadkach nie ma co żałować telewizora.
- Kupi sobie pan nowy - pocieszyła go pośpiesznie Monika. - Telewizory tanieją. Weźmie pan na raty. Nie ma się co martwić.

Stary listonosz popatrzył na dziewczynę i uśmiechnął się melancholijnie.
- Ja się nie martwię. Czasem żal mi ludzi, ale martwych przedmiotów... - Machnął ręką i ociężale podniósł się ze swego miejsca. - Niech pani wpadnie do mnie za dwa dni.

Powinienem już mieć pieniądze. Jest tu taki jeden, który kiedyś chciał kupić mój telewizor. Przejdę się do niego. Ale nie wiadomo, czy ten adwokat będzie chciał podjąć się załatwienia tej sprawy.

- Na pewno się podejmie. O to niech się pan nie boi. Już moja w tym głowa. Za dwa dni przyjdę do pana po pieniądze. Może Wystarczy dziesięć tysięcy, ale na wszelki wypadek niech pan przygotuje dwanaście. Do widzenia.

Wracała w radosnym nastroju. Nie przypuszczała, że to pójdzie tak łatwo. Za dwa dni dostanie dwanaście tysięcy. Powie Waldemarowi, że stary dał tylko dziesięć. Weźmie dla siebie siedem, zapłaci za zamszowy płaszcz i zostanie jej jeszcze tysiąc na drobne wydatki.

A jednak życie jest piękne - pomyślała, wsiadając do autobusu.

Być może byłaby mniej rozentuzjazmowana, gdyby mogła widzieć, jak w tym samym momencie stary listonosz telefonował z automatu do Downara.

*

Koszycki z prawdziwym zadowoleniem wysłuchał opowiadania Moniki.

- Muszę przyznać, że załatwiłaś sprawę na medal. Czy tylko jesteś zupełnie pewna, że staruszek dał się nabrać na to wszystko?

- Ależ oczywiście. To typ człowieka bardzo dobrodusznego. Bez zastrzeżeń wierzy we wszystko, co mu się mówi.

- A jeżeli się rozmyśli? Wzruszyła ramionami.

- No cóż... to się zawsze może zdarzyć. Przede wszystkim nie jestem wcale pewna, czy w ciągu dwóch dni uda mu się sprzedać telewizor.

Uśmiechnął się.

- Jeżeli o to chodzi, to bądź zupełnie spokojna. Stary na pewno trzyma w pończosze trochę twardych. Nie znam; go i nigdy go nie widziałem, ale gotów jestem założyć się, że wcale nie musi sprzedawać telewizora, żeby zdobyć tą forsę. W końcu to nie takie straszne pieniądze.

Monika wyciągnęła się na tapczanie i zapaliła papierosa.

- Lubię być u ciebie - powiedziała. - Tu jest przyjemny nastrój.

Zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i przez chwilę w milczeniu trzymał ją przy uchu.

- Tak, tak, oczywiście. Będę na pewno. - Rozłączył się i nakręcił 926. Uważnie naregulował zegarek. Twarz miał skupioną. Dobry humor zniknął bez śladu.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona. - Kto dzwonił?

- Nic, nic. Przykro mi, ale chyba lepiej, żebyś pojechała do domu. Mam coś do załatwienia. Nie wiem, kiedy wrócę, a nie chcę zostawiać cię samą.

- Nie możesz powiedzieć mi, o co chodzi?

- Nie.

- Nie masz do mnie zaufania?

- Nie nudź.

Umilkła. Nigdy jeszcze nie widziała go tak zdenerwowanym. Podniosła się i poprawiła włosy. - Odwieziesz mnie?

- Nie. Nie mam czasu. Pojedziesz tramwajem.

- Już późno.

- Nie szkodzi.

- Kiedy się spotkamy?

- Nie wiem. Dam ci znać.

Czuła się urażona jego lakonicznymi, niezbyt uprzejmymi odpowiedziami. Nigdy jeszcze nie potraktował jej w ten sposób. Nagle zobaczyła go w zupełnie innym świetle. Zniknął delikatny w obejściu, uprzejmy dżentelmen, a pojawił się człowiek nowy, obcy, opryskliwy, niegrzeczny, może nawet grubiański.

To facet, którego lepiej nie drażnić, kiedy jest nie w humorze - pomyślała zaniepokojona. - Kto wie, czego się można po nim spodziewać...

- Chodźmy - powiedział energicznie i pchnął ją lekko w kierunku drzwi.

Kiedy znaleźli się na ulicy, pożegnał się pośpiesznie. Widać było, że chce się jej jak najprędzej pozbyć.

Wyprowadził wóz z garażu i pojechał na Powiśle. Zwolnił koło pomnika syreny. Światła Pragi migotały skocznym rytmem na czarnej powierzchni rzeki. Z oddali dolatywało dudnienie

pociągu po moście. Posłyszał swoje imię. Nacisnął hamulec i wysiadł. Na ławce dojrzał barczystą postać Rafała.

- Powinieneś był przyjechać taksówką. Koszycki wzruszył ramionami.

- Spróbuj znaleźć taksówkę. Mógłbyś tu jeszcze godzinę posiedzieć. Zresztą nikt mnie nie śledzi.

- Nigdy nie wiadomo...

- Nie strasz.

- Nie mam zamiaru cię straszyć, ale tak żeście tu wszystko poknocili, że diabli wiedzą, co z tego jeszcze będzie.

- Do mnie chyba nie masz pretensji. Znalazłem ci dobrego fachowca.

- Co z tego, ze dobry fachowiec, kiedy głupi jak but. Miał robić, nie zajmować się handlem. Jeżeli milicja jest; w posiadaniu tych odcinków, łatwo może być klops.

- Nie sądzę, żeby mieli...

Weland poruszył się niecierpliwie. Jego wąskie, trochę skośne oczy błyszczały gniewnie.

- No przecież ten idiota Waliczek sprzedał cztery dziesiątki starej babce, która została zamordowana. Akurat potrzebne nam było to morderstwo.

- Nie sądzisz chyba, że to ja...?

- A diabli was wiedzą. Wcale nie jestem pewien, czy to nie robota Edwarda.

Koszycki potrząsnął głową.

- Zupełnie nieprawdopodobne. Zresztą gdyby nawet on to zrobił, to po to, żeby wycofać od niej towar.

- Mógł nie zdążyć.

- Rozmawiałeś z Edwardem?

- Nie. O ile się orientuję, pojechał do Ciechocinka.

- Słuchaj, Rafał... - Koszycki zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. - Wydaje mi się, że niepotrzebnie wpadasz w panikę. Jeżeli chodzi o tę starą, to najprawdopodobniej wykończył ją listonosz, który kradł dolary z jej listów.

- Skąd wiesz?

- Mam poufne wiadomości w tej sprawie. Listonosz siedzi, podejrzany o morderstwo. Poza tym milicja nie jest w tym

śledztwie nastawiona na dolary. Interesuje ich zabójstwo i choćby nawet znaleźli u babci naszą walutę, nie będą się nią specjalnie zajmować. Być może, ze w ogóle się nie zorientują...

- Nie wierz w takie rzeczy - mruknął niechętnie Weland. - Jeżeli milicja dostała wszystko w swoje ręce, już się tam w tym połapie. Mówisz tak, jakby to był rok czterdziesty piąty, kiedy się nikt na niczym nie znał. Wiesz ty, że polska milicja jest teraz bardzo wysoko notowana w świecie? Dużo trudu mnie kosztowało, zanim przekonałem moich wspólników, że można zaryzykować na tutejszym terenie. Wolą Południową Amerykę, Turcję, Grecję czy Algierię. Tutaj ciężko dojść do porozumienia z glinami.

- Ale za to odbiorców łatwo znaleźć.

- To prawda, chociaż ostatnio chłopi wolą twarde. Wsadzi do garnka, zakopie pod gruszą i nie boi się, że mu myszy zjedzą. Wiesz, czego się obawiam?

- Czego?

- Żeby milicja nie wpadła na pomysł połączenia tego morderstwa z naszymi transakcjami, bo wtedy...

- Tłumaczę ci przecież, że mają już kandydata na mordercę i to zupełnie dobrego. Po co mieliby jeszcze szukać?

Weland nie wydawał się przekonany.

- Facet będzie się bronił, przedstawi jakieś alibi, będzie się starał ratować. Jeżeli jest niewinny, to jeszcze bardziej przekonywająco zacznie argumentować. Wystarczy, żeby oficera dochodzeniowego ogarnęły wątpliwości. Rozejrzy się za nową koncepcją i wtedy...

- No wiesz... jeżeli będziemy zakładać, że zdarzy się wszystko najgorsze... -uśmiechnął się Koszycki. - Od kiedy stałeś się takim pesymistą?

- To umiejętność przewidywania, nie pesymizm. Powodzenie każdej imprezy zależy w dużej mierze od tej umiejętności. Jeżeli potrafisz zdać sobie jasno sprawi z tego, co cię może spotkać, dopiero wtedy ewentualnie możesz liczyć na sukces.

- Widzę, żeś cholernie się wycwanił w tej Ameryce - powiedział z żartobliwym uznaniem Koszycki. - Przemawiasz jak profesor wszechnauk.

Weland nie zwrócił uwagi na te słowa. Przez chwilę milczał, zapatrzony w migocącą światłami rzekę. Kiedy siej znowu odezwał, głos jego stracił poprzednią energię i agresywność.
- Wiesz... zastanawiam się czasem, po co ja to wszystko robię?
- Jak to po co? - zdziwił się Koszycki. - Dla forsy.
- Forsa - Weland przeciągnął się i ziewnął. - No cóż... właściwie forsy to już mam sporo. W różnych bankach pootwierałem konta. Na dobrą sprawę mógłbym spokojnie żyć ładnych kilka, a może kilkanaście lat. Mógłbym zainwestować kapitalik w jakiś pewny interes W Anglii czy w Ameryce...
- Więc dlaczego tego nie zrobisz?
- No właśnie. Dlaczego tego nie zrobię? To jest pytanie, które sam sobie nieraz zadaję. Dlaczego ciągle szmugluję, kombinuję, zajmuję się fałszowaniem dolarów, funtów czy rubli? Dlaczego ciągle mam do czynienia z takimi bandziorami jak ty?
- Chcesz mi ubliżyć? Weland roześmiał się.
- Nie. Nie mam zamiaru. Stwierdzam tylko fakt. No przecież ty jesteś bandzior, tylko taki mniejszy. Na szefa się nie nadajesz.
- Jak ci moje towarzystwo nie odpowiada, nie musisz ze mną pracować - powiedział urażony Koszycki.
Weland wesoło poklepał go po ramieniu.
- Nie nadymaj się, Waldeczku. Nie do twarzy ci z tym. Nie chcę cię obrażać, ale należy zdać sobie sprawę, kim się jest, jaką branżę się reprezentuje. Po co okłamywać samego siebie? Ani ja przed tobą, ani ty przede mną, nie potrzebujemy grać komedii. Ja lubię szmugiel na dużą skalę, a ty kiedyś byłeś rasowym szulerem. Obaj nie gardzimy inteligentnym szantażem, sutenerstwem na wyższym poziomie. Ja miałem, jak wiesz, w Brazylii dwa domy rozrywkowe. Ale mnie to znudziło. Wszystko za bardzo było uregulowane, nazbyt stabilne. Dziewczęta chętne, uprzejme, policja bez trudu przekupiona, krupierzy posłuszni, a klienci naiwni. Cholernie się nudziłem. Żadnego ryzyka.
- Dziwny z ciebie facet.
- Masz rację. Właściwie to ja sam siebie uważam za dziwnego faceta. Jak tylko coś mi idzie normalnie, zaraz zaczyna mnie to nudzić. Nie znoszę spokoju, nie znoszę stabilizacji. Muszę czuć

dreszcz ryzyka. Myślę, że to mi chyba zostało z czasów wojny. Wtedy czuło się ten dreszcz. Pamiętam, jak nas myśliwce opadły nad Lubeką... No, ale mniejsza z tym. Nie ma co bawić się we wspomnienia. Tak... wiesz, że chyba tak. Jestem zarażony, noszę w sobie bakcyla, który nie daje mi spokoju. Nie mogę żyć normalnie. Muszę ryzykować.

- Bez przerwy jest gdzieś wojna - powiedział Koszycki. - Mógłbyś się bić.

Weland skrzywił się.

- Nie. Wojna przestała mnie bawić. Zresztą na lotnika już jestem za stary, a w czołgu nie lubię siedzieć, duszno. Poza tym z kim miałbym wojować? Z Wietnamczykami? To nie są dla mnie przeciwnicy.

Koszycki dyskretnie spojrzał na zegarek.

- Spieszysz się? - spytał Weland. - Dziewczyna czeka?

- Nie. Dziewczynę odesłałem do domu. Ale późno już...

- Masz rację. Więc, wracając do naszych spraw, trzeba, żebyś skontaktował się z Waliczkiem. Podobno on sobie dobrał do pomocy niejakiego Wierzbickiego, którego już przesłuchiwała milicja.

- Nic dziwnego, Wierzbicki mieszka w tym samym mieszkaniu, w którym zamordowano tę staruszkę.

- No tak, tak, rozumiem. Ale ten facet niepokoi mnie.

Zbadaj to wszystko. Dostałem nowy transport papieru i teraz nie wiem, co robić. Nie chciałbym wpaść, a znowu z papierem też nie mogę długo czekać bezczynnie. Pomyślą, że ich kantuję. Rozumiesz?

- Rozumiem. Zajmę się Waliczkiem i Wierzbickim.

Bądź spokojny.

- A na drugi raz przyjeżdżaj na spotkanie ze mną taksówką, nie swoim wozem - powiedział Weland i podniósł się z ławki.

Rozdział IX

Sierżant Kaczor zasłużył na pochwałę swych przełożonych. Z powierzonego sobie zadania wywiązał się bez zarzutu. Jego krótki raport zawierał bardzo interesujące informacje.

- Czy nikt was nie widział, jak zaglądaliście do chałupy?

- Oczywiście, towarzyszu majorze. Przecież widziałem na własne oczy. Szyba była co prawda niezbyt czysta, ale od razu się zorientowałem, że to dolary.

- Czy nikt was nie widział, jak zaglądaliście do chałupy?

- Myślę, że nie.

- Jak się nazywa ten chłop?

- Tomasz Piskorczyk. Napisałem w raporcie.

- Nie rozmawialiście z nim?

- Nie. Nie chciałem go spłoszyć. Po co miałem rozmawiać?

- Słusznie. Dobrze zrobiliście. A jak Wierzbicki wyszedł od tego Piskorczyka, to gdzie poszedł?

- Poszedł na stację i pojechał tam, na te wczasy.

- Czy sądzicie, że on się nie zorientował, że jest śledzony?

- E, na pewno nie. Przecież stale w jednym ubraniu nie chodziłem. Raz miałem wąsiki i na głowie czapkę, drugiego dnia kapelusz i brodę, to znowu okulary przeciwsłoneczne. Nie mógł się kapnąć. Zresztą nie zwracał na mnie żadnej uwagi.

Downar jeszcze raz przebiegł oczami raport sierżanta. Wyjął z kieszeni długopis i coś podkreślił.

- Powiedzcie mi, ile razy Wierzbicki kontaktował się z tym Waliczkiem?

- Dwa razy z nim rozmawiał.

- A po transakcji z Piskorczykiem?

- Po transakcji osobiście nie widział się z nim, ale mógł się porozumieć telefonicznie. Parę razy telefonował z automatu. Nie wiem” do kogo dzwonił.

Downar odbył krótką naradę z Sarneckim, a następnie wziął wóz i pojechał do Nowej Wsi. Zabrał ze sobą sierżanta Kaczora.

Tomasz Piskorczyk był zamożnym chłopem. Około dwudziestu hektarów ornego pola, prócz tego duży sad, ogród warzywny, piękna pasieka. Zabudowania gospodarskie były w doskonałym stanie, a niedawno wykończony nowy dom błyszczał świeżym tynkiem. Wszędzie tu czuć było, dobrobyt i staranną rękę zapobiegliwego gospodarza.

Właśnie Piskorczykowie skończyli obiad i w kuchni unosił się intensywny zapach kapuśniaku. Na widok milicyjnych mundurów ogarnął ich niepokój, którego nie potrafili ukryć. Oboje podnieśli się od stołu i wyczekując, spojrzeli na przybyłych.

Downar z pogodnym, przyjacielskim uśmiechem powiedział „dzień dobry”, a następnie wyjaśnił, że są spragnieni i proszą o wodę.

- Może mleka? - zaproponowała skwapliwie Piskorczykowa. Widać było, że odetchnęła z prawdziwą ulgą.

Downar potrząsnął głową.

- Nie, nie, dziękujemy bardzo. Woda wystarczy. - Rozejrzał się po obszernej kuchni i dodał: - Ładne gospodarstwo. Musi dawać niezły dochód.

- Jaki tam dochód? - jęknął Piskorczyk, a jego okrągłe ciemne oczy znowu niespokojnie błysnęły. - Morduje się tylko człowiek i nic z tego nie ma. Podatki, panie, wszystko zjedzą.

Downar wypił wodę i pusty kubek postawił na stole.

- Na to, żeby kupić te kilka dolarów, zawsze starczy - powiedział, ocierając wilgotne wargi.

Piskorczyk zamienił z żoną szybkie spojrzenie. Ruszyła ku drzwiom.

- Gdzie się pani tak śpieszy? - spytał Downar. - Niech pani trochę z nami posiedzi. Z tych dolarów i tak wielkiej pociechy nie będzie.

- My nijakich dolarów nie mamy. Nie wiem, co pan...? Downar przerwał jej ruchem ręki.

- Dajcie spokój. Doskonale wszyscy wiemy, o co chodzi. Po co będziemy sobie bajki opowiadali.

- Dolary wolno mieć - powiedział Piskorczyk i zrobił zdziwioną minę, jakby zdumiała go jego własna śmiałość. - Wolno mieć -

powtórzył z przekonaniem.
- Wolno mieć, ale nie wolno nimi handlować, a wy dwa dni temu kupiliście dolary od niejakiego Wierzbickiego. Nie zaprzeczajcie, bo to się na nic nie zda.
- A mówiłam ci, że na szpicla wygląda! - wybuchnęła Piskorczykowa.
- Myli się pani - uśmiechnął się Downar. - Tu obecny sierżant widział przez okno, jak kupowaliście dolary od Wierzbickiego.
- Przez okno?... - Piskorczyk spojrzał niedowierzająco. - I pies by nie szczekał?
- Pies spał - wyjaśnił sierżant Kaczor.
- Zatłukę drania! Nie po to mu daję zryć, żeby spał.
- No więc przyznajecie się, żeście kupili dolary? Chłop wzruszył ramionami
- Ano... jak pan sierżant widział... to co mam powiedzieć? Przynieść?
- Przynieście.
Po chwili Downar oglądał dziesięcio - i dwudziestodolarowe banknoty.
- Kupiliście od niego osiemdziesiąt?
- Tak.
- Jak to się stało, że kupiliście dolary właśnie od tego faceta? Znaliście go przedtem? Piskorczyk potrząsnął głową.
- Wcale go nie znaliśmy. Sąsiada syn nam go naraił
- Jak się nazywa ten sąsiad?
- Kalinowski. Jego chłopak czasem do ojców przyjeżdża, ale przeważnie przesiaduje w Warszawie.
- To panów nie interesuje - wtrąciła się Piskorczykowa. - Nie gadaj, co nie trza.
- Ależ to nas bardzo interesuje - zapewnił Downar. - Niech pan mówi dalej.
- Ze niby o czym?
- O tym Kalinowskim. To on was poznał z Wierzbickim?
- On.
- Chcieliście kupić dolary.
- No bo, panie majorze... - Chłop poskrobał się w głowę. - Bo widzi pan... Tyra się od świtu do nocy, to i odłożyło się trochę

grosza, więc...
- Więc chcieliście w czymś ulokować.
- O, właśnie.
- Ja ci mówiłam, żebyś kupił złoto - wtrąciła się Piskorczykowa. - Nie byłoby tego całego kramu. Ale do ciebie gadać, to jak do słupa.
- Cicho, matka, cicho. Nie pora teraz na krzyki. Co się stało, to się nie odstanie.
- Więc to Kalinowski przyprowadził do was Wierzbickiego? - spytał Downar.
- Niby nie przyprowadził, tylko go przysłał z kartką.
- A skąd on wiedział, że chcecie kupić dolary?
- Tak się kiedyś zgadało.
- A ten młody Kalinowski czym się właściwie zajmuje? Pracuje gdzieś? Piskorczyk zaprzeczył z ożywieniem.
- Pracować, to on nigdzie nie pracuje. On tam do pracy niezdatny. Tak kombinuje, handluje.
- Czym handluje?
- Różnie. Zagraniczną odzieżą, tytoniem, wódką, kotami. Czym popadnie.
- Kotami? - zdziwił się Downar.
- Bywa, że i kotami.
- Nie rozumiem.
Chłop wzruszył ramionami.
- Co tu jest do rozumienia: sprzedaje koty na skórki i tyle.
- Jakie koty?
- Zwyczajne, dzikie, bezpańskie.
- A komu sprzedaje?
- Różnym. Takim, co robią futra. Szczygielskiemu.
- Gdzie ten Szczygielski mieszka?
- A tu, niedaleko. Pod tamtym laskiem, co go widać z okna.
- A Kalinowski gdzie mieszka?
- Tego to nie wiem. Gdzieś w Warszawie. Tutaj mieszka jego ojciec. Matka zmarła w tamtym roku.
Downar zapiął pod szyję mundur i wstał.
- A teraz posłuchajcie mnie uważnie. Ja te dolary muszę zabrać, ale nie martwcie się. I tak nie mielibyście z nich

pociechy. Są fałszywe.

- Fałszywe?!

- Tak. Padliście ofiarą oszustów. Jeżdżą po wsiach i sprzedają frajerom fałszywe dolary.

- A to złodzieje! - krzyknął zaperzony Piskorczyk. - Niech no dostanę w swoje ręce tego Wierzbickiego albo Bolka, już ja ich nauczę. Dobrze, że choć tych ośmiuset złotych nie dopłaciłem.

- Jakich ośmiuset złotych?

- Ano za te dolary jeszcze im jestem winien. Ma przyjść jutro, pojutrze.

- Łeb rozwalę draniowi - powiedziała z przekonaniem Piskorczykowa. - Oszusty przeklęte. Wydrwigrosze.

- Nie róbcie żadnych awantur - doradził Downar. - Pobijecie człowieka, dojdzie do sprawy sądowej, okaże się, że skupujecie dolary... Będą przykrości.

- Racja - przytaknęła baba, która od razu ostygła z wojowniczego zapału. - Święta racja.

Piskorczyk zbliżył się do żony.

- Ty się w te sprawy nie mieszaj! Już ja sam z nim załatwię. Za drzwi wyrzucę i psem poszczuję! A ty siedź cicho, nie wtrącaj się. Downar wziął ze stołu dolary i skinął na sierżanta. Pojechali do Kalinowskiego.

Zapadła w ziemię chałupa, pokryta połatanym nieporządnie dachem. Ogród zarośnięty chwastami. Walący się chlew. Na środku podwórza kupa gnoju, po której spacerowały trzy chude prosięta i kilka kur. Wszędzie widać było opuszczenie i całkowite zaniedbanie.

Kalinowski siedział na wąskiej ławce przed domem i łatał stare juchtowe worki. Chłop był duży, masywny. Twarz miał szeroką, pooraną zmarszczkami. Bladoniebieskie oczy wyglądały jak wypłowiałe od słońca. Ruda broda była zmierzwiona i nosiła ślady posiłków.

- Dzień dobry - powiedział Downar.

Chłop podniósł oczy na przybyłych, mruknął coś niewyraźnie, ale z miejsca się nie ruszył. Czekał.

- Czy pan Kalinowski?

- Franciszek - wyjaśnił brodacz i dalej łatał worek.

- Chcieliśmy z panem porozmawiać.
- Niby o czym?
- O różnych sprawach. Może wejdziemy do domu, bo tak na świeżym powietrzu to trochę nieporęcznie.
- Jak panowie chcą. - Stęknął i dźwignął się z ławy. Minęli brudną, zagraconą sień i Kalinowski pchnął drzwi. Zatrzymali się w progu zdziwieni, zaskoczeni. Obszerna izba przedstawiała sobą niezwykły widok. Dwa nowe tapicerskie tapczany, dywany na podłodze i na ścianach, cztery głębokie fotele pokryte czerwonym aksamitem, telewizor z dużym ekranem, radio z adapterem, muzealne lustro w złoconej ramie, mahoniowy stolik. Wnętrze to tak jaskrawo kontrastowało z obrazem walącej się chałupy, że Downar patrzył na nie jak na coś zupełnie nierealnego: Dopiero po chwili ochłonął z wrażenia.
- Ładnie tu u pana - powiedział. Kalinowski obojętnie wzruszył ramionami.
- A dlaczegóż miałoby być brzydko? - Wskazał fotele. - No to niech już panowie siadają.

Usiedli. Downar spojrzał na sierżanta Kaczora, a sierżant Kaczor na Downara. Downar odchrząknął.
- Przyszliśmy, żeby porozmawiać z panem o pańskim synu.
- Że niby co?
- Czym pański syn się zajmuje?
- Nie wiem.
- Jak to pan nie wie?
- No tak, że nie wiem. Nie mówi mi, czym się zajmuje, a ja go nie pytam. Nie lubię się wtrącać do cudzych spraw.
- Ależ to pański syn.
- No co z tego, że syn? Nie dziecko. Ma już, chwalić Boga, dwadzieścia siedem lat.
- I pan nie wie, co on robi, gdzie pracuje?
- Przecież mówię, że nie wiem.
- Tu z panem nie mieszka?
- Nie.
- A gdzie mieszka? - W Warszawie.
- Może pan nam podać j ego adres?
- Nie znam jego adresu.

- Niech pan przestanie sobie kpiny urządzać! - zdenerwował się Downar. - Nie wmówi mi pan, że pan nie zna adresu swego syna.

- Żadnych kpin nie urządzam - powiedział spokojnie Kalinowski. - A adresu Bolka faktycznie nie znam, bo stałego adresu nie ma.

- Jak to?

- Ano tak. Raz mieszka w jednym miejscu, potem gdzie indziej. Lubi zmiany.

- To pewnie nie melduje się? - Ja tam nie wiem.

- A jak panu się zdaje, dlaczego on tak często zmienia mieszkanie, nie melduje się?

Kalinowski wygodnie rozparł się w fotelu i zapalił papierosa.

- Może nie chce, żeby go milicja miała na oku?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Kalinowski roześmiał się, ale śmiech ten zabrzmiał niezbyt szczerze.

- Jak panowie weszli do mej chałupy, to się panowie trochę zdziwili tym urządzeniem tutaj.

- Tak, owszem - przyznał Downar.

- To wszystko Bolek zwozi. Kupuje i przywozi. A żeby takie rzeczy kupić, trzeba mieć pieniądze, no nie?

- Raczej tak.

- Właśnie. Sam telewizor kilkanaście tysięcy. Ostatni model. A żeby panowie wiedzieli, co jeszcze tu mam w piwnicy! Duże pieniądze... Teraz pan już rozumie, dlaczego mój syn często zmienia adres.

Downar skinął głową.

- To rozumiem. Nie bardzo natomiast rozumiem, dlaczego pan nam to wszystko opowiada.

Kalinowski wzruszył ramionami. W jego wypłowiałych oczach zamigotała drwina.

- Dlaczegóż nie miałbym mówić o tym? Przecież i tak mogą panowie w każdej chwili przeprowadzić rewizję w moim domu.

- Ale dlaczego synowi robi pan taką złą opinię?

- On i tak już ma złą opinię. Jemu nic nie zaszkodzi ani nic nie pomoże.

- Siedział w więzieniu?

- E, nie, co to, to nie. Bolek nie siedział i siedzieć nie będzie.

- Jeżeli pan twierdzi, że prowadzi jakieś nieczyste interesy, to skąd ta pewność?

- A ja tak powiedziałem? Bolek to sprytny chłopak. Ma głowę... Nigdy nie da się nakryć. Nigdy mu niczego nie dowiodą. - Słowa te wypowiedziane były z taką ojcowską dumą i z taką niezachwianą wiarą, że Downar nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Chciałbym się zobaczyć z pańskim synem. Mam do, niego interes. Jak to zrobić?

- Mówiłem już, że nie znam jego adresu.

- I nie wie pan, gdzie go można znaleźć?

- Nie wiem.

- Ale u pana bywa od czasu do czasu?

- Bywa.

- A kiedy go się pan teraz spodziewa?

- Tego nie wiem. Nigdy nie wiem, kiedy przyjedzie.

Downar doszedł do wniosku, że dalsza rozmowa z tym człowiekiem jest bezprzedmiotowa. Spojrzeniem porozumiał się z sierżantem i wstał.

- Do widzenia. A niech pan powie swojemu synowi,1 panie Kalinowski, że bardzo wygodnie siedzi się w ty chi fotelach. Szkoda, że do więzienia nie pozwalają zabierać ze sobą mebli. Kiedy wsiadali do samochodu, sierżant Kaczor burknął z widoczną irytacją:

- Ja bym drania zmusił do mówienia. Tu nie da rady tak delikatnie.

Downar uśmiechnął się.

- I tak znajdziemy tego Boleczka, a lepiej zrobić to spokojnie. Teraz miałbym ochotę zobaczyć się z amatorem kocich skórek.

Kazimierz Szczygielski mieszkał daleko poza wsią, pod lasem. Hodował srebrne lisy, rasowe kury, a poza tym trudnił się garbarstwem. Skupywał bezpańskie koty, wyprawiał skórki i przygotowywał całe błamy, które farbował, następnie zaś sprzedawał znajomym kuśnierzom. Był to człowiek niezwykle pracowity i zapobiegliwy. Umiał chodzić koło swoich interesów

i miał tak zwaną „szczęśliwą rękę”. Wszystko mu się udawało. Nie bez powodu też uważany był powszechnie za bogacza, chociaż ani jego wygląd, ani urządzenie mieszkania wcale na to nie wskazywały. Całe lato chodził w drelichowych brudnych spodniach i w zielonej, harcerskiej koszuli, w zimie zaś nie rozstawał się z waciakiem.

Widok milicyjnych mundurów nie zrobił większego wrażenia na starym farmerze. Poprosił gości, żeby usiedli na obrośniętym winem ganku i wyniósł z domu kosz z owocami.

- Żona mi trochę choruje - powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić.

Downar przeprosił uprzejmie za to niespodziewane najście, porozmawiał chwilę o pogodzie, upalnym lecie i o sprawach gospodarskich, wreszcie uznawszy, że dobrym obyczajom stało się zadość, przystąpił do rzeczy.

- Chcieliśmy pana prosić o pomoc. Potrzebne nam są pewne informacje.

- Jakich informacji mógłbym panom udzielić? zdziwił się Szczygielski.

- Czy pan zna niejakiego Kalinowskiego?

- Tego z naszej wsi? Franciszka?

- Chodzi o jego syna. Chuda, opalona twarz jakby przygasła.

- Znam tego chłopaka - padła krótka, niechętna odpowiedź.

- Co pan o nim może powiedzieć?

- Nic. Chłopak jak chłopak.

- Czym on się zajmuje?

- Nie wiem. Coś tam robi, ale co... Nie interesuję się.

- Czy przeprowadzał pan z nim jakieś transakcje handlowe?

- Nie.

- Podobno kupował pan od niego koty?

- Kto to panu powiedział?

- Niejaki Piskorczyk.

- Stary plotkarz - mruknął gniewnie Szczygielski. - No tak, kupiłem kiedyś od tego chłopaka kilka kotów, ale przecież to nie żaden handel.

- Po ile płacił pan za kota?

- Jak ładny to do stu dwudziestu złotych, gorsze po

osiemdziesiąt.
- Robi pan futerka?
- Tak. Na własny użytek.
- Rozumiem. Czy pan wie, gdzie mieszka Bolesław. Kalinowski?
- Gdzieś w Warszawie. Niech pan spyta jego ojca.
- Pytałem, ale mówi, że nie wie.
Szczygielski zaśmiał się skrzekliwie.
- Stary cwaniak. Nie chce powiedzieć i tyle...
Downar zwrócił się do Szczygielskiego:
- A pan rzeczywiście nie orientuje się, jak można się skontaktować z młodym Kalinowskim?
- Nie mam pojęcia. Może się o niego dowiedzieć u Waliczka?
- Kto to jest Waliczek?
- Taki tam pociotek Kalinowskich. Mieszka w Warszawie.
- Zna pan jego adres?
- Nie, ale dowie się pan w biurze adresowym. Zresztą panowie chyba dadzą sobie radę.
- Myślę, że tak - uśmiechnął się Downar. - Miło tu u pana, czysto, porządnie - dodał rozglądając się po obejściu. - Zupełnie inaczej niż u tego Kalinowskiego.
- Widzieli panowie jego ruderę?
- Tak. Wali się tam wszystko. Dziwny człowiek.
- Po mojemu to on jest pomylony - powiedział Szczygielski. - Ja to nawet boję się do niego chodzić.
- Dlaczego?
- A bo z nim nigdy nie wiadomo. Chłop silny jak niedźwiedź. Jak wpadnie w złość, to może i zabić. Tutaj w zeszłym roku pobił jednego, że go ledwie, odratowali.
- Miał sprawę? Siedział?
- Ale skąd. Tamten go nawet nie zaskarżył.
- Dlaczego?
- Bał się. Kalinowskiego się ludzie boją. Nikomu nie pilno na tamten świat. Powiadają, że on kiedyś miał wariackie papiery i że dlatego nie boi się nikogo.
Nie zauważyli, że niebo pokryło się niespodziewanie czarnymi chmurami. Huknął grzmot i zaraz potem lunął ulewny deszcz.

- Może panowie pozwolą do domu - zaproponował Szczygielski. - Nie pojedziecie chyba w taką burzę.

Weszli. Sień była duża, mroczna, pachniała suszonymi grzybami i świeżo wyprawioną skórą. Kiedy Downar kładł czapkę na wieszaku, zauważył leżący pod lustrem elegancki ciemnofioletowy szalik.

Rozdział X

Wierzbiccy wcześniej wrócili z urlopu. Maria dowiedziała się wreszcie o tragicznej śmierci ich współlokatorki i natychmiast spakowała rzeczy. Nieustannie też robiła wymówki mężowi, że nic jej o tym nie powiedział. Przecież to była dla niej bardzo istotna sprawa, tak istotna, że znaczenie ponurej zbrodni zredukowała do minimum.

- Biedna pani Leokadia - westchnęła. Zaraz potem zaczęła snuć plany dotyczące zajęcia wolnego pokoju. - Dlaczego to wszystko trzymałeś w tajemnicy?

- Nie chciałem ci popsuć wakacji - tłumaczył się bez; przekonania Jan. - Wiedziałem, że się zdenerwujesz.

- Ale przecież chodzi o ten pokój, który się zwolnił. Nie rozumiesz?

- Owszem, rozumiem. Naturalnie.

- No więc trzeba było od razu działać, złożyć podanie...

- Pokój jest na razie opieczętowany przez milicję.

- No to co z tego, ale w kwaterunku już możesz załatwiać. Na co czekasz? Chcesz, żeby cię ktoś ubiegł? Siadaj zaraz i pisz.

Jan posłusznie spełnił rozkaz żony. Wiedział, że opór na nic się nie zda, a poza tym przyznawał w duchu rację Marii. Trzeba było zdobyć ten pokój. Później może się z kimś zamienią. Nie chciał zostać w tym mieszkaniu. Wspomnienie tego, co się stało, było dla niego trudne do zniesienia.

Hieny - myślał z rozgoryczeniem. - Szakale. Cieszymy się z cudzego nieszczęścia, z cudzej śmierci. Obrzydliwe.

A jednak to było właśnie życie. Starał się przekonać sam siebie, że tak się działo i dzieje od początku świata. Jedni odchodzą, żeby drugim zrobić miejsce. Co dla jednych jest tragedią, dla drugich szczęściem. Śmierć sarny pozwala wilczycy wyżywić małe. Mimo tych filozoficzno-zoologicznych rozważań, Jan czuł się bardzo źle, wybiegał z domu i z niepokojem myślał o powrocie do mieszkania na Wąskim

Dunaju. Unikał żony, przestał bawić się z dziećmi, z utęsknieniem oczekiwał końca urlopu. Normalna, codzienna, biurowa praca wydawała mu się ratunkiem. Chciał jak najprędzej uciec od swych myśli, od wyrzutów sumienia, które nie przestawały go dręczyć. Pragnął śmierci tej kobiety i teraz z całą konsekwencją idzie złożyć do kwaterunku podanie o przydział jej pokoju. Dlaczego nie wyjechała do Ameryki? Dlaczego została tutaj i pozwoliła się zamordować? Czy będzie mógł żyć w tym mieszkaniu? Czy będzie mógł zapomnieć? Do tych niepokojów dołączył się jeszcze strach, spowodowany podejrzanymi transakcjami handlowymi. Perspektywa łatwego i dużego zarobku oszołomiła go. Od początku zdawał sobie przecież sprawę z tego, że wchodzi na drogę występku. Zdecydował się jednak zrezygnować z wszelkich skrupułów i za wszelką cenę zdobyć pieniądze, skończyć raz na zawsze z tą ponurą nędzą, w której tkwił beznadziejnie. W praktyce jednak okazało się, że zarobki nie były wcale takie zawrotne, a handel fałszywymi dolarami wymagał ogromnego wkładu energii i pociągał za sobą duże ryzyko. Czy nie lepiej było się z tego wycofać póki czas?

Na drugi dzień po powrocie z rodziną do Warszawy odwiedził swojego wspólnika.

Waliczek przyjął go bez entuzjazmu.

- Nie powinieneś do mnie przychodzić - powiedział gniewnie. - Możesz być śledzony.

- Śledzony? Dlaczego?

- No przecież już byłeś przesłuchiwany przez milicję.

- To chodziło o morderstwo.

- Nigdy nie wiadomo, o co im naprawdę chodzi, tym z Pałacu Mostowskich. Nie pokazuj się tu u mnie.

- Chciałem porozmawiać... Waliczek wytarł spocone czoło.

- Ja także chciałem z tobą porozmawiać. Chodź, przejdziemy się trochę.

Poszli nad Wisłę i usiedli w Parku Kultury, niedaleko mostu Poniatowskiego. Z oddali dolatywało głuche dudnienie tramwajów. Promienie słońca natrętnie przedzierały się przez zakurzoną zieleń.

Waliczek odczekał, aż grupa wyrostków podniosła się z sąsiedniej ławki, rozejrzał się podejrzliwie dokoła i powiedział:
- Wiesz co, Jasiu? Zdaje się, że będziemy musieli na jakiś czas przestać handlować.
- Ja w ogóle chyba zrezygnuję - mruknął Wierzbicki.
- A co, nie podoba ci się?
- To jest ryzykowne zajęcie. Waliczek parsknął śmiechem.
- Ty jesteś lepszy facet. Jak się chce prędko większą forsę załapać, to trzeba ryzykować. Bez ryzyka nie ma nic.
- No tak... oczywiście. Rozumiem. Ale ja mam żonę, dzieci...
- Jeżeli się boisz, to cię nie namawiam. Każdy robi tak, jak mu wygodniej.
- Jeszcze mi się należy osiemset złotych od jednego chłopa. Jutro pojadę.
- Nigdzie nie pojedziesz.
- No, a osiemset złotych?
- Machnij na nie ręką. Tam nie możesz się pokazać. Nigdzie nie możesz się już pokazać. Przynajmniej na razie.
- A co się właściwie stało? - zaniepokoił się Wierzbicki.
- Jeszcze nic się nie stało, ale może się stać. Chyba masz rację. Lepiej, żebyś się wycofał z tej roboty. Ty się do tego nie nadajesz.

Wierzbicki był przybity.
- Nie wiem, czy ja się w ogóle do czegokolwiek nadaję - mruknął ponuro. Posiedział jeszcze chwilę, a potem wstał, rozejrzał się, powiedział - do widzenia - i ruszył wolnym, zrezygnowanym krokiem w kierunku Książęcej. Waliczek nie zatrzymywał go. Patrzył za oddalającym się i klął pod nosem. Nie mógł sobie darować, że w chwili jakiegoś zamroczenia związał się z tym człowiekiem.
- To jest niebezpieczny facet - mruczał. - To jest bardzo niebezpieczny facet.

W nagrzanych słońcem krzakach było duszno. Idący od Wisły chłodniejszy powiew tutaj nie docierał. Waliczek ciężko sapnął i niechętnie dźwignął się z ławki. I iść mu się nie chciało, i siedzenie tu męczyło go.

Powinienem chyba schudnąć - myślał i posmutniał. Już od

dawna lekarz kazał mu zrzucić kilka kilogramów.! Kuracja odchudzająca łączyła się jednak ściśle z ograniczeniem jedzenia, a to było bardzo trudne do zrealizowania. Na domiar złego Anielcia nie miała żadnego zrozumienia dla tych spraw. Gotowała smacznie i dużo. Chętnie zastawiała stół pachnącymi potrawami i mówiła:

- Jedz, jedz, nie żałuj sobie. Nim tłusty schudnie, to chudego diabli wezmą. Po śmierci będziesz się odchudzał. A doktorowi nie wierz, niech sam pości, jak ma ochotę. - W tych warunkach smukła linia stawała się mirażem nie do osiągnięcia.

W domu czekała na Waliczka niemiła wiadomość.

- Był Bolek - powiedziała pani Aniela. - Ma do ciebie jakąś ważną sprawę. Mówił, żebyś zaraz przyjechał do „Popularnej”.

- Rany boskie - jęknął Waliczek. - Na taki upał. To nie mógł tutaj poczekać?

- Bardzo się śpieszył. Nie chciał nawet usiąść.

- A powiedział coś?

- Powiedział: „Ciociu, zdaje się, że będzie klops. Niech wujek zaraz przyjedzie do »Popularnej«,,.

Nagle cała ociężałość opuściła Waliczka. Wiedział, że Bolek to łebski chłopak, nie żaden panikarz. Jeżeli on wszczyna alarm, znaczy, że sytuacja jest rzeczywiście poważna.

- Mamy w domu jakąś walutę? - spytał pośpiesza nie.

- Trochę twardych.

- Zlikwiduj. Natychmiast. Zanieś do Szulcowej. A jak by ktoś się pytał o Wierzbickiego, pamiętaj, że go nie znasz i że nigdy o nim nie słyszałaś...

- Czy przypuszczasz, że to on coś narozrabiał? - spytała pani Aniela.

- Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Wszystko jest możliwe. To ofiara życiowa.

- Więc po coś go wciągał?

- Nie zawracaj mi teraz głowy! - zdenerwował się Waliczek. - Nie mam czasu na dyskusje. Daj mi świeżą koszulę, bo tę już przepociłem. Cholerny upał. - Poszedł do łazienki, wziął prysznic i po chwili, odświeżony, raźno wybiegł z domu.

Bolek Kalinowski siedział w końcu mrocznej salki i popijał

piwo. Był zdenerwowany. Na widok wchodzącego Waliczka energicznie poderwał się od stolika.
- Dobrze, że wuj przyszedł. Nie mogłem się już doczekać.
Waliczek usiadł, odsapnął i spytał:
- Co się stało? Czego robisz taki alarm?
- Wuj wie, że ja o byle co nie robię krzyku. Milicja była u mojego ojca.
- Milicja? Czego chcieli?
- Pytali o mnie. Mocno węszą. Byli także u Szczygielskiego i u Piskorczyka.
- Ktoś ich na ciebie napuścił, ale kto?
- Nie wiem. Może Piskorczyk. To kawał drania.
- Myślisz, że chodzi o nasz towar?
- Nie mam pojęcia. Może. Piskorczyk chciał kupić. Posłałem do niego Wierzbickiego.
Waliczek aż podskoczył na krześle.
- Zwariowałeś? Tego idiotę?
- No, przecież wuj z nim pracuje.
- Nieporozumienie. Zawiodłem się na facecie. Już go odstawiłem.
- Nic o tym nie wiedziałem. Uważałem, że wuj ma do niego zaufanie.
- To źle uważałeś. Myślisz, że on coś narozrabiał?
- Czort" go wie. Wzięli go może na milicję?
- Nie. Jeszcze nie.
Waliczek siedział zamyślony. Na mokrym od potu czole pojawiły się głębokie zmarszczki, w oczach widać było napięcie.
- Jeszcze go nie brali na przesłuchanie, ale lada chwila mogą go wezwać do komendy. Jak go wezmą w obroty... Nie możemy do tego dopuścić. To miękki facet. Powiej wszystko.
- No to trzeba tak zrobić, żeby nie powiedział. - Głos Kalinowskiego zabrzmiał zupełnie spokojnie, ale było w nim coś takiego, że Waliczek, mimo upału, poczuł zimny chłód w okolicy kręgosłupa. Pochylił się nad stolikiem i uważnie spojrzał na chłopaka. Znał przecież dobrze tę owalną, pociągłą twarz o delikatnych, niemal dziewczęcych rysach, te drobne, wąskie usta, rysujące się nikłą czerwoną linią, nigdy jednak

dotychczas nie zauważył w porcelanowych oczach Bolka wyrazu takiego zimna, okrucieństwa. To było coś przerażającego i fascynującego zarazem. Spojrzenie węża hipnotyzującego swą ofiarę.

- Co, Boleczku? - spytał cicho Waliczek i poczuł jak musi się czegoś napić.

- Myślę, że byłoby niedobrze, gdyby Wierzbickiego wzięli na przesłuchanie.

- Tak. Byłoby niedobrze.

- Może mógłby wyjechać, zniknąć?

- Może mógłby - powtórzył jak echo Waliczek i dodał schrypniętym głosem: -Komplikacja.

- Co wuj radzi?

- Ja nic nie radzę. To przecież ciebie milicja szukała, nie mnie.

Zacięte usta Kalinowskiego wykrzywiły się w nieszczerym uśmiechu.

- Wuj żartuje. Jeżeli im chodzi o towar, to i do wuja dojdą.

- Ty mi chyba, Boleczku, nie zaszkodzisz?

- Może i zaszkodzę, jak nie będę miał innego wyjścia.

- Nie zrobisz tego.

- Zrobię.

- Jesteś szczery.

- A wuj by wolał, żebym wuja picował?

- Przynajmniej wiem, czego się trzymać - mruknął Waliczek.

- Wuj i tak wie, czego się wuj może po mnie spodziewać.

- Wiem.

- To dobrze. A jak będzie z tym Wierzbickim?

- Załatw to jakoś, Boleczku.

- Wuj mi pomoże.

- Ja się do tego nie chcę wtrącać. Kalinowski zachichotał cicho.

- Z wuja to lepszy numer. Wszystko by wuj chciał »a mnie zwalić, co?

- A mało to przy mnie zarobiłeś?

- Wuj przy mnie także nie miał krzywdy. Ładnych parę złotych napędziłem wujowi do kieszeni.

Twarz Waliczka spąsowiała.

- Jesteś bezczelny. Jesteś...

- Spokojnie, wujaszku. Po co te nerwy? Za gorąco na rodzinne sceny. Ja miałem korzyści z wuja, a wuj miał pożytek ze mnie. Chyba jesteśmy kwita. Nie ma co podskakiwać.

Waliczek sapał jeszcze przez chwilę, ale się uspokoił.

- No, dobrze, już dobrze. Trochę mnie to wszystko wyprowadziło z równowagi.

- Pewnie. Nikomu się do pudła nie śpieszy.

- Wypluń to słowo.

- Kiedy mi w gardle zaschło - uśmiechnął się Bolek. - Więc jak robimy?

- Może by się porozumieć z Waldemarem? Kalinowski skrzywił się z niesmakiem.

- Nie znoszę tego miglanca. We łbie mu się przewróciło. Wydaje mu się, że jest Bóg wie nie co. Udaje wielkiego człowieka. Amant filmowy, cholera, z Psiej Wólki.

- Daj spokój - prychnął niechętnie Waliczek. - Co żeś się czepił człowieka? Jaki jest, taki jest. Pies z nim tańcował. Dał nam zarobić sporo forsy, a to się liczy. Teraz najważniejsze, co z tym Wierzbickim. Boję się, za go jednak wezmą na milicję. Przecież w razie czego i ciebie sypnie.

- Ja się wszystkiego wyprę. Niczego mi nie dowiodą.

- Ale ty go skontaktowałeś z tym Piskorczykiem.

- Ja. No to co z tego?

- Ile Piskorczyk kupił?

- Chyba pięćset. Przynajmniej tyle chciał.

- Osobiście ich spiknąłeś?

- Nie. Dałem Wierzbickiemu kartkę do Piskorczyka.

- A jak znajdą tę kartkę? Kalinowski wzruszył ramionami.

- Wątpię. Chyba Piskorczyk nie przechowuje takich rzeczy. A zresztą napisałem w tej kartce, żeby Wierzbickiemu wynajął izbę na letnisko. Tak się umówiliśmy. Niczego mi nie dowiodą.

- Nie bądź taki pewny siebie. Przecież pytali o ciebie ojca.

- E, już nieraz pytali. To niegroźne. W razie czego zawsze mogę powiedzieć, że tatuś trochę szurnięty. Wuj jest w gorszej sytuacji.

Waliczek poruszył się niespokojnie.

- Dlaczego uważasz, że w gorszej?

- Bo wuj z nim parę numerów zrobił. Jak go przycisną...
- Boleczku... Pomóż. Załatw jakoś tak, żeby było dobrze.

Kalinowski uśmiechnął się.

- Załatwię, ale na koszta mi potrzeba.
- Ile?
- Jak dla wuja dziesięć patyków.
- Chcesz mnie zrujnować? Wstydu nie masz.
- Niech wuj da spokój. Jakbym się zaczął tak bardzo wstydzić, to z czego bym żył. Zresztą ja wuja nie namawiam. Niech wuj sobie sam załatwia. Do takich rzeczy trzeba mieć kogoś do pomocy. Wuj nie chce. A jak sobie jakiego kumpla przygrucham, to muszę mu odpalić, nie?

Waliczek westchnął ciężko, sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął plik pięćsetek. Dyskretnie, pod stolikiem, odliczył czternaście sztuk.

- Na razie masz siedem. Nie mogę w tej chwili więcej. Potem ci dopłacę.

Bolek schował pieniądze i wstał.

- No dobrze. Ale niech wuj nie próbuje mnie kantować, bo może to wuja drożej kosztować.
- Ale coś ty, Boleczku? - obruszył się Waliczek. - Czyś ty widział, żebym ja kiedy kogo wykantował? Jak umowa, to umowa. Tylko załatw dyskretnie i zgrabnie, tak jak ty to potrafisz.
- Może wuj być spokojny.

Po wyjściu z „Popularnej” Kalinowski poszedł na MDM, usiadł w „Niespodziance”, zamówił dużą kawę i pogrążył się w zadumie.

Mokra robota nigdy go nie nęciła. Nie dlatego, żeby miał jakieś obiekcje natury moralnej, pozbawiając kogoś życia, ale ryzyko było zbyt duże i odpowiedzialność karna nieproporcjonalnie wysoka w stosunku do uzyskanych korzyści. Wiedział, że ci z wydziału kryminalnego umieją pracować i znają się na rzeczy. Niejeden już wpadł, chociaż pozornie wydawało się, że sprawa jest nie do rozszyfrowania. Zawsze więc starał się tak manipulować, żeby nie wdawać się w imprezy, wymagające użycia noża czy kastetu. To było dobre

dla młodocianych, niewyżytych chłopaczków, ale nie dla niego.

Z Koszyckim poznał się przed kilkoma laty. Denerwował go ten zarozumiały, pogardliwie odnoszący się do niego facet, ale czuł, że przy nim można w inteligentny sposób zarobić grubszą forsę. Zaczęli razem pracować, zrobili parę udanych numerów, a potem nastała era dolarowa. To był dobry interes i stosunkowo mało ryzykowny. Pragnąc ryzyko zmniejszyć do minimum, Kalinowski starał się tak manipulować, aby samemu nie dotykać towaru. Znajdował nabywców, których podsuwał Koszyckiemu, Waliczkowi, a ostatnio Wierzbickiemu. Czasem musiał osobiście załatwić jakąś transakcję, ale robił to niechętnie i wolał zadowolić się mniejszą prowizją, byle nie nosić przy sobie zręcznie sfabrykowanej waluty. Miał sporo dawnych grzeszków na sumieniu i musiał liczyć się z tym, że w najmniej odpowiednim momencie zostanie poddany osobistej rewizji.

Teraz nadszedł trudny moment. Należało wszystko dokładnie rozważyć i powziąć decyzję. Nie ulegało wątpliwości, że Wierzbicki mógł z łatwością wszystko zepsuć i bardzo skomplikować. Jeżeli milicjanci znaleźli u Piskorczyka dolary i pociągnęli go za język, to Wierzbicki w najbliższym czasie będzie przesłuchiwany, a wtedy... Dojdą do Waliczka. Bolek nie miał złudzeń co do tego, że ten stary dureń zacznie sypać. Wymacają także i Koszyckiego, który - broniąc własnej skóry - na pewno nie dołoży zbyt wielu starań, aby osłonić wspólników. Tak, sytuacja nie była prosta. Likwidacja Wierzbickiego mogła wiele rzeczy załatwić.

Czy rzeczywiście? Czy przede wszystkim on, Bolesław Kalinowski, nie zostanie podejrzany o morderstwo? Jeżeli przycisną Piskorczyka, dowiedzą się, kto do niego skierował Wierzbickiego z dolarami. Nietrudno wpaść na pomysł, że morderstwa dokonał ten właśnie pośrednik To będzie pierwsza hipoteza, która się narzuci oficerom prowadzącym dochodzenie. No dobrze, ale dlaczego to ma być morderstwo? Przecież codziennie zdarzają się różne wypadki. Można dostać się pod tramwaj czy pod pociąg, można się czymś zatruć, można utonąć w Wiśle w czasie kąpieli... Dużo różnych

możliwości, bardzo dużo. Na każdym kroku czyhają jakieś niebezpieczeństwa.

Rozdział XI

Koszycki niecierpliwił się. Wypalił kilkanaście papierosów, przerzucił gazety, wysłuchał długiej radiowej audycji, a Moniki jak nie było, tak nie było.

Co się z nią mogło stać? - myślał zdenerwowany. Liczył na te pieniądze i już nawet tu i ówdzie pozaciągał pożyczki, które musiał w najbliższych dniach spłacić. Miał zwyczaj punktualnie regulować swe długi, uważając to za niezbędne dla zachowania pozorów solidnego człowieka. Dziesięć tysięcy złotych ratowało w danym momencie sytuację. Wprawdzie obiecał Monice prowizję od tej sumy, ale może przecież poczekać. Nie wątpił, że uda mu się to jej wyperswadować. Kupi sobie ten płaszcz kiedy indziej. Nie pali się. Ale gdzie ona tak długo siedzi? Od przeszło godziny powinna już być u niego. Nakręcił 926 i sprawdził czas. Zegarek chodził bez zarzutu. Czyżby jej się coś przytrafiło? A może stary rozmyślił się w ostatniej chwili? W takim wypadku tym bardziej powinna była skomunikować się z nim, chociaż telefonicznie. Usiadł w fotelu i wziął książkę do ręki, ale nie mógł czytać. Nie był w stanie skupić myśli. A może zatelefonować do którejś z przyjaciółek Moniki? Podniósł słuchawkę i zaczął nakręcać numer. W tej chwili w przedpokoju zadźwięczał dzwonek. Szybkim ruchem odsunął od siebie telefon i pobiegł otworzyć.

Weszła zaróżowiona, bardzo ładna. Najwidoczniej biegła szybko, bo była zdyszana.

- No i co? Masz pieniądze?

Skinęła głową. Rzuciła torbę i rękawiczki na stół, zdjęła sukienkę i położyła się na tapczanie.

- Piekielny upał. Niech diabli wezmą tego dziada.

- Coś tak długo siedziała? Poruszyła się niecierpliwie.

- Tak ci się zdaje. Myślisz, że to łatwo poradzić sobie z takim starym prykiem. Nie mógł się zdecydować. Po sto razy pytał o ciebie, zastanawiał się, czy to nie jest zbyt duże ryzyko.

Myślałam, że oszaleję.
- Ale dał w końcu tę forsę czy nie?
- Dał, ale w dolarach.
- W dolarach?
- Tak. Powiedział, że nie mógł sprzedać telewizora i że musi wobec tego ruszyć swój żelazny kapitał. Dał sto dolarów.
- Pokaż.
Monika wyjęła z torby białą kopertę.
- Będzie trochę kłopotu z wymianą - ale to przecież jakoś się załatwi. Chyba masz kogoś, kto się tym zajmuje?
Koszycki milczał. Nerwowo wyjął z koperty banknoty i zaczął je uważnie oglądać. Straszliwy niepokój, który go ogarnął przed chwilą, okazał się niestety całkowicie uzasadniony. Tracąc panowanie nad sobą, zaklął głośno i bezwładnie opadł na fotel. Tego przecież nie mógł przewidzieć.
- Co się stało? - spytała zaniepokojona Monika. - Coś nie gra?
Spojrzał na nią tak, jakby ją zobaczył po raz pierwszy w życiu.
- Czy jesteś pewna, że te dolary dostałaś od starego Michalaka?
Usiadła na tapczanie.
- Co z tobą, Waldek? A od kogóż mogłabym dostać sto dolarów?
- Skąd on je wziął?
- Z pudełka, które wyj ął z szafy.
- Nie o tym mówię - zdenerwował się Koszycki. Patrzyła na niego podejrzliwie.
- O co ci właściwie chodzi?
Wsunął dolary do kieszeni i powiedział:
- Muszę zaraz wyjść. Najlepiej będzie, jeżeli pojedziesz do domu.
Zerwała się.
- O nie, kochanie! Ten numerek nie przejdzie.
- Jaki numer?
- Zdaje się, że umówiliśmy się fifty-fifty. Chyba pamiętasz? Zaraz pójdziemy zmienić dolary. Jeżeli ty nie masz odpowiednich znajomości, to ja ci znajdę takiego faceta, który robi w walucie. Nie wyobrażaj sobie, że się pozwolę wykantować.

- Jesteś skończona idiotka - parsknął gniewnie. Uśmiechnęła się, usiłując zachować spokój.
- Nie jestem taka głupia, jak ci się zdaje. No chodź! Pójdziemy opylić te dolary.
- Czy nie rozumiesz, że są fałszywe?! - krzyknął Koszycki, nie mogąc opanować wzburzenia.
Spojrzała na niego z niedowierzaniem.
- Fałszywe?... Skąd takie przypuszczenie?
- No, przecież widzę. To nie żadne przypuszczenie, to pewność.
- A ja widzę, że to są autentyczne dolary.
- Ty się na tym nie znasz.
- Bądź spokojny. Znam się tak samo dobrze, jak i ty. Koszycki podszedł do stolika, nalał z syfonu do szklanki wody sodowej, wypił i niecierpliwym ruchem ściągnął z siebie przepoconą koszulę.
- Słuchaj, Monika - powiedział, starając się nadać swojemu głosowi normalne brzmienie. - Rób, co ci powiem, i nie wdawaj się ze mną w żadne dyskusje. Nikt cię tu nie chce kantować, ale stało się coś, co może za sobą pociągnąć bardzo poważne konsekwencje. Bardzo cię proszę, nie awanturuj się, pojedź spokojnie do domu i nie kontaktuj się ze mną, dopóki ja ci nie dam znać. Nie jest wykluczone, że mnie przymkną. Lepiej będzie, jeżeli ty się w to wszystko nie zapłaczesz. Ciągle była podejrzliwa.
- Ale co się właściwie stało? Może mi wreszcie wyjaśnisz.
- Na razie nic ci nie będę wyjaśniał. Musi ci wystarczyć to, co ci powiedziałem. Sytuacja jest groźna. Być może, że się mylę, ale musimy przedsięwziąć jak najdalej idące środki ostrożności.
- Oddaj mi pięćdziesiąt dolarów. To są moje pieniądze. Bezradnym ruchem rozłożył ręce.
- Jak ja ci mam tłumaczyć? Zlituj się, Nika, nie męcz mnie, nie utrudniaj mi sytuacji, która i tak już jest piekielnie zagmatwana. Nie mogę ci przecież dać fałszywych dolarów.
- Nie wierzę, że są fałszywe. Tak mówisz, bo chcesz mnie kiwnąć.
- Daję ci słowo, że to są fałszywe dolary. Znam się na tym. Błagam cię, jedź do domu i zostaw mnie w spokoju.

Energicznie potrząsnęła głową.

- O, nie! Tak łatwo mnie nie spławisz. Albo mi zaraz dasz moją dolę, albo wytłumaczysz mi, o co naprawdę chodzi.

Koszycki jęknął.

- No więc dobrze. Powiem ci. Zrobiłem transakcję walutową i to są właśnie te dolary.

- Zajmujesz się fałszowaniem dolarów?

- Ja się nie zajmuję, ale trafiła mi się transakcja. Teraz, jak zobaczyłem te banknoty, skóra na mnie ścierpła.

- Przecież nie sprzedałeś fałszywych dolarów temu listonoszowi.

- Oczywiście, że nie.

- Więc skąd je wziął?

- Nie wiem. Właśnie to mnie bardzo niepokoi. Muszę zbadać całą sprawę i dlatego proszę, żebyś mnie zostawiła samego.

Monika włożyła sukienkę.

- Dobrze. Pójdę. Ale jeżeli mnie kantujesz, ciężko będziesz tego żałował. Wziął ją za rękę.

- Nikusia, kochanie, daję ci najświętsze słowo honoru, że nie mam zamiaru cię kantować. Po prostu nie chcę, żebyś się wplątała w tę niebezpieczną historię. Radzę ci jak dobry przyjaciel. Nie odwiedzaj mnie teraz i nie staraj się ze mną skomunikować. Dam ci znać, jak tylko to będzie możliwe.

Jeszcze przez pewien czas trwała ta dyskusja, aż wreszcie Monika uległa. Nie wiadomo, czy przeważyła w niej obawa przed ewentualnym kontaktem z milicją, czy też doszła do wniosku, że dalsze nalegania nie zdadzą się na nic, dość że zdecydowała się pojechać do domu i cierpliwie czekać.

Pozbywszy się dziewczyny, Koszycki odetchnął z ulgą. Bał się, że wojowniczy temperament Moniki przysporzy mu dodatkowych kłopotów. Poszedł do łazienki i przygotował sobie chłodną kąpiel. Siedząc w wannie zastanawiał się nad wytworzoną sytuacją. Nie ulegało wątpliwości, że powinien natychmiast skomunikować się z Rafałem, ale nie wiedział, jak to zrobić, żeby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Po tej historii ze starym listonoszem nie mógł mieć pewności, czy nie jest obserwowany.

Próbował się wprawdzie pocieszać, że te dolary trafiły do Michalaka zupełnie przypadkowo, że fałszywe banknoty mogły parokrotnie zmienić właściciela w wyniku jakichś transakcji, nie potrafił jednak przekonać sam siebie i wyczuwał instynktownie, że niebezpieczeństwo jest groźne. Jak porozumieć się z Rafałem? Telefon może być na podsłuchu. Zadzwonić z automatu? A jeżeli aparat Welanda także jest kontrolowany? Należało wymyślić coś inteligentniejszego.

„Pod Kurantem” miał znajomą kelnerkę i wiedział, że Rafał chętnie odwiedza tę kawiarnię. Nie zwlekając pojechał na Wilczą.

- Panno Haneczko, mam do pani ogromną prośbę. Chcemy koledze zrobić kawał. Niech pani do niego zadzwoni i powie, że ciocia z Milanówka koniecznie chce się z nim zobaczyć.

Dziewczyna miała poczucie humoru. Po upływie pół godziny przyjechał taksówką Weland. W drzwiach kawiarni zderzył się z wychodzącym Koszyckim. Obaj panowie wymienili uprzejmościowe słowa. Najbystrzejszy nawet obserwator nie zdołałby się zorientować, że tych ludzi coś łączy. Weland usiadł przy stoliku i zamówił kawę z ciastkami, Koszycki zaś, który zdążył wsunąć do kieszeni swemu wspólnikowi kartkę, pojechał na Chmielną, do łaźni. Dopiero po dwóch godzinach spotkali się na dworcu Śródmieście.

Weland kupił bilet do Radości, a Koszycki do Otwocka. „Przypadkowo” usiedli na jednej ławce. Byli sami.

- No więc? - zagadnął Weland. - Streszczaj się. - Wysłuchał relacji Koszyckiego i, nie przestając z uwagą czytać gazety, powiedział: - Nie tutaj. O piątej po południu nad Wisłą, na miejskiej plaży. - Następnie z całą konsekwencją Weland pojechał do Radości, a Koszycki do Otwocka. Nie wiedzieli oczywiście, że zupełnie niepotrzebnie tracą czas.

Spotkali się o umówionej godzinie. Na zaśmieconym piasku tłumy roznegliżowanych warszawiaków korzystały ze słońca i skromnego dostępu do płytkiej wody. Od czasu do czasu tubalny głos z milicyjnej motorówki monitował obywateli zanurzających się w mętne nurty powyżej kolan.

- Jesteś pewien? - spytał Weland, smarując ciało oliwą.

- Najzupełniej. Cztery przeróbki i trzy sztuki z nowej produkcji.

- Myślisz, że facet mógł kupić od któregoś z naszych?

- Mało prawdopodobne. Raczej pośrednio od kogoś ze wsi.

- A jeżeli to numer milicji?

- Tego się właśnie boję - mruknął Koszycki. Weland przestał się smarować i wyciągnął się na piachu.

- Tej staruszce Waliczek sprzedał cztery dziesiątki! Musisz się zorientować, skąd ewentualnie mogą pochodzić te trzy dwudziestki. Bo jeżeli milicja już gdzieś na to wpadła...

- Śliczna dziewczyna - powiedział niespodziewanie Koszycki, patrząc w kierunku znakomicie zbudowanej; blondyny w seledynowym elastycznym kostiumie. Na głowie miała szeroki słomkowy kapelusz, a przez ramię przewieszony aparat fotograficzny.

- Niebrzydka - zgodził się obojętnie Weland. - Ale - noże byś pomyślał o czymś pożyteczniej szym?

- O ósmej jestem umówiony z Waliczkiem. Chyba się czegoś od niego dowiem.

W tej chwili przeszła obok nich owa piękna blondyna. Była w towarzystwie młodego człowieka opalonego na ciemny brąz. Rozmawiali po francusku.

- Jakaś zagraniczna cizia - mruknął Weland. - Co ona tu robi na miejskiej plaży?

- Ogląda nasz folklor. Może zbiera materiały do artykułów o Polsce. Niewykluczone, że to dziennikarka.

- Za ładna. Z takimi nogami można zrobić karierę w jakiejś ciekawszej branży.

- Fantastyczna dziewczyna - westchnął tęsknie Koszycki. - Chętnie oprowadziłbym ją po Warszawie.

- Mam wrażenie, że już sobie znalazła przewodnika.

- Ten pętak nie wchodzi w rachubę. Weland roześmiał się.

- Jesteś wspaniały. Skąd wiesz, że ty mógłbyś wejść w rachubę?

- Spróbuję. *Audaces Fortuna iuvat*.

- Zostaw te głupstwa. Mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie.

- Nie sądzisz, że kontakt z zagraniczną turystką może być dla nas pożyteczny? Weland wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że może, ale rozpracowanie takiej babki wymaga czasu, a nam się ziemia zaczyna palić pod nogami. Jak najprędzej postaraj się skomunikować z Waliczkiem. Musimy też nawiązać kontakt z Edwardem. Jak tylko będziesz coś wiedział, napisz do mnie kartkę na poste restante, na pocztę główną. Uważaj i nie zrób jakiegoś głupstwa.

Koszycki został sam na piasku. Przez chwilę patrzył za oddalającym się Welandem. Następnie zaś poszedł do wody, żeby się trochę odświeżyć. Stojąc po kostki w brudnej, gęstej cieczy, poszukał wzrokiem pięknej cudzoziemki. Śmiejąc się fotografowała swego towarzysza. Koszycki poczuł rosnącą niechęć do tego opalonego, dobrze zbudowanego chłopaka.

Głupi szczeniak! Błazen! Kulturysta - myślał z pogardą. - Wydaje mu się, że wystarczy mieć wyrobione mięśnie i już zdobywa się świat. Cymbał.

Z każdą chwilą potęgowało się w nim pragnienie, żeby zwrócić na siebie uwagę dziewczyny, żeby ją poznać, żeby się z nią zaprzyjaźnić. Wiedział, że jest przystojnym mężczyzną i że podoba się kobietom. Nie miał wprawdzie bicepsów gladiatora, ale to przecież nie było najważniejsze. Uprawiał sporty i był dobrze zbudowany, a przede wszystkim umiał postępować z kobietami. Ufał we własne siły. Od wielu lat marzył o tym w skrytości ducha, że kiedyś spotka na swej drodze bogatą, bardzo bogatą cudzoziemkę, która go pokocha i z którą wyjedzie w daleki świat. Rola męża milionerki niezwykle mu odpowiadała. A może właśnie teraz, może szczęście jest blisko? Dziewczyna nie tylko jest bogata, ale także i śliczna. Dlaczego właściwie przypuszcza, że jest bogata? Ubogie dziewczęta na ogół nie podróżują w charakterze turystek. Czy jest turystką? A może wchodzi w skład jakiejś delegacji handlowej? Nie, to chyba nie. Rafał ma rację. Jest za ładna. Z taką urodą robi się filmową karierę albo ma się bardzo bogatego ojczulka. Koszycki zapomniał prze chwilę o Welandzie, o Waliczku i o fałszywych dolarach Postanowił spróbować szczęścia i nawiązać rozmów z dziewczyną w seledynowym kostiumie.

Musiał tylko naczekać na odpowiedni moment. Przede wszystkim trze ba było jakoś spławić tego dobrze rozwiniętego chłopaczka. Usiadł na piasku i cierpliwie czekał. Audaces Fortuna iuvat -powtarzał sobie w duchu.

I rzeczywiście. Mogło się wydawać, że los uśmiechnął się do niego z całą życzliwością. Do pobliskiej przystani podpłynęła motorówka, z której zaczęto machać i krzyczeć. Opalony sportowiec natychmiast odpowiedział na te sygnały, następnie zaś pożegnał się ze swą towarzyszką i pobiegł do motorówki.

Koszycki z pewnej odległości obserwował tę scenę i serce w nim śpiewało bojowego marsza. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że może się wytworzyć taka sytuacja. Nie śpieszył się i nie okazywał żadnego zainteresowania. Wiedział, że musi być cierpliwy. Dopiero kiedy piękna cudzoziemka zdecydowała się opuścić plażę, ubrał się pośpiesznie i ruszył w ślad za nią. Mówił dobrze po francusku i miał nadzieję, że wszystko ułoży się pomyślnie.

Spojrzała na niego z rozbawionym wyrazem twarzy. Uśmiechnęła się.

- Czy pan ma do mnie jakiś interes? - spytała. Koszycki odzyskał już pewność siebie. Pierwsze zażenowanie zniknęło.

- Obserwuję panią od pewnego czasu - powiedział swobodnie - i zauważyłem, że pani towarzysz odjechał motorówką. Ponieważ zorientowałem się, że pani jest cudzoziemką, przeto byłbym szczęśliwy, gdyby pani zechciała skorzystać z moich usług jako przewodnika. Jestem gotów pokazać pani wszystko, co w Warszawie jest godnego uwagi.

Nieznajoma zareagowała na tę zaczepkę bez niechęci, traktując ten sposób zawierania znajomości na plaży jako coś zupełnie naturalnego. Podziękowała za ofertę, oświadczyła jednak, że Warszawę zna już dość dobrze i że chętnych przewodników jej nie brakuje. W trakcie rozmowy powiedziała, że jest Belgijką, że studiuje historię sztuki i że przyjechała do Polski w celu zapoznania się z zabytkami kultury słowiańskiej. Otrzymała zaproszenie od Polskiej Akademii Nauk.

Przed wejściem na plażę stał popielaty Chevrolet najnowszego typu. Koszycki, obrzuciwszy fachowym spojrzeniem luksusowy

wóz, doszedł do przekonania, że urocza historyczka sztuki nie jest nędzarką. To jeszcze bar dziej poprawiło jego humor.

- Może pana gdzieś podwieźć? Z entuzjazmem przyjął propozycję.

- Bardzo dziękuję, a można wiedzieć, dokąd pani jedzie?

- Do hotelu, na Kruczą.

- A to się świetnie składa, bo ja właśnie na Kruczej: mam coś do załatwienia w salonie radiowym.

- Pan prowadzi wóz?

- Oczywiście. Czy chciałaby pani, żebym usiadł przy, kierownicy?

- Może byłoby lepiej. Pan zna miasto, a muszę przyznać, że jazda samochodem jest u was dość skomplikowana. Zawsze się boję, że zrobię coś niewłaściwego.

Zanim wsiedli do wozu, Koszycki uznał za stosowne przedstawić się. Wymienił swoje nazwisko, w zamian za co dowiedział się, że urocza Belgijka nosi imię małżonki cesarza Francuzów oraz sławnej czarnej tancerki, nazywa się zaś Krauss. Nie, nie jest pochodzenia niemieckiego. Być może, że jacyś tam przodkowie wywodzili się z germańskiego rodu, ale ona czuje się Belgijką i nienawidzi Niemców za ich butę, brutalność i naruszenie neutralności Belgii.

Koszycki zapuścił motor, nacisnął sprzęgło i delikatnie włączył bieg. Rozkoszował się wspaniałą maszyną. To prawdziwa satysfakcja siedzieć za taką kierownicą. Jakżeż nędzna wydała mu się w tej chwili własna octavia.

Jakby zgadując jego myśli, Józefina powiedziała:

- Doskonale pan prowadzi. Czy ma pan własny wóz? Poczuł, że się rumieni.

- Mam taką małą pchełkę - odparł z niechęcią. - Nie ma o czym mówić.

Kiedy zajechali przed Grand Hotel, Koszycki spytał:

- Czy mógłbym panią jeszcze kiedyś zobaczyć? Uśmiechnęła się zalotnie.

- Nie wiem. Mam tak niewiele czasu na spotkania z nieznajomymi mężczyznami.

- Przecież się pani przedstawiłem. Nie jestem już nieznajomym

mężczyzną. Może się umówimy?

- Dlaczego pan chce się ze mną umówić?

- Po prostu dlatego, że pani mi się bardzo podoba. Czy to nie wystarczający powód?

- A czy nie sądzi pan, że ja także mam tu coś do powiedzenia? Należało się spytać, czy pan mi się podoba.

- Widzę, że moja skromna osoba nie znalazła uznania w oczach pani - westchnął z żalem Koszycki.

- Tego nie twierdzę. Nie mam zwyczaju wydawać sądu o ludziach, których spotykam przypadkowo na plaży i z którymi zamieniam kilka słów.

- Czy pani przypuszcza, że mógłbym pozyskać z czasem jej sympatię?

Roześmiała się, pokazując równe, drobne zęby.

- Pan jest zabawny. Przecież ja pana nie znam. - Wysiadła z wozu i wyciągnęła rękę na pożegnanie. - Do widzenia. Dziękuję za wyręczenie mnie przy kierownicy. Może kiedyś spotkamy się w kawiarni. Jadam śniadania około dziesiątej.

Uścisnął wąską, wypielęgnowaną dłoń i powiedział kilka uprzejmych słów, że bardzo mu było miło... że będzie szczęśliwy, jeśli... itp.

Ruszył wolno w kierunku Alei Jerozolimskich. Był pod wrażeniem tego spotkania.

Wspaniała babka - myślał z zachwytem. - Co za wdzięk, co za figura, co za nogi... A jaki wóz.

Powiedziała, że jada śniadania w kawiarni około dziesiątej. To znaczy, że nie ma nic przeciwko temu, żeby go znowu kiedyś zobaczyć. A więc jakieś szanse istnieją.. Przypomniał sobie Monikę, ale jej obraz był taki blady i taki odległy... Tamtą sprawę można było śmiało uważać za skończoną. Nie miało sensu zawracać sobie głowę dziewczyną, która przyniosła mu fałszywe dolary. Wspomnienie tej przykrej historii przywróciło go do rzeczywistości. Trzeba wyjaśnić wreszcie, czy te wszystkie obawy miały jakieś realne uzasadnienie. Na rogu Nowogrodzkiej wsiadł w taksówkę i pojechał do Waliczka.

Na tłustej, różowej twarzy starego kombinatora pojawił się wyraz żywego zaniepokojenia.

- Co się stało, panie Waldeczku?
- Czy pan sam jest w domu?
- Sam. Anielcia poszła do kina.
- To dobrze. Możemy swobodnie porozmawiać.
- Co się stało? - powtórzył z rosnącym niepokojem Waliczek.
Koszycki usiadł i zapalił papierosa.
- Obawiam się wpadki. Nie jest wykluczone, że milicja znajduje się w posiadaniu naszej waluty. Kogo pan jeszcze angażował na agenta oprócz Wierzbickiego?
- Nikogo. Jak Boga kocham. Ale...
- Ale co?
Waliczek uznał, że nie ma co się bawić w dyplomację. Opowiedział o obawach Bolka.
- Komu Wierzbicki sprzedał?
- Niejakiemu Piskorczykowi z Nowej Wsi.
- Ile?
- Pięćset.
- Jakimi mniej więcej odcinkami?
- Były dziesiątki i dwudziestki z nowej produkcji.
- Może pan przypadkowo zapisał numerację?
- Zapisałem - ucieszył się Waliczek.
- Dawaj pan. Waliczek otworzył stary zegar i z jego wnętrza wyjął małą kartkę papieru. Zaczęli sprawdzać. Obawy Kalinowskiego okazały się uzasadnione. Dolary, które stary listonosz wręczył Monice, pochodziły z partii banknotów zakupionych przez Piskorczyka.
- Oj, niedobrze - jęknął Waliczek. - Tego się bałem.
Koszycki nic nie powiedział. Zastanawiał się nad sytuacją. Właściwie istniały tylko dwie realne ewentualności: albo stary Michalak miał jakieś rachunki z Piskorczykiem i od niego dostał dolary, albo milicja przeprowadziła u tego głupiego chłopa rewizję, znalazła banknoty i dała listonoszowi. Ale dlaczego Michalak miałby wchodzić z milicją w porozumienie i jaki byłby cel takiej mistyfikacji? Co chcieli uzyskać napuszczając Michalaka na Monikę?
- No i co będzie? - spytał Waliczek, zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem.

Koszycki wzruszył ramionami.
- Co ma - być? Będziesz pan siedział. Waliczek podskoczył na krześle.
- Dlaczego ja? Dlaczego tylko ja? Jak będziemy siedzieć - to wszyscy: pan, Bolek, Edzio i jeszcze ten i ów.
Koszycki uśmiechnął się.
- Panie Lucjanie, z pana się robi człowiek nieżyciowy. Przecież nietrudno sobie wyobrazić, jak to będzie. Milicja znalazła walutę u Piskorczyka, a Piskorczyk kupił od Wierzbickiego. Wierzbicki zna tylko pana. Ani ze mną, ani z Edwardem nie ma nic wspólnego, nawet nie wie o naszym istnieniu. To ja się pana pytam, kto będzie siedział? Bo przecież pan nikogo nie sypnie. Prawda, panie Lucjanie? Pan jest człowiek inteligentny i pan doskonale wie, że jakby pan sypnął, to już nie miałby pan po co wychodzić z kryminału, chyba tylko po to, żeby sobie gustowną trumienkę zafundować. Waliczek nerwowo oblizał wargi końcem języka i przełknął ślinę.
- Milicja jeszcze Wierzbickiego nie wzięła.
- A pan chce czekać, żeby go wzięli?
- Nie... no nie chcę.
- No więc?
- Nie można dopuścić do tego, żeby go wzięli. Koszycki skinął głową.
- I ja też tak myślę. Po jasną cholerę angażował pan do roboty takiego gamonia?
Waliczek wytarł spocone czoło.
- Diabeł mnie podkusił - nic, tylko diabeł. Chciałem człowiekowi pomóc. Miałem dużą partię towaru. Trzeba było szybko rozprowadzić. Ten facet wydał mi się solidny.
- Co z tego, że solidny, kiedy głupi. Narobił nam kłopotu. Musieli go mieć pod obserwacją.
- Całą okupację handlowałem walutą - westchnął Waliczek - i nie przeżywałem tego, co teraz. Chwili spokoju nie ma z tą cholerną milicją. I co pan myśli o tym Wierzbickim, panie Waldeczku?
- Myślę to samo co i pan - odparł Koszycki i podniósł się z fotela.

Rozdział XII

Nieufny, skurczony, gotów w każdej chwili do ucieczki. Mięśnie napięte, drgające. Okrągłe oczy świeciły w ciemnościach zielonożółtym blaskiem. Był głodny, a zapach świeżego mięsa działał na niego hipnotyzujące Wystarczyły dwa duże susy, żeby zagłębić zęby w upragnionym pożywieniu. A jednak trwał w bezruchu. Nie mógł się zdecydować. Nie mógł przezwyciężyć strachu, który go opanowywał na widok białej, ludzkiej ręki. Człowiek, który przyniósł mięso, siedział na kamiennym stopniu i nie miał zamiaru odejść. Od czasu do czasu mówił coś, a głos jego brzmiał łagodnie, przyjacielsko. Czy mu zaufać? Inni ludzie także mówili łagodnie, a potem kopali, bili, zadawali ból.

Głód skręcający wnętrzności rósł i niweczył strach. Instynkt samozachowawczy stawał się coraz słabszy. Całe ciało ogarnęło tylko jedno pragnienie: schwycić mięso i jeść. Wreszcie przestały działać wszystkie hamulce. Skoczył.

I nie stało się nic. Biała ręka nie drgnęła, człowiek nie poruszył się. Siedział tak, jak przedtem, nie przejawiał żadnych złych zamiarów. Mięso było soczyste, pełne świeżej krwi.

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko pożądliwe pomruki. Wreszcie nasycony kot przestał jeść. Podkurczył łapy i fosforyzującymi ślepiami obserwował człowieka. Znowu spokojny, przyjacielski głos. A potem kościste palce dotknęły ostrożnie puszystej sierści. Zwierzę w pierwszym obronnym ruchu przylgnęło do chłodnej piwnicznej podłogi. Chęć natychmiastowej ucieczki była gwałtowna, ale równie silne okazało się pragnienie pieszczoty płynącej z ludzkiej dłoni..

Seweryn Podsiadły wiedział, że i tym razem zwyciężył. Na jego wysuszonej, zoranej zmarszczkami twarzy pojawił się grymas, który zapewne miał być triumfującym uśmiechem. Nie śpieszył się jednak z zacieśnieniem nowej przyjaźni. Wiedział, że jeden gwałtowniejszy, nieprzemyślany ruch może wszystko

popsuć.

Jest już mój - myślał. - Teraz jest już mój. - I serce starego człowieka napełniła radość tak wielka, że aż zabrakło mu tchu.

- Nie będziesz już nigdy głodny - mówił cichym, przerywanym wzruszeniem głosem.

- Obiecuję ci to. Nikt ci nie zrobi krzywdy, nikt cię nie uderzy. Teraz jesteś moim
przyjacielem. Ja się tobą opiekuję. Rozumiesz? Nie potrzebujesz się niczego bać. Ja się tobą opiekuję.

Kot nabierał coraz większego zaufania. Sprężone mięśnie rozluźniły się, oczy straciły niespokojny blask, ogon przestał poruszać się nerwowo. Wreszcie ciche, pełne zadowolenia mruczenie było odpowiedzią na pieszczoty długich, chudych palców.

Wielogodzinne, cierpliwe oczekiwanie zostało uwieńczone pełnym sukcesem. Seweryn Podsiadły wracał do domu, niosąc na rękach nowego przyjaciela, którego sierść połyskiwała granatową czernią.

- Dzień dobry, panie profesorze.

Starzec zmrużył oczy i przyjrzał się uważnie mówiącemu.

- A to pan, panie Wierzbicki.

- Widzę, że zdobył pan nowego wychowanka. Podsiadły położył dłoń na głowie zwierzęcia.

- Jest bardzo piękny - powiedział z przekonaniem. - I bardzo mądry, chociaż nieufny. Straciłem prawie cały dzień, zanim zdołałem pozyskać sobie jego serce. Żadnego dotychczas tak nie kochałem. Chociaż zdaje się, że za każdym razem mówię to samo. Niech się pan ze mnie nie śmieje, panie Wierzbicki.

- Ależ ja się wcale nie śmieję.

- Pan jest młody, a młodzi nie rozumieją starości, samotnej starości. Im bliżej śmierci, tym coraz częściej następują przewartościowania spraw, uczuć, pojęć. Wy, młodzi, kochacie kobiety, ja kocham koty... Do widzenia, panie Wierzbicki. To dobrze, że pan nie umarł.

- Dlaczego miałbym umrzeć?

- Dla tej samej przyczyny, dla której umierają wszyscy ludzie na ziemi. Ktoś mi mówił, że pan już nie żyje, czy też że pan

długo nie pożyje. Już nie pamiętam. Długość życia ludzkiego jest też właściwie rzeczą względną. Jednemu trzydzieści lat wydaje się okresem bardzo długim, a dla drugiego sto dwadzieścia mija jak jedna chwila. To zależy od intensywności przeżywania. Nie sądzi pan?

- Kto panu powiedział, że ja już nie żyję? - spytał Wierzbicki.

Seweryn Podsiadły potarł spalone słońcem czoło.

- Nie wiem, nie wiem, nie pamiętam. Różni ludzie pytali o pana.

- Jacy ludzie?

- Nie wiem jacy, ale pytali. Milicjanci... ten młody Kalinowski.

- A pan co mówi, jak się o mnie pytają?

- Cóż ja...? Nic. Powiedziałem, że pan jest pewnie na urlopie.

- Już wróciłem z urlopu.

- I dobrze pan zrobił. Co tam cudze kąty wycierać. U siebie najlepiej. No, do widzenia panu. Muszę mu dać trochę mleka. - Wskazał palcem kota, kiwnął głową na pożegnanie i odszedł.

Wierzbicki stał i patrzał za oddalającym się emerytem. Czuł, że serce bije mu niespokojnie. Dlaczego znowu szuka go milicja? Czego chcą? Przecież w sprawie Leokadii Kościelnej powiedział wszystko, absolutnie wszystko. Czy chodzi im jeszcze o jakieś dodatkowe informacje dotyczące morderstwa, czy też tropią handlarzy fałszywych dolarów? Najlepiej byłoby wyjechać, zniknąć na jakiś czas. Może zapomnieliby o nim? Pozostało mu jeszcze prawie dwa tygodnie urlopu. Wyjechać i przeczekać! To byłą myśl. Ale dokąd wyjechać? Najlepiej byłoby gdzieś niedaleko Warszawy. Nie miało sensu wlec się gdzieś na drugi koniec Polski, wydawać pieniądze na podróż. Pod Warszawą należało znaleźć sobie jakieś zaciszne miejsce. Postanowił naradzić się z Waliczkiem.

Pan Lucjan naznaczył swemu niefortunnemu wspólnikowi spotkanie na rynku Nowego Miasta w „Bombonierce". Dowiedziawszy się o projekcie wyjazdu z Warszawy, wpadł w znakomity humor.

- Ależ naturalnie, Jasiu. To świetny pomysł. Powinieneś trochę odetchnąć świeżym powietrzem, odprężyć się, odpocząć i to bez rodziny. A w ogóle uważam za bardzo wskazane, żebyś

wyjechał i żebyś nawet żonie nie dawał swego adresu.
- Jakżeż ja tak mogę zrobić? - zafrasował się Wierzbicki. - Żonie muszę powiedzieć.
- Wcale nie musisz. Zresztą zostaw to mnie. Już ja się tym zajmę. Dokąd chcesz jechać?
- Nie wiem. Właśnie się namyślałem.
- Czekaj. - Waliczek zastrugał zapałkę i zaczął nią metodycznie dłubać w zębach. -Czekaj, czekaj. Mam. Pojedziesz do Wacka. Napiszę do niego, żeby cię urządził.
- Kto to jest Wacek?
- Jeden mój stary kumpel. Handlowaliśmy razem jeszcze w czasie okupacji. To były czasy. Powiem ci, Jasiu, w zaufaniu, że za Niemców można było żyć, jak kto umiał się urządzić. Teraz trudniej i niebezpieczniej. Nigdy nie wiadomo, komu dać w łapę. Kto przyjmie, a kto nie przyjmie. A najgorsze, że ci z milicji w ogóle nie chcą brać. Życie byłoby łatwiejsze, żeby poszli trochę na współpracę. No, ale co robić. Więc pojedziesz do Wacka i tam się rozejrzysz.
- A gdzie ten Wacek mieszka?
- Na wsi. Niedaleko Radości. Dojedziesz elektrycznym pociągiem, a od stacji przejdziesz te kilka kilometrów, spacerkiem. Ruch na świeżym powietrzu dobrze robi. Kiedy chciałbyś jechać?
- Chociażby dzisiaj. W domu niepewnie się czuję.
- Znakomicie. Najlepiej od razu. Nie ma na co czekać, jeszcze się można czegoś paskudnego doczekać. Zaraz napiszę ci parę słów do Wacia. Albo nie. Lepiej do niego zatelefonuję. Po co pisać? Dam ci tylko adres. Trafisz, a jak nie trafisz, to się zapytasz. Narysuję ci, jak masz iść od stacji w Radości.

Po chwili Wierzbicki żegnał się z Waliczkiem, mając w kieszeni adres owego tajemniczego Wacka i szkic sytuacyjny. Nie zwlekając poszedł do domu, aby pożegnać się z żoną i dziećmi. Wiedział, że to nie będzie proste i nie omylił się. Maria zaatakowała go z niezwykłą zajadłością.
- Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Jak ty śmiesz mówić mi takie rzeczy? Gdzie chcesz jechać? Teraz? Kiedy się ważą losy naszego mieszkania?! Zostawiasz mnie samą z dziećmi?

Zwariowałeś? Nigdzie cię nie puszczę. Rozumiesz? Nigdzie! Nie wyobrażaj sobie, że ja w dalszym; ciągu będę na wszystko patrzyła przez palce, że będę tolerowała twoje wybryki.
- Ależ, Marysiu, jakież znowu wybryki? - jęknął Wierzbicki. - O czym ty w ogóle mówisz?
- Ja wiem, o czym mówię! - krzyknęła rozgorączkowana kobieta. - Pojechaliśmy niby na urlop i po całych dniach siedziałam sama z dziećmi i z mamą, a ty włóczyłeś się gdzieś.
- Załatwiałem interesy. Zrozum, że chcę trochę zarobić.
- I dlatego wracałeś pijany do domu, tak?
- Raz mi się zdarzyło. Każdemu może się zdarzyć. Maria trzasnęła garnkiem o podłogę. Oczy miała pełnej łez.
- A zresztą jedź sobie, gdzie ci się żywnie podoba. Dosyć mam ciebie i tego całego życia z tobą. Dosyć! Tak dłużej nie będzie. Ja się z tobą rozchodzę!
- Maryniu, proszę cię, nie rób takich scen, bo ja naprawdę...
- Co naprawdę...? Może chcesz we mnie wmówić, że wszystko, co robisz, to dla mojego dobra? Przestałam już wierzyć w cokolwiek. Nie rozumiem, jak w ogóle mogłam wyjść za mąż za ciebie, za takiego...
- Czego ty właściwie chcesz ode mnie? Nagle uspokoiła się zupełnie.
- Już niczego - powiedziała zgaszonym, cichym głosem. - Niczego nie chcę: Rób, co ci się podoba.
- Przecież jadę do Gdańska, bo tam jeden mój kolega...
- Przestań. Nawet kłamać nie umiesz. Bez przerwy teraz coś kręcisz. Czuję, że to się wszystko źle skończy.
- Chcę zarobić.
- I dlatego zadajesz się z jakimiś ciemnymi typami. Dojdzie do tego, że wsadzą cię do więzienia, a wtedy...
- Maryniu, nie utrudniaj mi sytuacji. Jeżeli wyjeżdżam, to widocznie muszę.
- Jedź, ale żebyś nie pożałował.

Wierzbicki pożegnał się z dziećmi, zapakował walizkę i wyszedł. Żal mu było Marii i czuł się wobec niej nie w porządku, ale wiedział, że tak musiał postąpić. Lepiej było przeczekać. Może to wszystko później przycichnie, może milicja

przestanie się interesować całą sprawą. Ostatecznie nic się takiego nie stało. Paru chłopów, nie wiedząc, co robić z pieniędzmi, kupiło fałszywe dolary. Lokata kapitału, której żaden z nich nigdy nie ruszy. Papierki i tak, prędzej czy później, zbutwieją albo padną ofiarą mysiego apetytu. Fałszywe czy prawdziwe, co za różnica?

Próbował się usprawiedliwiać sam przed sobą, ale argumenty nie były zbyt przekonywające. Zdawał sobie przecież sprawę z tego, że wszedł do spółki z oprychami i że prowadził paskudną robotę. Przeklinał chwilę, kiedy spotkał się z Waliczkiem. Żądza zdobycia pieniędzy była tak silna, że zniweczyła wtedy wszystkie hamulce natury moralnej. W rezultacie jednak okazało się, że tych pieniędzy wcale nie było tak dużo, a ryzyko ogromne. Teraz zamiast korzystać z urlopu, musi uciekać, chować się, niespokojnie oglądać się za każdym napotkanym milicjantem. To nie życie.

Możliwe, że jest przeczulony, że uległ przesadnej panice, ale nie miał doświadczenia w takich sprawach. Zawsze zarabiał uczciwie na utrzymanie swoje i rodziny. Gdyby nie Maria, która robiła mu nieustanne wymówki, że za mało przynosi do domu pieniędzy, nie zaplątałby się w tę aferę. To jej wina. Tego wieczora, kiedy po raz pierwszy zetknął się z Waliczkiem, także uciekł z domu po awanturze z Marią. To jej wina.. Chciała, żeby więcej zarabiał, no więc zaczął zarabiać. A teraz ma pretensje.. Przecież oddał jej prawie wszystko, co zarobił na tych dolarach. Ale ona nigdy z niczego nie jest zadowolona. Nie było pieniędzy - było źle, są pieniądze - też jest źle. Więc o co jej w końcu chodzi? Z zapałem godnymi lepszej sprawy zaczął podniecać swój gniew wymierzony przeciwko Marii.

To wszystko przez nią - myślał ze złością. - To przez nią wpadłem w tę aferę, przez nią muszę się teraz tułać, ukrywać. Ona jest winna.

I rzeczywiście na pewien czas udało mu się we własnym przekonaniu zwalić winę na żonę. Wprawdzie gdzieś na dnie podświadomości próbował odezwać się nieśmiały.; protest, ale natychmiast zostawał zlikwidowany przez hałaśliwe zapewnienia, że odpowiedzialność za to, co się stało, ponosi

Maria.

Długą doszedł do tramwaju i piętnastką dojechał do Alei Jerozolimskich. Kiedy znalazł się na dworcu Śródmieście, kupił bilet i wsiadł do pociągu, uspokoił się trochę. Ruch wagonu przyniósł odprężenie nerwowe. Przez chwilę doznał takiego uczucia, jakby odjeżdżał na zawsze od wszystkich zmartwień, trosk, niepokojów. Nie wiadomo dlaczego, zdawało mu się, że jest zupełnie bezpieczny. Odetchnął głęboko, wyciągnął przed siebie nogi i zapatrzył się w ciemniejący nocą krajobraz.

Wagon był pusty. O tej porze niewiele osób jechało w kierunku Otwocka. Wierzbicki przymknął oczy i poddał się z przyjemnością łagodnemu kołysaniu. Z rozkoszą myślał o tym, że spędzi dwa tygodnie w lesie, w ciszy, w zupełnym spokoju. Czuł się zmęczony i pragnienie odpoczynku było w nim bardzo silne. Leżeć na tapczanie, słuchać radia i nie myśleć o niczym. Nikt niczego nie chce, nie trzeba nic załatwiać, nie trzeba z nikim rozmawiać. Spokój, zupełny spokój. Co za rozkosz.

Tak był pogrążony w kojącym błogostanie, że o mało nie przejechał Radości. W ostatniej chwili wyskoczył z wagonu. Rozejrzał się i wyjął z kieszeni plan sytuacyjny naszkicowany przez Waliczka. Przy świetle latarni zorientował się, w którą stronę ma ruszyć.

Piaszczysta droga prowadziła ku czerniejącym w oddali sosnom. Noc była ciemna, bezksiężycowa. Stacyjne lampy pozostały daleko w tyle. Mrok pełzający pod kolczastymi krzakami stawał się coraz gęstszy.

Dopóki otaczała go spora gromada ludzi, szedł raźno naprzód, pogwizdując wesoło. Jednak przygodni towarzysze podróży znikali stopniowo w pobliskich domach, migocących oświetlonymi oknami. W pewnym momencie Wierzbicki zorientował się, że jest sam, to znaczy prawie sam, bo w odległości stu pięćdziesięciu metrów szedł za nim jakiś mężczyzna. Zrobiło mu się niewyraźnie.

A może jestem śledzony? - pomyślał i mirno woli przyśpieszył kroku. Zauważył, że ciemna postać także zaczęła prędzej się posuwać. - Tajniak. Mają mnie na oku. Po co uciekałem z Warszawy?

Szedł tak prędko, że prawie biegł, ale odległość pomiędzy nim a tamtym nie zwiększała się. Teraz był już pewien, że ten człowiek tropi go.

Las tchnął chłodnym mrokiem. Nagrzane upalnym dniem drzewa pachniały żywicą. Pod stopami szeleściło suche igliwie. Spłoszony ptak zerwał się z gałęzi i zatrzepotał skrzydłami w gęstwinie, jakby w ten sposób chciał wyrazić swoje niezadowolenie, że go zbudzono ze snu.

Wierzbicki biegł. Ogarnięty nagłym przerażeniem pędził przed siebie, nie zważając na to, że serce rozsadza mu piersi, a otwarte szeroko usta z trudem chwytają oddech. Nagle potknął się o wystający korzeń i runął. Chciał się dźwignąć, ale w tej samej chwili poczuł straszliwy ból w tyle głowy i stracił przytomność.

Rozdział XIII

Sarnecki z dezaprobatą patrzył na sierżanta.

- No i cóżeście najlepszego narobili? Nie wiadomo, czy facet wyżyje.

- Nie miałem innej rady - bronił się Kaczor. - Na śmierć byłby zatłukł. Musiałem strzelić.

- Trzeba go było rozbroić.

- Za daleko byłem. Nie zdążyłbym dobiec. Nie mogłem ryzykować. I tak Wierzbicki ma wstrząs mózgu.

- Ten Kalinowski nam jest teraz potrzebny, a jeżeli wykituje...

- Nie męcz sierżanta - wtrącił się Downar do rozmowy, - Nie mógł inaczej postąpić. Noc, ciemno. Dobrze, że w ogóle trafił. Rozmawiałem z lekarzem. Twierdzi, że Kalinowski z tego wyjdzie. Za dwa, trzy dni będzie go można przesłuchać w szpitalu.

- A Wierzbicki?

- Wstrząs mózgu, ale na szczęście niegroźny. Poleży parę tygodni spokojnie i wyliże się. Dobrze, że ten bandzior nie zdążył zadać następnych ciosów. Pierwsze uderzenie jest przeważnie najlżejsze, można powiedzieć nieśmiałe.

- Jakie dyspozycje, towarzyszu majorze? - spytał sierżant Kaczor rad, że go Downar wziął w obronę.

- Sprawdziliście adres w Radości?

- Tak jest. Ten cały adres i plan to lipa. Żaden Wacław Przysiecki tam nie mieszka.

- Ciekawe, czy to rzeczywiście Waliczek wysłał Wierzbickiego do Radości?

- Po mojemu to on. Wierzbicki był u niego, potem poszedł do domu pożegnać się z rodziną, a potem pojechał do Radości. Chciał się zadekować. Nie wiedział, że Kalinowski za nim zasuwa. Byłby go wykończył.

- Szlag mnie trafia, że muszę czekać, aż ten oprych przyjdzie do siebie - mruknął Sarnecki. - Już chciałbym go wziąć na

przesłuchanie. Zebrałem o nim trochę literatury. -Wyjął z szuflady tekturową teczkę, otworzył ją i zaczął czytać: - Bolesław Kalinowski vel Ryszard Granicz, używający także pseudonimu „Sztywniak”, urodzony 18 listopada 1936
roku. W roku 1955 zatrzymany w Zakopanem pod zarzutem organizowania napadów rabunkowych, zwolniony z powodu braku dowodów winy. W roku 1959 zatrzymany w Gdańsku pod zarzutem wzięcia udziału we włamaniu do sklepu jubilerskiego, zwolniony z powodu braku dowodów winy. W roku 1961 zatrzymany w Warszawie pod zarzutem handlu narkotykami, zwolniony z powodu braku dowodów winy.

- Sprytne bydlę - powiedział z przekonaniem sierżant Kaczor. - Ale w końcu, powinęła mu się nóżka. Teraz znajdziemy dowody winy. Spokojna głowa. Dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. No i urwało się.

- Żeby tylko wyżył - westchnął Sarnecki.

- Wyżyje, wyżyje - pocieszał go Downar. - Kula przebiła płuco, ale od tego się nie umiera. Zresztą to młody, silny mężczyzna, okaz zdrowia. Wiecie co, kolego? Ja myślę, że teraz moglibyście poobserwować żonę Waliczka, a nim samym to my się zajmiemy. Chyba już najwyższy czas na tę rozmowę.

Omówili jeszcze kilka szczegółów, dotyczących akcji, a następnie sierżant Kaczor pożegnał się i wyszedł. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, Downar rozwinął trzymaną na kolanach paczkę i położył na biurku ładny szal koloru ciemnofioletowego.

- Wracam z Zakładu. Twierdzą, że się zgadza. Takich szali, oczywiście, na pewno jest na świecie więcej, ale to byłby już wyjątkowy zbieg okoliczności.

- I jesteś pewny, że to szal zagranicznego pochodzenia? - spytał Sarnecki.

- Raczej tak. Zostały przeprowadzone ścisłe badania. Fachowcy twierdzą, że tkaniny, które zawierają włókna. Cuprama typu miedziowego, nie są u nas produkowane.

Zresztą nawet na pierwszy rzut oka widać, że to szalik w gatunku komisowo-ciuchowym.

- I ten Szczygielski twierdzi, że kupił go od Kalinowskiego?

- Tak.

Sarnecki zapalił papierosa i otoczył się dymem.

- Można by wobec tego zaryzykować twierdzenie, że Kalinowski jest mordercą Leokadii Kościelnej. Jeżeli bowiem nitka na jej sukni pochodzi z tego szalika, to...

- Tak - powiedział Downar. - To się oczywiście narzuca samo przez się. Jest jednak w tej koncepcji coś, co mnie niepokoi. Kalinowski to facet niezwykle przebiegły. Trudno sobie wyobrazić, żeby udusiwszy staruszkę szalikiem, nie zniszczył go następnie. Ileż mógł wziąć za niego od Szczygielskiego? Dwieście, trzysta złotych. To przecież nie jest suma, dla której warto by puszczać w kurs narzędzie zbrodni.

- Oczywiście - przytaknął Sarnecki. - Możemy jednak założyć, że nie przyszło mu do głowy, iż znajdziemy nitkę na sukni jego ofiary, a poza tym, że trafimy do Szczygielskiego. Sądzę, że tego rodzaju błąd mógł popełnić. Trudniej jest wydumać sobie motywy tej zbrodni: Dlaczego taki kombinator jak Kalinowski miałby mordować starą emerytkę?

Downar w zamyśleniu gładził szalik.

- Mówiliśmy już kiedyś na ten temat i doszliśmy do wniosku, że mogą to być jakieś porachunki związane z handlem fałszywymi dolarami. Jest to, oczywiście, zupełnie luźna hipoteza dotychczas niczym nie podbudowana. I jeśli mam być szczery, powiem ci, Władku, że to mi się nie za bardzo widzi. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby świetnie zorganizowana banda fałszerzy wciągała do współpracy taką nieszczęsną staruszeczkę, jak ta Kościelna.

- A może ona była szefem całej bandy? Downar roześmiał się.

- Wkraczamy w zupełnie filmowe efekty. Pomysł bardzo sensacyjny, ale mało prawdopodobny.

- No więc...? - Sarnecki wyczekująco spojrzał na przyjaciela, a ponieważ Downar milczał, powiedział: - Więc wracamy do punktu wyjścia. Ciągle jeszcze najrealniejszym mordercą jest ten listonosz.

Downar potrząsnął głową.

- Nie. Jego w ogóle nie biorę pod uwagę.

- Kogoś musimy brać pod uwagę. A dowody przeciwko

Michalakowi są aż nazbyt konkretne. Z takim materiałem dowodowym można zredagować zupełnie prawidłowy akt oskarżenia.

- Jesteśmy tu po to, żeby wykryć prawdę, a nie żeby odfajkować jeszcze jedną sprawę
- powiedział stanowczo Downar.

- Więc kogo typujesz na mordercę Leokadii Kościelnej?

- Musimy zaczekać, aż będzie można przesłuchać Kalinowskiego. Na razie proponuję, żebyśmy pogawędzili z panem Waliczkiem. Przypuszczam, że od niego czegoś ciekawego się dowiemy. Nie ulega chyba wątpliwości, że to on zwerbował Wierzbickiego do handlu fałszywymi dolarami.

- Ekspertyza naszych fachowców jest pewna? Downar wzruszył ramionami.

- Trzykrotnie przeprowadzali badania. Za każdym razem stwierdzili to samo.

- To znaczy, że ktoś przeszmuglował do nas papie? z Ameryki.

- Oczywiście. Wszystkie te dziesiątki, które nam wpadły w ręce, zostały przerobione z banknotów jednodolarowych, dwudziestki natomiast są produkowane od początku i to doskonale produkowane na papierze pochodzącym z amerykańskiej mennicy.

- Przypuszczasz, że ci sami ludzie fałszują i produkują?

Downar skinął głową.

- To zupełnie prawdopodobne, tym bardziej że zarówno u Kościelnej, jak i u Piskorczyka znaleźliśmy mieszane banknoty. Wprawdzie mogły pochodzić z różnych źródeł, ale sądzę, że to ta sama impreza.

Sarnecki wstał.

- No, to jedziemy dc faceta.

W samochodzie Downar powiedział:

- Słuchaj, Władziu, nie spłosz za bardzo tego magika. Zaczniemy z nim delikatnie, w rękawiczkach.

Waliczek właśnie zamierzał wyjść z domu, kiedy posłyszał dzwonek. Widok dwóch nieznajomych mężczyzn zaniepokoił go. Opanował jednak niemiłe uczucie i z pozorną obojętnością spytał:

- Czy panowie do mnie?

- Jeżeli pan się nazywa Lucjan Waliczek, to do pana - uśmiechnął się uprzejmie Downar.

- Wprawdzie nazywam się Waliczek, ale nie przypominam sobie, żebym panów zapraszał do siebie. O co chodzi?

- Mamy pewną poufną sprawę do omówienia i chcielibyśmy prosić o chwilę rozmowy.

- Ale ja nie mam teraz czasu na rozmowy.

- To nie potrwa długo. Będziemy się streszczać. Waliczek z wahaniem spojrzał na przybyłych. Nie miał wątpliwości, że to milicjanci, postanowił jednak do końca udawać, iż niczego się nie domyśla.

- No, proszę, niech panowie wejdą. Proszę siadać. Słucham? Czym mogę służyć?

Downar pochylił się i zrobił tajemniczą minę.

- Czy pan sam jest w domu?

- Sam. A bo co?

- To dobrze, bo nie chcielibyśmy, żeby ktoś nas razem widział.

- Ale o co chodzi? - zniecierpliwił się Waliczek, który przestawał panować nad nerwami.

- Chodzi o te dolary.

- O jakie dolary? Nic nie wiem o żadnych dolarach.

- O żadnych to może pan i nie wie, ale o fałszywych to chyba wie pan coś niecoś.

- Co za żarty?! - Waliczek próbował odzyskać pewność siebie.

- Nie żarty, tylko smutna prawda. Podobno pan handluje fałszywymi dolarami.

- To kłamstwo.

Downar wyjął papierośnicę i poczęstował Waliczka.

- Może papieroska? Dobrze robi na nerwy.

- Ja wcale nie jestem zdenerwowany.

- A mnie się wydawało, że pan jest jakiś podniecony nerwowo. Musiałem się pomylić. Przepraszam.

- A panowie właściwie w jakim charakterze? - zaryzykował Waliczek.

Downar spojrzał na niego ze szczerym zdumieniem.

- Jak to w jakim charakterze? Jesteśmy dwie dobre wróżki. Nie

widać tego po nas?
- Pan kpi sobie ze mnie!
- Odpłacam tylko pięknym za nadobne. Pan także próbuje kpić sobie z nas. Nie wygląda pan na człowieka, który byłby tak nierozgarnięty. Jeżeli przychodzą do pana dwaj nieznajomi mężczyźni i pytają pana o fałszywe dolary, to kto to może być? Krasnoludki?
Waliczek odetchnął głęboko.
- Panowie są z milicji.
- To bardzo prawdopodobne.
- Dlaczego mi panowie tego od razu nie powiedzieli?
- Sądziliśmy, że pan się spodziewa naszej wizyty. Waliczek udał zdziwienie.
- A dlaczegóż miałbym się spodziewać wizyty milicji? Zupełnie nie rozumiem. Mam czyste sumienie.
Downar z dobrotliwym uśmiechem pokiwał głową.
- Jak to miło mieć do czynienia z człowiekiem o czystym sumieniu. Rzadko spotyka się takich ludzi w dzisiejszych ciężkich czasach.
- Zdaje mi się, że pan ze mną nie rozmawia poważnie - powiedział z obrażoną miną Waliczek.
- To się panu dobrze zdaje. Jest pan niezwykle bystrym człowiekiem. Dostroiłem się po prostu do pańskiego żartobliwego tonu, bo przecież to, że pan ma czyste sumienie, jest zupełnie niezłym dowcipem. Mógłby pan zrobić karierę jako satyryk.
- Czego pan chce ode mnie? - wykrztusił Waliczek. - Co mi zarzucacie?
- Jeżeli pan życzy sobie zakończyć rozmowę na tematy ogólne i przejść do konkretów, to proszę bardzo.
- Już najwyższy czas - mruknął Sarnecki, który nie doceniał taktyki Downara i którego niecierpliwiła ta czcza gadanina.
- Ja nic złego nie zrobiłem i do niczego się nie poczuwam - powiedział ze sztuczną pewnością siebie Waliczek.
- Czy zna pan Bolesława Kalinowskiego?
- Bolesława Kalinowskiego? - powtórzył Waliczek, pragnąc zyskać na czasie. - No... tak... trochę.

- Jak to trochę? Przecież to podobno pański krewny. Nazywa pana wujem. Chyba pan musi dobrze znać swego siostrzeńca.

- Specjalnie nie utrzymuję z nim stosunków.

- I dobrze pan robi, bo ten pański siostrzeniec to nieciekawy typ. Zdaje się, że prowadzi dosyć podejrzane interesy, a poza tym cierpi na zupełny zanik uczuć rodzinnych. Czy pan wie, co ten chłopak naopowiadał nam o panu?

Waliczek zbladł. Jego krwista, czerwona twarz wyglądała teraz jak posypana mąką.

- Bolek? O mnie?

- No właśnie, Niech pan sobie wyobrazi, że pański siostrzeniec twierdzi, że pan handluje fałszywymi dolarami i że do tej afery jeszcze i jego pan wciągnął.

- To kłamstwo! Podłe kłamstwo! Downar pokiwał głową z ubolewaniem.

- Mnie też się to właściwie wydało rzeczą mało prawdopodobną. Pan nie wygląda na człowieka, który by się wdawał w takie podejrzane transakcje i który by siostrzeńca sprowadzał z drogi cnoty. A ten Bolek nie tylko oskarża pana o handel fałszywą walutą, ale prócz tego twierdzi, że pan jest mordercą.

Waliczek zerwał się z krzesła.

- Że ja jestem mordercą?!

- Tak. Bolesław Kalinowski zeznał w śledztwie, że pan zamordował niejakiego Jana Wierzbickiego. - Głos Downara zabrzmiał nagle twardo, urzędowo.

Sarnecki uśmiechnął się. Musiał przyznać w duchu, że Stefan „na medal" rozpracowuje tego gościa.

Przez krótką chwilę panowało milczenie. Waliczek wybałuszonymi oczami wpatrywał się w obu oficerów. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale nie może.

- No więc jakżeż z tym Wierzbickim? - spytał Downar. - Czyżby to była prawda, że pan go zamordował?

Waliczek bezdźwięcznie poruszył wargami. Sarnecki pochylił się do Downara i szepnął:

- Uważaj, żeby faceta szlag nie trafił.

- No więc jakże z tym Wierzbickim? - powtórzył swe pytanie

Downnar. - Znaleziono jego trupa w Radości. Miał w kieszeni kartkę, na której pańską ręką został narysowany plan i zanotowane nazwisko Wacława Przysieckiego. Ponieważ zaś widziano Wierzbickiego w towarzystwie Kalinowskiego, przeto pański siostrzeniec został aresztowany i w czasie przesłuchań zeznał, że pan jest mordercą.

- To „kłamstwo! - ryknął na wpół przytomny Waliczek. - To podłe, nikczemne kłamstwo! To Bolek zabił Wierzbickiego!

- Bolek Kalinowski? - zdziwił się Downar. - Czy być może? On twierdzi, że to pan. Komu mamy wierzyć?

- To on zabił! To Kalinowski! - zaczął mówić prędko Waliczek. - On zabił, a teraz chce na mnie zwalić. To łajdak, to szubrawiec, to morderca!

- A skąd pan wie, że Kalinowski jest mordercą?

- Skąd ja wiem? - Waliczek spojrzał przerażony. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z tego, że zapędził się w zaułek bez wyjścia. - To Kalinowski zabił. To Bolek -powiedział cicho.

- Ale skąd pan o tym wie? - nastawał Downar.

Teraz już nie można się było cofnąć. Waliczek orientował się, że za namawianie do zabójstwa grozi wysoka kara, ale wiedział także, że za morderstwo grozi szubienica. Tu nie było wyboru. Bolek mógł milicji przedstawić bardzo wiele argumentów świadczących na niekorzyść wuja, a poza tym był za sprytny, żeby nie wykorzystać wszystkiego, ratując własną skórę.

- To ja... to ja namówiłem Bolka, żeby pobił Wierzbickiego. Widocznie za mocno go bił.

- Mamy panu wierzyć na słowo? Waliczek poruszył się niespokojnie.

- No cóż... Jakżeż ja mam panów przekonać? Chyba... tylko to, że dałem Bolkowi dziesięć tysięcy. Może znaleźliście przy nim te pieniądze?

- Znaleźliśmy - powiedział Sarnecki.

- Chwała Bogu - ucieszył się Waliczek. Downar sięgnął po nowego papierosa.

- A za co pan dał Kalinowskiemu te pieniądze? Czy może za to, żeby uderzył Wierzbickiego?

- Tak... tak, mniej więcej.

- To ciekawe, dlaczego pan tak nienawidził tego człowieka?

Waliczek zmieszał się. Zaczynał rozumieć, że zupełnie niepotrzebnie zabrnął w to wszystko i że będzie musiał brnąć dalej.

- Nie... no właściwie tego... to znaczy...

- Dał pan dziesięć tysięcy złotych Kalinowskiemu tylko za pobicie Wierzbickiego? -powiedział zdziwiony Downar. - Dziesięć tysięcy złotych to jednak spora suma. A może pan chciał, żeby Kalinowski zabił Wierzbickiego?

Waliczek końcem języka zwilżył spierzchnięte wargi.

- Ja, proszę panów... właściwie... bo to tak się złożyło...

- No dobrze, dobrze - przerwał mu Downar. - Niech mi pan wytłumaczy, dlaczego pałał pan taką niechęcią do Wierzbickiego? Bo przecież wydawało się, że pozostajecie w przyjacielskich stosunkach.

- Komu się wydawało? - spytał zaskoczony Waliczek.

- Naszym funkcjonariuszom, Wierzbicki już od dość dawna pozostaje pod obserwacją i wiemy, że niejednokrotnie kontaktował się z panem. Pijaliście razem wódkę. Byliście w jak najlepszej komitywie. Więc dlaczego nagle dał pan dziesięć tysięcy złotych Kalinowskiemu? Żeby ten zlikwidował Wierzbickiego?

Waliczek milczał. Był coraz bardziej przerażony. Nigdy nie przypuszczał, że milicja może wiedzieć tak dużo.

- Czy jest pan skłonny odpowiedzieć na moje pytanie? - spytał Downar. - Może pan się zechce trochę pośpieszyć, bo nie mamy zbyt dużo czasu.

- Cóż ja, no cóż... bo właściwie... to znaczy... - bąkał Waliczek.

- No to może wobec tego ja panu powiem, jak to było - zaproponował Downar. -Swego czasu zwerbował pan Wierzbickiego do handlu fałszywymi dolarami. Interes szedł jako tako do chwili, gdy jeden z naszych ludzi wyśledził, iż Wierzbicki sprzedał te falsyfikaty na wsi niejakiemu Piskorczykowi. Byliśmy u Piskorczyka i zabraliśmy od niego banknoty dziesięcio - i dwudziestodolarowe. Pan dowiedział się o tym od swego siostrzeńca, ponieważ odwiedziliśmy także starego Kalinowskiego, który jest sąsiadem Piskorczyka. Wtedy

już nie ulegało dla was wątpliwości, że Wierzbicki jest spalony. Przestraszył się pan, że aresztowany Wierzbicki wkopie pana i zapłacił pan Kalinowskiemu dziesięć tysięcy złotych za zlikwidowanie niebezpiecznego świadka oskarżenia. Widzi pan, panie Waliczek, że wszystko można sobie logicznie wytłumaczyć, jak się trochę poruszy głową. Myślę, że pan nie będzie usiłował mi zaprzeczać.

- No to może już pójdziemy - zaproponował Sarnecki.

- Szkoda czasu.

- Chwileczkę - Downar sięgnął do kieszeni i wyjął dolary znalezione u Leokadii Kościelnej. - Chciałbym jeszcze zapytać pana Waliczka, czy to on sprzedał fałszywe dolary niejakiej Leokadii Kościelnej?

Waliczek nie odpowiadał. Na jego twarzy osiadł wyraz tępej rezygnacji.

- Pan sprzedał dolary Leokadii Kościelnej?- powtórzył Downar.

- Ja.

- Czy Leokadia Kościelna także handlowała fałszywymi dolarami?

- Ale skądże - zaprzeczył z ożywieniem Waliczek. - Nie miała z tym absolutnie nic wspólnego.

- A ja myślałem, że to była pańska wspólniczka.

- Ależ, proszę pana - mimo sytuacji, w jakiej się znajdował, Waliczek uśmiechnął się -jakżeż taka staruszka mogłaby być moją wspólniczką?

- Więc pan jest pewien, że Leokadia Kościelna nie handlowała dolarami?

- Jestem najzupełniej pewien. Kupiła ode mnie trochę waluty, bo zbierała na podróż do Ameryki. Chciała pojechać do córki.

- Jeszcze jedno pytanie. - Downar przysunął się i z bliska spojrzał w twarz Waliczka.

-Kto fabrykuje te dolary?

Waliczek szybko zamrugał oczami.

- Nie wiem, Ja tego nie wiem.

- Jak to pan nie wie? Przecież skądś pan Bierze towar.

- Nie wiem. Ja naprawdę...

- Nie chce pan powiedzieć?

- Nie mogę... Nie wiem... Nic nie wiem..

Downar odsunął swe krzesło na dawne miejsce, wyjął papierosa i zaczął go ugniatać w palcach. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

- Chciałbym panu coś zaproponować. Bo widzi pan... to wszystko nie jest takie proste. Zrobił pan na mnie wrażenie spokojnego, przyzwoitego człowieka, który zupełnie niepotrzebnie zaplątał się w taką paskudną aferę. No cóż... każdemu może się zdarzyć, każdy popełnia w życiu jakieś błędy.

- Jak Boga kocham, że ja już nigdy! - wykrzyknął z zapałem Waliczek.

- No właśnie - przytaknął Downar. - Wierzę, że pan już nigdy nie wstąpi, na drogę występku.

- Słowo honoru.

- Cieszy mnie ta pańska gotowość poprawy - uśmiechnął się życzliwie Downar - ale pomimo wszystko pańska sytuacja jest bardzo poważna. Musi się pan nad tym zastanowić. Bo akt oskarżenia dość bogaty: handel fałszywą walutą, namawianie do zabójstwa, a kto wie, czy nie będzie pan także podejrzany o zamordowanie Leokadii Kościelnej.

- Ja z tym nie mam nic wspólnego! - wykrzyknął Waliczek. - Jak Boga kocham!

- Możliwe, że pan nie ma z tym nic wspólnego, ale biorąc pod uwagę tamte dowiedzione przestępstwa... Żal mi pana, panie Waliczek. Paskudnie się pan urządził. To może być duży wyrok, bardzo duży. Piętnaście lat w kryminale to niewesoło. A pan już nie jest młodzikiem. Wyjdzie pan z więzienia jako staruszek. Naprawdę szczerze mi pana żal. Chciałbym panu jakoś pomóc.

- Niech mnie pan ratuje - jęknął Waliczek. - Ja... ja wszystko... Ja mam sporo pieniędzy.

Downar potrząsnął głową.

- Tu nie chodzi o pieniądze. Gdyby pan jednak zechciał nam pójść na rękę i okazać trochę dobrej woli, postarałbym się tak przedstawić sprawę w prokuraturze, że może by się dało zmniejszyć wyrok. Człowiek, który okazuje żal za popełnione

zbrodnie i który stara się dopomóc milicji, zasługuje na pewne względy.

Waliczek nerwowo zamachał rękami.

- Co mam robić? Niech pan mówi. Co mam robić?

- Nie żądamy od pana rzeczy niemożliwych - powiedział łagodnie Downar. - Chodzi tylko o to, żeby pan udzielił nam kilku informacji, dotyczących fałszowania banknotów dolarowych. Wiemy, że niektóre z nich są fałszowane, a niektóre produkowane tutaj na papierze: przeszmuglowanym prawdopodobnie ze Stanów Zjednoczonych. Może pan nam coś powie na ten temat. Nie wątpi pan chyba, że i bez pańskiej pomocy dojdziemy prawdy. Zabierze to nam tylko trochę więcej czasu. No więc jak? Jaka jest pańska decyzja?

- Co mam powiedzieć? - spytał łamiącym się głosem Waliczek.

- Czy banknoty fałszowane i produkowane od początku czerpał pan z jednego i tego samego źródła?

- Tak.

- A czy pan długo już handluje tym towarem?

- Chyba będzie ze dwa lata.

- Uhm. To dosyć długo. I nieźle pan na tym zarabiał, co?

- Tak sobie, możliwie.

- Niech nam teraz pan powie, panie Waliczek, kto tak zgrabnie fabrykuje amerykańską walutę?

- Ja nie wiem...

- No, no, niech pan nie udaje - uśmiechnął się wesoło Downar. - Żarty żartami, a tu czas ucieka. Nie przedłużajmy już tej rozmowy. No więc, jak się nazywa facet, który tak artystycznie robi dolary?

Waliczek zawahał się, ale widocznie doszedł do przekonania, że nie może się już wycofać, bo powiedział:

- Radzikowski... Edward... - Następnie na żądanie Downara podał dokładny adres.

- Kto to jest ten Radzikowski?

- Emeryt. Bardzo spokojny, porządny człowiek.

- Dawno go pan zna?

- O, dawno. Znaliśmy się jeszcze przed wojną.

- Czym on jest z zawodu?

- Jak by tu panu powiedzieć - Waliczek z namysłem podrapał się w głowę. - On był drukarzem, takim poligrafikiem, pracował w drukarniach, w mennicy państwowej.

- W mennicy? - zainteresował się Downar.

- A tak. Przed wojną wiele lat pracował w mennicy państwowej. Cenili go. Bardzo zdolny gość.

- To widać - powiedział Downar i schował fałszywe dolary do kieszeni. - Chciałbym jeszcze pana zapytać, gdzie ten Radzikowski ma swoją pracownię artystyczną, z której wypuszcza takie śliczne dolarki?

- Nie wiem - zapewnił skwapliwie Waliczek. - Słowo honoru, że nie wiem. Gdybym wiedział, tobym przecież panom powiedział, bo co za różnica? Ale, jak Boga kocham, nie mam pojęcia. Nigdy się zresztą o to nie pytałem Edzia, bo co mnie obchodzi.

Downar nie nalegał. Uważał to za rzecz najzupełniej prawdopodobną, że Waliczek nie był aż tak dalece wtajemniczony w tę imprezę. Spytał:

- Czy zna pan niejakiego Waldemara Koszyckiego?

- Tego łobuza? Znam. Podejrzany typ. Za dziewczynami tylko się ugania i myśli, jak by kogo okpić.

- I pana także okpił?

- Bo to raz - westchnął Waliczek i popadł w ponurą zadumę.

- Skończyłeś? - spytał Sarnecki.

- Na razie chyba tak. Później jeszcze ty sobie porozmawiasz, bardziej szczegółowo.

- To panowie chcą mnie ze sobą zabrać? - zaniepokoił się Waliczek.

- Oczywiście.

- Ale przecież ja... ja pomagam... współpracuję. Downar starał się nie pokazać po sobie wesołości.

- Mogę pana zapewnić, że doceniamy w zupełności pańską współpracę. Zabrać jednak ze sobą pana musimy, ponieważ po pierwsze możemy jeszcze potrzebować rozmaitych dodatkowych informacji, a po drugie boimy się o pańskie życie. Jan Wierzbicki wiedział pewne rzeczy i został zamordowany. Czy nie sądzi pan, że i pana mógłby spotkać podobny „los z

chwilą, kiedy pańscy wspólnicy dowiedzą się, że pan ma kontakt z milicją albo raczej, że milicja ma kontakt z panem?

Na twarzy Waliczka odmalowało się przerażenie. Ta argumentacja najzupełniej trafiała mu do przekonania. Niebezpieczeństwo rzeczywiście było groźne. Jak nic mogli mu strzelić w łeb. Cela więzienna wydała mu się w tej chwili uroczym, gwarantującym bezpieczeństwo azylem.

- Panowie pozwolą, że napiszę tylko kilka słów do Anielci, do mojej żony.

Downar przytrzymał go za rękę.

- Niech się pan nie fatyguje. Zawiadomieniem szanownej małżonki już my sami się zajmiemy.

- Nie chciałbym przestraszyć Anielci - próbował oponować Waliczek.

- Może pan być zupełnie spokojny. Załatwimy to w sposób dyskretny i taktowny.

Zeszli na dół do samochodu i Sarnecki dość energicznie pomógł wsiąść nowemu „współpracownikowi” milicji. Był już zniecierpliwiony tą całą gadaniną i uważał, że Downar stracił - za dużo czasu.

W komendzie oddali Waliczka pod dobrą opiekę, sami zaś poszli do pokoju Sarneckiego, gdzie - pokrótce ustalili dalszy plan działania. Sarnecki miał jeszcze szczegółowo wybadać handlarza fałszywą walutą, Downar zaś postanowił zainteresować się utalentowanym poligrafikiem. Nie zwlekając pojechał na Muranów.

Radzikowskiego nie zastał w domu. Podając się za kuzyna zasłużonego emeryta, wybadał sąsiadów oraz dozorcę. Dowiedział się, że dawny pracownik mennicy państwowej cierpi na dokuczliwy reumatyzm i przebywa obecnie w Ciechocinku na kuracji. Trzeba było albo cierpliwie czekać na zakończenie kąpieli borowinowych, albo też odwiedzić renomowany kurort. Po krótkim namyśle Downar zdecydował się na to drugie. Zdawał sobie bowiem doskonale sprawę, że nagłe zniknięcie Waliczka, jego żony, Kalinowskiego i Wierzbickiego może przepłoszyć całe towarzystwo i znacznie utrudnić dalsze śledztwo. Należało działać szybko.

Downnar porozumiał się z pułkownikiem Leśniewskim, prosząc o przydzielenie mu Sikory z wołgą, następnie zaś zjadł pośpiesznie obiad w pobliskiej restauracji, zabrał ze sobą sierżanta Kaczora oraz potężnego wilczura i ruszył w drogę.

Kiedy wyjechali za miasto, sierżant Kaczor raz i drugi zerknął w kierunku majora i powiedział:

- Ja, obywatelu majorze, przecież umiem obchodzić się z bronią. Trzy razy otrzymałem pierwsze miejsce na zawodach strzeleckich. Znam strzał z biodra i przez kieszeń potrafię celnie wygarnąć, ale ciemno było cholernie, las... Ledwo widziałem tego oprycha, a za blisko iść nie mogłem, boby posłyszał.

- Ależ oczywiście - uśmiechnął się Downar. - Zapewniam was, że nie mam najmniejszej pretensji. Musieliście użyć broni.

- Gdyby było widno, tobym go w rękę...

- Przestańcie o tym myśleć. Dobrze jest, jak jest. Powiedzcie mi lepiej, czy wy z tym, jak mu tam...?

- Bari, obywatelu majorze.

- No właśnie... Czy wy z tym Barim dobrze sobie radzicie?

- Wyśmienicie. Można powiedzieć, że się przyjaźnimy.

Byliśmy razem w niejednej akcji. Piesek na medal. Głowę daję, że już się zorientował, że o nim mowa. Niech pan spojrzy, panie majorze, jak uszy nastawił. Mądre bydlę, że czasami to wprost czekam, żeby przemówił. Ale chyba na jakąś lepszą robótkę jedziemy, co?

- Może nam się uda przyskrzynić bandziora.

- Gorąco będzie?

- Nie sądzę. To staruszek, emeryt.

- Jakiś fajniejszy staruszek - zaśmiał się Kaczor - kiedy trzeba po niego jechać z psem.

- Jakbym mógł bez zastrzeżeń liczyć na wasz węch, to nie brałbym psa - uśmiechnął się Downar. - Ale tak mi się zdaje, że Bari ma lepszy nos.

- Dawno już nie byłem w Ciechocinku - wtrącił się do rozmowy Sikora. - A lekarz ciągle mnie namawia, żebym pojechał na kurację.

- Łupie was w kolanach?

- Oj, łupie, a najgorzej na deszcz. To pamiątka po tym cholernym obozie. A zresztą, starość nie radość.

Przed wieczorem zajechali na miejsce. Downar zaraz poszedł do zakładu i poprosił kierownika o chwilę rozmowy. Radzikowski? Edward? Tak, oczywiście, był w sanatorium na kuracji. Przed dwoma dniami wyjechał do Warszawy. Bardzo sympatyczny, kulturalny starszy pan, emeryt. Grywał często w szachy.

- Czy prowadzicie tutaj książkę, w której notowane są przyjazdy i wyjazdy pacjentów? - spytał Downar.

- Ależ oczywiście.

- Czy mógłbym zobaczyć tę książkę?

- Niestety biuro jest już zamknięte. Chyba jutro rano. Ponieważ jednak Downar nastawał, żeby załatwić to zaraz, posłano po urzędnika i z szafy wydobyto księgę rejestracyjną. Nazwisko Radzikowskiego odnaleziono bez trudu. Urzędnik także pamiętał miłego, chętnego do partyjki szachów staruszka.

- I panowie twierdzą, że Edward Radzikowski opuścił zakład dwa dni temu -powiedział Downar, przyglądając się z zaciekawieniem książce rejestracyjnej.

- Tak, mniej więcej. Zresztą tam jest dokładna data.

- Właśnie - Downar pokręcił głową z powątpiewaniem - coś z tą dokładną datą wydaje mi się nie bardzo w porządku.

- Dlaczego? - zaniepokoił się urzędnik.

- Dlatego, że dzisiaj mamy trzeciego lipca, a tu jest odnotowane, że Edward Radzikowski opuścił zakład dwudziestego pierwszego lipca, a przybył dwudziestego dziewiątego czerwca.

- Niemożliwe! - wykrzyknął dyrektor sanatorium. - Niech pan pokaże!

- Proszę. Daty wpisane są zupełnie wyraźnie.

Obaj mężczyźni pochylili się nad księgą. Downar nie mylił się.

- Co to znaczy, panie kolego? - spytał dyrektor, patrząc surowo na urzędnika.

-Przecież to pan wpisywał.

- Nie mam pojęcia, panie dyrektorze. Ja... ja nie mogłem się tak pomylić.

Downnar wyjął z kieszeni szkło powiększające i pochylił się nad książką ewidencyjną. Tak, nie ulegało wątpliwości, że ktoś bardzo zręcznie przerobił daty.

- Jaka jest pańska opinia w tej sprawie, panie ma-; jorze? - spytał zaniepokojony dyrektor.

- Jeszcze nie mam wyrobionej opinii - powiedział Downar. - Czy Edward Radzikowski był częstym pacjentem sanatorium?

- Tak. Przyjeżdżał kilkakrotnie na kurację. Cierpiał na dotkliwy reumatyzm.

- Czy nie zauważył pan, żeby przyjmował tu jakichś gości z zewnątrz?

- Nie, nie zauważyłem.

- A czy przyjaźnił się z kimś na terenie sanatorium?

- No cóż... Tak jak to pacjenci między sobą. Zawsze zawierają znajomości...

Downar potrząsnął głową..

- Nie chodzi mi o pacjentów. Chciałbym wiedzieć, czy Radzikowskiego nie łączyły jakieś bliższe stosunki z kimś z personelu?

- Myśli pan o personelu sanatoryjnym, panie majorze? - zdziwił się dyrektor. - Nie, nic mi takiego nie wiadomo. Być może, że pan Radzikowski darzył sympatią tutaj kogoś... ale ja nie wiem.

Urzędnik zapytał, czy jest jeszcze potrzebny, a otrzymawszy odpowiedź przeczącą, pożegnał się i poszedł.

- Czy pan jest pewny, panie dyrektorze, tego człowieka? - spytał Downar.

- Najzupełniej. To stary, zasłużony pracownik. Mam do niego ogromne zaufanie. Czyżby go pan o coś podejrzewał?

Downar rozłożył ręce.

- Ja go o nic nie podejrzewam, ale... Widzi pan, sytuacja wygląda w ten sposób, że ktoś sfałszował daty przyjazdu i wyjazdu Radzikowskiego. Mam powody przypuszczać, że gdybyśmy sprawdzili stare książki, to także inne daty dotyczące tego pana byłyby nieprawdziwe.

- Ale dlaczego? W jakim celu...?

- Niech pan posłucha. - Downar wyjął papierośnicę i poczęstował dyrektora. -Powiedzmy, że pacjent przyjeżdża do pańskiego zakładu szesnastego czerwca, a wyjeżdża faktycznie pierwszego lipca, w książce zaś rejestracyjnej wygląda to trochę inaczej, data przyjazdu dziewiąty czerwca, a data odjazdu pierwszy lipca. Czyli praktycznie facet zawsze ma dobre alibi, że był w sanatorium. Po kilku miesiącach ani pan, ani pańscy urzędnicy nie będą pamiętać, kiedy jakiś tam pacjent odjechał czy przyjechał. Od tego jest książka, do której zawsze można zajrzeć.

- Ale, na miłość boską, w jakim celu to wszystko?

- Bez celu, oczywiście, nie popełnia się tego rodzaju fałszerstwa. Proszę sobie wyobrazić, że milicja warszawska zwraca się z zapytaniem do tutejszej milicji, czy obywatel Radzikowski był w sanatorium i kiedy sanatorium opuścił. Miejscowy milicjant przychodzi do pańskiego biura, wynotowuje daty i wysyła raport do Warszawy.

- Z tego by wynikało, że pan Radzikowski jest poszukiwany przez milicję.

- To bardzo prawdopodobne - uśmiechnął się Downar. - W takim razie może niepotrzebnie wzywałem urzędnika. To się może roznieść, nabrać rozgłosu...

- Właśnie bardzo zależy mi na rozgłosie - powiedział Downar.

- Nie rozumiem pana, panie majorze.

- Lubię reklamę i jeżeli chce mi pan dopomóc, to proszę możliwie jak największej liczbie osób powiedzieć, „w zaufaniu" oczywiście, o tym, że milicja poszukuje pacjenta Edwarda Radzikowskiego.

- Jak pan sobie życzy, ale...

- Właśnie tak sobie życzę, panie dyrektorze, i byłbym ogromnie zobowiązany, gdyby pan poszedł mi na rękę i zwierzył się w tajemnicy różnym ludziom.

Po rozmowie z dyrektorem Downar, odprowadzony ciekawymi spojrzeniami, pojechał do komisariatu, gdzie odbył krótką, ale rzeczową naradę. Zapewniwszy sobie pomoc miejscowej milicji, wrócił do sierżanta Kaczora.

- Słuchajcie, dzisiaj w nocy musimy pospacerować

naokoło sanatorium. Wszystko wskazuje na to, że w późnych godzinach nocnych ktoś wyjedzie na rowerze, na motocyklu albo po prostu wyjdzie piechotą z zakładu i uda się w kierunku szosy.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Ba, tego nie wiem. Ale to nie ma znaczenia. Bez względu na płeć musimy śledzić tego osobnika.

- A jeżeli z sanatorium wyjdzie dwóch albo trzech osobników? - zaniepokoił się sierżant Kaczor.

- Przewidywałem taką ewentualność. Sanatorium obstawi tutejszy komisariat. Ktokolwiek pojawi się w nocy, będzie śledzony. My pójdziemy na pierwszy ogień. Na wszelki wypadek weźmiemy do wozu rower.

- Po co rower? Ciasno będzie. Nie zmieści się.

- Składany jakoś się zmieści, a może się przydać. Zresztą później wam jeszcze wszystko dokładniej wytłumaczę. Umiecie śpiewać?

- Śpiewać? - zdziwił się sierżant Kaczor. - Czasem, jak sobie mocniej podpiję, to śpiewam, oczywiście nie na służbie.

- Czasami i na służbie trzeba być podpitym albo przynajmniej udawać podpitego.

- Nie rozumiem, obywatelu majorze.

- Niedługo zrozumiecie. Teraz musimy zabrać rower. A wy, Sikora, zaparkujecie tak wóz, żeby z sanatorium nie było go widać. I oczywiście zgaszone reflektory. Udawajcie, że śpicie.

- Tak jest, obywatelu majorze.

O oznaczonej godzinie wszyscy znajdowali się na stanowiskach. Nie było możliwości, żeby ktoś niepostrzeżenie mógł wymknąć się z zakładu.

Czas płynął. Ponad uśpionym miasteczkiem zaległa zupełna cisza, przerywana tylko niekiedy gwizdem lokomotywy. Nowo narodzony księżyc wąziutkim łukiem błyszczał na granatowym niebie.

- Chyba nic z tego - szepnął sierżant Kaczor. - Śpią wszyscy jak zabici. Nikt nie ma zamiaru wychodzić.

W tej samej jednak chwili, jakby w odpowiedzi, od ciemnego gmachu sanatorium oderwała się jakaś postać, idąca drobnym,

spiesznym krokiem.
- Kobita...
Downar przyłożył palec do warg i mocniej przylgnął do muru. Przeszła niedaleko, ale ich nie zauważyła. Miała na sobie ciemny dres i buty najwidoczniej na gumie, bo nie stukała zelówkami. Odczekali chwilę, a potem ruszyli ostrożnie w ślad za nocną sportsmenką.
Szli, nie oglądając się za siebie. Przyśpieszała kroku, prawie biegła. Musieli bardzo zręcznie lawirować, żeby nie stracić jej z oczu, a jednocześnie, żeby się nie zorientowała, że jest śledzona.
Na krańcach miasteczka zatrzymała się przed niedużym domkiem, przed którym rosły słoneczniki. Zapukała w umówiony sposób w ciemne okno. Niemal natychmiast otworzono drzwi. Weszła i momentalnie pojawiła się znowu, prowadząc rower z motorkiem.
Potem wszystko odbyło się według planu. Miejscowi milicjanci zorganizowali ruch na szosie w celu zamaskowania wozu Downara. Sikora dodał gazu i znacznie wyprzedził kobietę w dresie. Zahamował za zakrętem. Sierżant Kaczor wysiadł błyskawicznie, ciągnąc za sobą rower. Wskoczył na siodełko i ruszył w kierunku zmotoryzowanej cyklistki, śpiewając pijackim głosem „Złoty pierścionek". Po niedługiej chwili do uszu Downara i Sikory doszedł hałas zainscenizowanej kraksy. Potem posypały się przekleństwa wykrzykiwane na całą okolicę przez sierżanta. Ruszyli, żeby ich nie spostrzegła. Wiedzieli, że wszystko w porządku. Po przejechaniu dwudziestu paru kilometrów, Sikora zwolnił. Niebawem dogoniła ich milicyjna warszawa.
- No, jak tam? - spytał Downar, wychylając się z wozu.
Kwadratowa twarz sierżanta Kaczora promieniała triumfem.
- W deseczkę, towarzyszu majorze. Przepisowa kraksa.
- Zdobyliście coś?
- Ma się rozumieć. Nasobaczyłem babce, ile wlezie, i zdarłem jej z głowy beret.
- A co z nią? Rower rozwalony?
- Ale skąd. Wpadłem na nią z wyczuciem. Nic się nie stało.

Zresztą przyhamowała. Widziała przecież, że gość jedzie na lepszym gazie. Jakieś pięć kilometrów stąd skręciła z szosy w las.

- Nikt za nią nie pojechał?

- Nie. Taki był rozkaz.

- W porządku. Pojechała na swoim rowerze?

- Tak, ścieżką, ale podobno dalej będzie musiała prowadzić, bo gęstwina. Nie przejedzie.

- Dobra. Wracamy, Sikora.

W miejscu, gdzie biegła od szosy w kierunku niedalekiego lasu szeroka dróżka, wysiedli z wozu i sierżant Kaczor dał psu do obwąchania zdobyty beret. Wilczur szczeknął z zapałem i od razu zaczął ciągnąć smycz.

- Spokojnie, Bari, spokojnie.

Downar wydał krótkie polecenie milicjantom, sam zaś z sierżantem ruszył świeżym tropem.

- Może trzeba było wziąć jeszcze ze dwóch - powiedział półgłosem Kaczor.

- E, myślę, że damy sobie radę. Macie broń?

- To się rozumie.

- Pamiętajcie, że strzelamy tylko w ostateczności.

- Tak jest.

Downar posłyszał, jak sierżant repetuje pistolet. Przyśpieszył kroku. Pies ciągnął z niebywałą siłą.

Niebawem ścieżka się skończyła i musieli się teraz przedzierać przez kolczaste krzaki. Jazda na rowerze była tędy rzeczywiście niemożliwa.

Pies skomlił niecierpliwie, szarpiąc smycz. Świeży ślad drażnił go i podniecał do szybszej akcji. Sierżant musiał mocno naprężać mięśnie, żeby Bari nie wyrwał mu się. Co chwila też przemawiał uspokajająco. Nie na wiele się to jednak zdało. Wilczur rwał naprzód coraz zajadlej i zdawało się, że naprężony rzemień zaraz pęknie.

Im dalej posuwali się w gęstwinę, tym sytuacja stawała się trudniejsza. Twarze i ręce mieli boleśnie pokłute, a narastająca ciemność nie pozwalała uniknąć zdradliwych gałęzi. Gdyby nie czworonożny przewodnik, odnalezienie właściwego kierunku

byłoby czymś bardzo problematycznym.
- Cholera jasna, już ledwie zipię - jęknął sierżant Kaczor. - To bydlę mnie tu na śmierć zamęczy. Nie ciągnij tak, psia twoja...
- Dajcie, ja go poprowadzę - powiedział Downar, biorąc smycz do ręki. Zaraz poczuł, że sierżant nie przesadzał ani trochę.

Wreszcie krzaki się przerzedziły. Nie była to właściwie polanka, tylko niewielkie ogołocone miejsce w splątanym gąszczu. Na ciemnym tle wyrastającego przed nimi wysokiego lasu ujrzeli ciężki kształt kamiennego masywu.
- Bunkier czy co za cholera? - szepnął sierżant Kaczor i położył dłoń na pysku psa. Bari jednak znał swoje obowiązki. Nie miał zamiaru szczekać. Przysiadł na tylnych łapach i ziejąc ze zdenerwowania - czekał.

Downar wyjął z kieszeni pistolet. Zaczął powoli i ostrożnie posuwać się w kierunku bunkra. Sierżant skrócił smycz i ruszył w ślad za majorem.

Ciężkie, okute drzwi nie były zamknięte na klucz. Najwidoczniej nie spodziewano się nocnej wizyty. Weszli do jaskrawo oświetlonej drukarni.
- Ręce do góry - powiedział Downar, mrużąc oczy.

Rozdział XIV

Znajomość, której świadkami były mętne wiślane fale, nie skończyła się na plaży. Miała swój dalszy ciąg. Koszycki już od pewnego czasu czuł, że grunt zaczyna mu się usuwać spod nóg. Zaniepokojenie Welanda, fałszywe dolary wpłacone przez starego listonosza, a teraz tajemnicze zniknięcie Waliczka i jego żony, wszystko to nie wróżyło niczego dobrego. Właściwie było jasne, że milicja jest już na tropie afery i że prędzej czy później wyłowi wszystkich członków bandy. Wprawdzie można sobie było tłumaczyć, że Michalak zupełnie przypadkowo wszedł w posiadanie podejrzanej waluty, że obawy Welanda są nie uzasadnione i że Waliczek z żoną wyjechali na wycieczkę zagraniczną, ale na wytworzoną sytuację bezpieczniej było patrzeć przez ciemne okulary i nie zachłystywać się zbytnim optymizmem. Należało się bardzo poważnie liczyć z tym, że lada dzień trzeba będzie opuścić wygodną kawalerkę i ruszyć na tułaczkę, unikając starannie spotkań z przedstawicielami władzy.

Koszycki zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że na takim stosunkowo niewielkim i dobrze zorganizowanym terenie, jak Polska, ukrywanie się jest rzeczą bardzo problematyczną i raczej krótkotrwałą. Co innego olbrzymie obszary Ameryki Południowej czy dalekiej Azji, gdzie, człowiek ginie bez śladu. A przecież i w krajach Ameryki Południowej potrafiono wytropić niejednego zbrodniarza wojennego, ukrywającego się pod przybranym nazwiskiem. Jakież więc istniały szanse zniknięcia w Krakowie, w Poznaniu czy na Wybrzeżu? Absolutnie żadne.

Oceniając trzeźwo sytuację, Koszycki doszedł do przekonania, że zadzierzgnięcie więzów przyjaźni z piękną Belgijką może stać się dla niego przysłowiową deską ratunku. Ufał w swój urok osobisty i postanowił zrobić z niego użytek.

Odczekał dla przyzwoitości dwa dni i, niby przypadkowo, wstąpił w godzinach porannych do kawiarni Grand Hotelu. Od

razu spostrzegł pannę Krauss. Jadła jajka na miękko i smarowała grubo masłem chrupiące bułeczki. Przed nią, na stoliku, leżała niemiecka gazeta.

- Ach, to pan! Bardzo się cieszę, że pan przyszedł. Nie znoszę sarna jeść. Proszę siadać i proszę sobie zamówić coś smacznego.

Koszycki był wprawdzie po śniadaniu, ale dla towarzystwa musiał coś przekąsić. Skinął na kelnerkę.

Krająć apetycznie wyglądającą szynkę, spytał:

- Jak się pani podoba Warszawa?

- Bardzo. Polska to w ogóle niezmiernie interesujący kraj. Nigdy nie przypuszczałam, że macie takie ogromne tradycje kulturalne. Prawdę mówiąc, na Zachodzie bardzo mało wiemy o waszym kraju. Dopiero jak się tutaj przyjedzie...

- Więc nie żałuje pani, ze wybrała się pani w podróż do tej „egzotycznej" krainy?

- Ależ skądże. Wprost przeciwnie. Zdobyłam dużo ciekawych materiałów do mojej książki, poznałam interesujących ludzi.

- Szczególnie na plaży.

- Może i na plaży - uśmiechnęła się z dyskretną zalotnością. - To nie jest wykluczone. Chociaż zazwyczaj nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do takich przelotnych znajomości.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby taka przelotna znajomość stała się czymś więcej -powiedział z przekonaniem. - Nieraz przecież przypadkowe spotkanie przeradza się w piękne uczucie przyjaźni.

Uważnie spojrzała mu w oczy.

- Wierzy pan w przyjaźń pomiędzy kobietą i mężczyzną?

- Oczywiście. Dlaczegóż by nie?

- Bo mnie się dotychczas zdawało, że kobieta i mężczyzna to miłość, namiętność, ale nigdy przyjaźń.

- Zapewniam panią, że jest pani w błędzie. Istnieją mężczyźni, którzy na pewno są zdolni do związania się z kobietą więzami prawdziwej przyjaźni, pozbawionej wszelkich aspektów wynikających z różnicy płci.

Westchnęła.

- Jakżebym pragnęła, żeby to było prawdą, co pan mówi.

- Jestem gotów przekonać panią o tym. - Słowa te wypowiedział bez zastanowienia, w ferworze dyskusji. Niebawem miały mu one bardzo skomplikować sytuację.

Zaczęli się spotykać i spotykali się coraz częściej. Wprawdzie Józefina wymawiała się licznymi zajęciami, wynajdywała najrozmaitsze trudności, ale w rezultacie zawsze znalazła czas dla swojego nowego przyjaciela. Oprowadzał ją po Warszawie, obwoził po okolicy, byli w Nieborowie, w Jabłonnie, w Konstancinie i w Leśnej Podkowie, zwiedzili pałac wilanowski i stadninę koni w Racocie. A kiedy już wyczerpali wszystkie możliwości warszawskie i podwarszawskie, zaczęli wypuszczać się na dalsze wycieczki: Kazimierz nad Wisłą, Sandomierz, Toruń, Bydgoszcz, wreszcie Ojców, Wieliczka, Kraków i Zakopane.

Koszycki uruchomił ostatnie swoje rezerwy finansowe, aby podołać ogromnym wydatkom. Miał jednak nadzieję, że mu się to opłaci. Przyjaźń z uroczą historyczką sztuki zacieśniała się coraz bardziej i zdawało się, że dziewczyna bardzo poważnie zainteresowała się swym przewodnikiem. Wszystko jednak odbywało się ciągłe na płaszczyźnie koleżeńsko-przyjacielskiej i wszelkie próby podejmowane przez Koszyckiego, aby ich stosunkowi nadać charakter bardziej intymny, napotykały na zdecydowany sprzeciw.

- Przecież obiecałeś przekonać mnie o tym, że między kobietą a mężczyzną może istnieć prawdziwa przyjaźń, pozbawiona aspektów wynikających z różnicy płci - mówiła niezadowolona. - Bądź konsekwentny.

Zżymał się, ale nie nalegał. Wiedział, że nie wolno mu być natarczywym. Miał nadzieję, że to się zmieni i że ona sama zechce przestawić ich przyjaźń na inne tory. Wreszcie w pewnym momencie powie jej, że ją kocha i poprosi, żeby została jego żoną. Pobiorą się i wyjadą do Brukseli. On przyjmie obywatelstwo belgijskie... Wszystko się jakoś ułoży, musi się ułożyć. Trzeba tylko być cierpliwym. Przecież gdyby jej się nie podobał, nie spędzałaby z nim tyle czasu.

Nakazywał sobie rozsądek, cierpliwość i spokój, ale wewnątrz

gotował się. Jeszcze nigdy w życiu z powodu kobiety nie stracił tyle czasu i tyle pieniędzy. Z trudem opanowywał rozdygotane nerwy. W każdej chwili mogło się stać coś niespodziewanego, co zburzyłoby natychmiast jego piękne plany. Do tego nie mógł dopuścić, a jednocześnie nie mógł niczego przyśpieszyć. Musiał udawać spokojnego, uśmiechniętego, zadowolonego z życia młodego człowieka, który nie marzy o niczym innym jak tylko o tym, żeby belgijskiej historyczce sztuki pokazać ołtarz Wita Stwosza albo ruiny zamku chęcińskiego. Musiał przywoływać na pomoc całą siłę woli, żeby nie zakląć głośno i nie powiedzieć, że go to wszystko nic nie obchodzi i żeby poszukała sobie innego frajera, który będzie się za nią włóczył po całej Polsce. Opanowywał się jednak i z rozkosznym uśmiechem odgrywał rolę uroczego Cicerone.

Kiedyś w hotelu w Kielcach (Józefina chciała zwiedzić góry Świętokrzyskie) po sutej kolacji usiłował zaprosić się do jej pokoju. Oburzyła się. Jak to? A przyjaźń, wielka, wspaniała przyjaźń, pozbawiona wszelkich aspektów wynikających z różnicy płci? Jeżeli natychmiast nie zaniecha takich dwuznacznych prób, to ona rezygnuje z obejrzenia świętej Katarzyny i wraca do Warszawy. Musiał ją przeprosić, zwalić wszystko na wypite do kolacji wino i pójść do swego numeru. Klął głośno po polsku, aż obudzony sąsiad zaczął walić w ścianę.

Płynęły dni. Koszycki coraz bardziej pogłębiał wiedzę o ojczystym kraju, oporu jednak belgijskiej historyczki sztuki nie zdołał przełamać. Zapewniała go o swej przyjaźni i życzliwości, ale za każdym razem mówiła, że nie chce wprowadzać do ich znajomości jakichś nowych, zupełnie zbędnych elementów, które tylko popsułyby wszystko. Koszycki był wprawdzie zgoła innego zdania, ale każda jego próba, aby coś niecoś zmienić w ich stosunku, rozbijała się o niewzruszoną postawę przesadnie konsekwentnej dziewczyny.

Pewnego popołudnia umówili się w „Europejskiej”. Przyszła z półgodzinnym opóźnieniem, tłumacząc się, że nie mogła, wyjść przed końcem konferencji naukowej, W której brała udział.

- Nad czym tak konferowaliście? - spytał Koszycki. Był

wyraźnie niezadowolony. Nie znosił czekać na kogokolwiek, a szczególniej na młodą dziewczynę.

- Taka tam zawodowa konferencja w Instytucie Archeologicznym. Zamówisz coś dla mnie?

- Oczywiście. Czego się napijesz?

- Duża kawa i dwa ciastka z kremem.

Koszycki przywołał kelnerkę i powtórzył zamówienie. Następnie zwrócił się do Józefiny:

- No i co tam słychać. Jak się czujesz po wczorajszej wycieczce?

- Znakomicie.

- Wyglądasz jakaś zgaszona. Co się stało?

- Trochę się martwię.

- Czym?

- Będę musiała niedługo wyjechać.

- Wyjechać? Dokąd?

- Do Rumunii.

- A cóż ty tam będziesz robiła?

Uśmiechnęła się.

- To samo co w Polsce. Będę prowadziła badania naukowe.

Koszycki do reszty stracił humor. Tyle wydał forsy i teraz miałoby się to wszystko skończyć, ot tak sobie, z dnia na dzień?

- Na długo jedziesz do Rumunii?

- Nie wiem. Może na miesiąc, a może na dwa.

- Ale wrócisz jeszcze do Warszawy?

- Nie mam pojęcia. To nic pewnego. Nie jest wykluczone, że z Rumunii pojadę dalej, do Jugosławii, do Włoch.

- Jak to? I nie zobaczylibyśmy się już? Mogłabyś mnie tak zostawić?

Roześmiała się.

- Przyślę ci z Rumunii śliczny prezent.

- Ależ ja nie chcę żadnych prezentów. Ja chcę być z tobą.

- Chyba się we mnie nie zakochałeś?

- A jeżeli tak...? Przyjrzała mu się uważnie.

- Słuchaj, to przecież są żarty... prawda? Koszycki nerwowo zapalił papierosa.

- Jak ty sobie to w ogóle wyobrażasz? Czyż ja bym tak jeździł po całej Polsce z zupełnie obojętną mi dziewczyną? No,

zastanów się. Czyż młody człowiek, taki jak ja, będzie spędzał całe tygodnie z kimś, kto go całkiem nie obchodzi?

- Sądziłam, że tobie także sprawia przyjemność zwiedzanie...

- Nie kpij.

- Ależ ja wcale nie mam zamiaru kpić. Po prostu uważałam, że przyjemnie spędzamy razem czas, że zaprzyjaźniliśmy się i że oboje z równym zainteresowaniem oglądamy zabytki architektury i sztuki. O ile się zdołałam zorientować, ty, chociaż jesteś Polakiem, niewiele wiesz o swej ojczyźnie.

- Nie miałem dotychczas czasu na zwiedzanie. Zwiedza się zazwyczaj obce kraje, nie swój własny.

- Więc powinieneś mi być wdzięczny, że dopomogłam ci w pogłębieniu twych wiadomości o Polsce.

- Przestań żartować. Czy nie rozumiesz, że ja się zaangażowałem uczuciowo? Po tym wszystkim ty teraz chcesz wyjechać na zawsze i przysłać mi upominek z Rumunii?

- Mogę ci także przysłać coś z Jugosławii.

- Józefino... zrozum, że ja cię kocham - powiedział Koszycki z taką siłą, że prawie sam w to uwierzył. - A ty...? A ty...?

- Ja cię bardzo lubię.

- Tylko mnie lubisz?

- No tak. Bardzo cię lubię, uważam cię za swojego przyjaciela. Widzisz... ja tak prędko nie potrafię się zakochać. Ja na to potrzebuję dużo, bardzo dużo czasu.

- Ale jeżeli chcesz wyjechać i nie wrócić...

- Może wrócę. Nie wiem. Chciałabym wrócić.

- Ja bez ciebie nie po trafię żyć! Nie zostawiaj mnie samego...

Dotknęła jego ręki.

- Jesteś bardzo dziecinny.

- Dlaczego dziecinny?

- Bo tak sobie nagle coś wyimaginowałeś.

- Wcale sobie nie wyimaginowałem. Ja cię kocham. Naprawdę. Nigdy jeszcze nikogo tak nie kochałem.

- Wierzysz w to, co mówisz?

- Oczywiście.

- Dobrze. W takim razie wrócę tu najdalej za sześć tygodni. Jeżeli do tej pory jeszcze będziesz trwał w tym przekonaniu, że

mnie kochasz...
- Chcę pojechać z tobą! Ja chcę być z tobą. Uśmiechnęła się.
- W tej chwili to niemożliwe. Musisz być cierpliwy. A teraz odwieź mnie do hotelu, dobrze? Jestem piekielnie zmęczona.
W ponurym nastroju siadł za kierownicą. Myślał o tym, że wydał na tę dziewczynę prawie wszystkie pieniądze. Do Kruczej nie odezwał się ani słowem. Dopiero kiedy zajechali przed Grand Hotel, spytał:
- Kiedy się zobaczymy?
- Zadzwoń do mnie jutro. W tej chwili nie wiem, jak mi się ułoży.
- A kiedy masz zamiar wyjechać do Rumunii?
- Prawdopodobnie na początku przyszłego tygodnia, wtorek, może środa. Au revoir, chéri. Pójdę się położyć.
Koszycki zniechęcony wracał do domu. Tego się nie spodziewał. Miał jednak nadzieję, że w końcu dziewczyna ulegnie, że potrafi ją oczarować, rozkochać w sobie i że nie będzie chciała wyjechać z Polski bez niego. A tymczasem... Tymczasem okazało się, że Józefina bierze to wszystko bardzo lekko i że traktuje go niezbyt poważnie, a właściwie zupełnie niepoważnie. Ot, taki sobie miły znajomy pour passer le temps. Nic nie wskazywało na to, żeby była w nim zakochana.
A może to tylko gra? Może tak udaje? - pocieszał się.
Już miał wejść do bramy, kiedy ktoś pochwycił go za rękaw.
- Gdzieś ty się podziewał cały dzień? Poluję na ciebie od rana.
- Co się stało?
- Chodź - Weland wziął go pod rękę i pchnął w kierunku stojącego za rogiem samochodu.
- Zdaje się, że nie przestrzegasz własnych zasad ostrożności - zauważył Koszycki.
- Nie czas już teraz na ostrożności - mruknął Weland i zapalił motor.
Wpadli na Wał Miedzeszyński i Weland rozwinął dużą szybkość. Daleko za miastem zjechał na bok szosy i zatrzymał wóz.
- Co się stało, u diabła? - spytał niespokojnie Koszycki.
- To się stało, że Radzikowski siedzi.

- Edward?

- Tak, Edward. Milicja zaskoczyła go w bunkrze. Jestem przekonany, że to wszystko przez tego cholernego Waliczka. Znalazł sobie przyjaciela.

- I co teraz będzie? Weland wzruszył ramionami.

- A co ma być? Śledztwo. Waliczek będzie sypał na całego. Pewnie już w tej chwili sypie. Radzikowski przez jakiś czas wytrzyma, ale i on się załamie. To starszy gość, zmęczony życiem.

- Ja... pry...pry...pryskam... - wyjąkał Koszycki.

- Dokąd?

- Do Rumunii. To znaczy... chciałbym...

- Chciałbyś, ale nie masz ani pieniędzy, ani paszportu.

- Właśnie. Nie mam. Weland wybuchnął śmiechem.

- Znakomity jesteś, mój Waldeczku. Widzę, że się trochę zdenerwowałeś.

- Owszem. I ty także.

- No tak. Sytuacja jest rzeczywiście nie do pozazdroszczenia. Na domiar złego przysłali mi ostatnio kupę tego papieru. Można chyba parę milionów dolarów wydrukować. Szkoda byłoby... No, ale cóż, jak będzie trzeba, to się spali.

Koszycki westchnął głęboko.

- Parę milionów dolarów - powiadasz?

- No tak, chyba tak. Masa tego jest.

- Rany boskie! Trzeba coś wykombinować.

- Łatwo powiedzieć. Ale co? Na terenie Polski już jesteśmy spaleni. Nie ma się co łudzić. Tutaj nie można liczyć na żadne łapówki. Trzeba by kupić milicję, prokuraturę, a to jest przecież niemożliwe. Musimy się likwidować i to galopem. Już. Za parę dni. Dziś, jutro. Psiakrew, żebym ja mógł ten papier przerzucić do Rumunii. Mam tam faceta, który jest jeszcze lepszy spec od Radzikowskiego.

- Czekaj... czekaj - Koszycki nagle gwałtownie się ożywił. - Mówisz, że do Rumunii... ?

- Właśnie. Tam by można zmontować produkcję. Ja mam paszport amerykański. Mogę jechać w każdej chwili. Wizy już

sobie załatwiłem.
- A co ze mną? - jęknął Koszycki.
- A ty sobie będziesz jakoś radził.
- Jeżeli tak, to nie powiem ani słowa. A ja mam pewne możliwości przerzucenia papieru do Rumunii.
- No to mów.
- Nie mam czasu myśleć o tych sprawach. Muszę się zająć swoją osobą.
- Czekaj... zaraz... Pomyślimy, co z tobą zrobić.
- Jak się namyślisz, to mi powiedz, a wtedy ja ci załatwię z tym papierem.
- Maleńki szantażyk, co? - uśmiechnął się Weland. Koszycki wzruszył ramionami.
- Każdy musi dbać o własną skórę.
- Wiesz co? Przerzucę cię do słonecznej Italii.
- Chętnie. Ale w jaki sposób?
- Sposób się znajdzie. Przejedziesz się statkiem do Genui, a potem wsiądziesz w pociąg i do Wenecji. Tam się spotkamy.
- Ale ja nie mam paszportu.
- Na razie obejdzie się bez paszportu. We Włoszech dostaniesz paszport szwajcarski. Bądź spokojny, już ja ci wszystko załatwię. Zdaje się, że mówisz po francusku?
- Zupełnie dobrze.
- No więc właśnie. Na Szwajcara można cię będzie przerobić bez większego trudu. Miej przy sobie kilka fotografii. No, a teraz mów, w jaki sposób chciałbyś przerzucić do Rumunii ten papier.
Koszycki opowiedział o flircie z Józefiną i o jej zamierzonym wyjeździe do Bukaresztu.
- Poproszę ją, żeby dla przyjaciela zabrała trochę gazet i książek, a poza tym można będzie jej rzeczy pięknie opakować w ten papier. Co o tym myślisz?
- To niezła kombinacja - zainteresował się Weland. - Czy ta babka jest w tobie zakochana?
- Niezupełnie, to znaczy... jeszcze się z tym tak wyraźnie nie zdradza. W każdym razie jestem pewny, Że zrobi to dla mnie.
- Można będzie gazety i książki zawinąć w ten papier, a i

między czasopisma coś się utka.

- Jasne - przytaknął Koszycki. - Myślałem też o tym, żeby porobić na tym papierze jakieś szkicowe ilustracje, które wmontowałoby się do tygodników. Można by do tego wykorzystać „Świat”, „Kraj Rad”, „Projekt”. Nie wiem tylko, czy będzie na to czas.

- Na wszystko się znajdzie czas, jak chodzi o taką forsę.

Omówili jeszcze szczegóły całej imprezy, a następnie Weland zawrócił ku miastu.

- Gdzie cię odwieźć?

- Pojadę do domu. Zabiorę trochę rzeczy i zadekuję się na razie gdzieś pod Warszawą. Mam kumpla w Falenicy. U niego będę się czuł bezpieczniej.

Na drugi dzień po tej rozmowie Koszycki skomunikował się z Józefiną. Była bardzo serdeczna.

- Przykro mi, że okazałam się wczoraj wobec ciebie trochę szorstka, ale dosłownie ledwo żyłam ze zmęczenia. Mam nadzieję, że się nie gniewasz?

Zapewnił ją, że nie czuje najmniejszego żalu i że nic się w jego stosunku do niej nie zmieniło. Prowadził rozmowę w tonie bardzo swobodnym, lekko żartobliwym. Był, jak zwykle, szarmancki, czarujący. Zjedli razem obiad w „Kameralnej”, a potem poszli na francuski film. Po kinie zaprosiła go na herbatę do Grand Hotelu.

- Więc to już postanowione, że wyjeżdżasz? - spytał, kiedy usiedli przy stoliku.

- Tak, we wtorek.

- Jedziesz pociągiem?

- Nie. Samochodem.

- Miałbym do ciebie wielką prośbę. Mój przyjaciel mieszka stale w Bukareszcie. Czy mogłabyś dla niego zabrać trochę pism i książek? Chciałbym mu zrobić niespodziankę.

- Ależ oczywiście. Bardzo chętnie.

Rozdział XV

Kula weszła wysoko, w okolicy prawego ramienia i tylko drasnęła płuco. Rana była dosyć głęboka, ale niegroźna. Już po kilku dniach lekarze zgodzili się na wizytę milicji.

Ranny przyjął gości na wpół siedząc, oparty wygodnie o poduszki. Twarz miał bladą, ale ciemne oczy świeciły żywym blaskiem. Uśmiechnął się z pewnym przymusem na widok wchodzących oficerów. Usiłował nadrabiać miną.

Downar usiadł po jednej stronie łóżka, a Sarnecki po drugiej. Przez chwilę panowało milczenie. Nie śpieszyli się z nawiązywaniem rozmowy.

- To miło, że mnie panowie odwiedzili - powiedział drwiąco Kalinowski.

Nie zwrócili uwagi na jego słowa. Downar spytał:

- Dlaczego usiłowaliście zabić Jana Wierzbickiego?

- Dla rozrywki. Nudziłem się, a facet wydał mi się bardzo niesympatyczny.

- Proponuję, żebyście przestali żartować. W przeciwnym razie przerwiemy tę rozmowę i zobaczymy się następnie w innych okolicznościach. Ostrzegam, że takie zachowanie się pogorszy waszą sprawę. - Było coś takiego w głosie i w spojrzeniu Downara, że opryszek zmieszał się. Spuścił oczy i mruknął: - Słabo się jeszcze czuję.

- Nie będziemy was długo męczyć. Odpowiecie tylko na parę pytań. Niejaki Lucjan Waliczek zeznał, że zapłacił wam dziesięć tysięcy złotych za zamordowanie Wierzbickiego. Czy to prawda?

- Prawda.

- Czy Waliczek chciał się pozbyć Wierzbickiego w związku z handlem fałszywymi dolarami?

- Tak.

- Bał się, że Wierzbicki go sypnie?

- Tak.

- Czy wy zamordowaliście Leokadię Kościelną? Kalinowski energicznie potrząsnął głową.
- Nie, ja tego nie zrobiłem.
- A kto?
- Tego nie wiem.
- W pokoju Wierzbickiego znaleziono odciski waszymi palców.
- Coście tam robili w dniu morderstwa?
Kalinowski zawahał się.
- Wuj mnie posłał, to znaczy Waliczek. - Po co was posłał?
- Żebym zabrał starej te dolary, które jej sprzedał.
Przestraszył się.
- A tę raszplę to wy zostawiliście w pokoju Wierzbickiego?
- Ja. Miałem nią podważyć klepki u Kościelnej. Pod podłogą trzymała dolary.
- Ale tych dolarów nie zabraliście.
- Oczywiście, że nie. Jak zobaczyłem trupa, to dałem nogę. O raszpli przypomniałem sobie dopiero na ulicy.
- I nie domyślacie się, kto mógł popełnić tę zbrodnię?
- Nie mam pojęcia. Pani Kościelna była nawet przyjemna kobieta. Nie wiem, kto mógł do niej mieć pretensję.
- Dawno znaliście Leokadię Kościelną?
- Kawał czasu. Pewnie ze dwa lata albo więcej. Nie pamiętam dokładnie.
- Co was z nią łączyło?
- Co miało łączyć? Handlowaliśmy.
- Czym?
- Czym się dało. Dostawała ciuchy z Ameryki, to brałem na sprzedaż. Trzeba było przecież pomóc staruszce, no nie?
- Czy tylko handlowaliście z Kościelną garderobą, którą ona otrzymywała w paczkach z Ameryki?
- Czasem zahandlowaliśmy i kotami.
- Jak to kotami?
- Ano tak. Za ładnego kota płacą do stu pięćdziesięciu złotych, a pani Kościelna zbierała te kocury po różnych piwnicach. Czasem sama woziła na wieś, a czasem ja zabierałem.
- I Szczygielski kupował?

- Kupował, ale grymasił. Brał tylko ładne sztuki, na futro. Potem to już przestałem się tym zajmować. Nie opłacało mi się.
- Lepiej opłacał - się handel fałszywymi dolarami.
- Ma się rozumieć.

Downar sięgnął odruchowo po papierosy, ale przypomniał sobie, że jest w szpitalu i z powrotem wsunął papierośnicę do kieszeni.

- Powiedzcie mi, Kalinowski, czy z tym Szczygielskim handlowaliście tylko kotami?
- A czymże ja mogłem z nim handlować?
- Na przykład dolarami?
- Nie. Nigdy mi nie wspominał o walucie.
- A czy taki szalik zagraniczny, fioletowego koloru, sprzedaliście mu?
- Chwileczkę. - Kalinowski zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć. - Szalik? Fioletowy?

Tak. Sprzedałem Szczygielskiemu i to chyba nie tak dawno.

- Czy ten szalik mieliście od Leokadii Kościelnej?
- Nie. Kupiłem od profesora.
- Od jakiego profesora?
- Od takiego jednego wariata. Podsiadły się nazywa. Czort go wie, czy on profesor, czy nie. Tak na niego mówią.

Downar spojrzał na Sarneckiego.

- Czy masz jakieś pytania?
- Nie.

W tej chwili weszła do pokoju pielęgniarka prosząc, żeby nie męczyć dłużej chorego.

Sarnecki pojechał do komendy przesłuchać Radzikowskiego i jego kuzynkę, posługaczkę z sanatorium w. Ciechocinku, Downar zaś wyruszył na poszukiwanie Seweryna Podsiadłego. Był bardzo zamyślony.

*

Siedział na murku niedaleko Barbakanu i pieścił czarnego kota. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na nieznajomego. Czule przemawiał do swego pupila, wodząc długimi, wyschniętymi palcami po lśniącej sierści. Kot przeciągał się lubieżnie i, mrużąc zielone oczy, mruczał z zadowoleniem.

Downnar usiadł obok i zapalił papierosa.
- Jestem z milicji - powiedział bez żadnych wstępów. Seweryn Podsiadły spojrzał na niego obojętnie.
- Pan pewnie w sprawie Kościelnej?
- Tak. Przyszedłem, żeby zapytać, dlaczego pan ją zamordował?
- To pan już wie. - Głos starca nie zdradzał żadnego wzruszenia.
- Więc pan przyznaje się do popełnienia tej zbrodni?
Skinął głową.
- Jutro miałem pójść na milicję, żeby powiedzieć prawdę.
- Dlaczego właśnie jutro? - spytał Downar.
- Bo jutro jest rocznica śmierci jej męża. Zginął w powstaniu, zaraz na początku. Co roku chodziliśmy rasem na jego grób. Chciałem i jutro pójść na cmentarz, zapalić światła, a potem złożyć zeznanie na milicji. Ale... jeżeli pan już wie...
Downar uważnie obserwował pooraną zmarszczkami twarz starego człowieka.
- Dlaczego pan to zrobił?
Seweryn Podsiadły wzruszył kościstymi ramionami.
- Czy nie wszystko jedno? To są moje sprawy. Nie chcę o nich mówić.
Downar zgniótł w palcach nie wypalonego papierosa. Milczał. Wiedział, że jeżeli teraz popełni jakiś błąd, już nigdy nie dowie się niczego. Odezwał się znowu dopiero po dłuższej chwili:
- Oczywiście, że to są pańskie osobiste, bardzo intymne sprawy i nie mam zamiaru zmuszać pana do zwierzeń. Przyznał się pan do winy. Mnie wystarczy, ale innym noże nie wystarczyć. Chciałbym panu oszczędzić niepotrzebnych pytań, rozmów, przesłuchiwań. Bardzo uciążliwych, przykrych. Jeżeli pan się zdecyduje zaznajomić mnie z motywami pańskiego czynu, obiecuję, że zostawię pana w spokoju. Powie pan tylko tyle, ile pan będzie chciał powiedzieć swojemu adwokatowi.
Na wąskich, zaciśniętych wargach pojawił się pobłażliwy uśmiech.
- Adwokatowi? Mnie nie jest potrzebny adwokat. Ja jestem starym człowiekiem. Mnie już na niczym nie zależy.

- Ale na spokoju, na zupełnym spokoju panu zależy.

- Tak. Nie chciałbym, żeby mnie męczyli. Niech mi pan powie, czy... czy w więzieniu można trzymać kota? Bo przecież... ja pójdę do więzienia, a jego nie mogę zostawić... naprawdę nie mogę.

W tej chwili Downar zdał sobie sprawę, że pojawiła się szansa, którą musi wygrać. Był zły na siebie i czuł jakiś niesmak, że wobec starego człowieka chce stosować tego rodzaju chwyty, ale wiedział, że inaczej nie może postąpić. Musiał przecież poznać prawdę. A jeżeli Seweryn Podsiadły przyznaje się do popełnienia zbrodni dlatego, żeby kogoś kryć...?

- Zasadniczo regulamin więzienny zabrania trzymania zwierząt w celi, ale postaram się wyrobić dla pana specjalne pozwolenie, jeżeli oczywiście ze swej strony pójdzie mi pan na rękę i ułatwi mi pan moją pracę. Chodzi tylko o to, żeby pan w kilku słowach powiedział, dlaczego zabił pan Leokadię Kościelną?

- To była podła, zła, fałszywa kobieta.

- Przecież pan się z nią przyjaźnił...

- Tak. Nie miałem na świecie nikogo, tylko moje koty i... Leokadię. Była dla mnie żoną, siostrą, przyjaciółką, - najbliższą istotą. Wierzyłem... wierzyłem w nią... Wierzyłem przez tyle lat, że ona kocha te zwierzęta tak samo jak ja. Razem chodziliśmy po piwnicach, razem opiekowaliśmy się biednymi, bezdomnymi, głodnymi kotami. To było moje życie. Bo przecież, proszę pana, dla czegoś czy dla kogoś trzeba żyć. Inaczej po co...? Po co się w ogóle męczyć? I wierzyłem, że ona... Zawiodłem się, zawiodłem się straszliwie. Zdradziła nas. Zdradziła mnie i koty. Czy pan wie, co ona robiła? Karmiła... czesała... pieściła, a potem jechała na wieś i sprzedawała na skórki! Rozumie pan?!! Na skórki!! Te koty, które ja... które my razem... na skóry... pod nóż! - Krzyk starca odbił się od muru Barbakanu. Downar zaniepokojony rozejrzał się dokoła. Bał się zbiegowiska. Na szczęście na ulicy było pusto. Tylko jakiś przechodzień przystanął zdziwiony, ale zaraz poszedł dalej.

- I pan się zemścił za koty?

Seweryn Podsiadły zdawał się tego nie słyszeć. Siedział

zapatrzony we własne myśli, we własne wspomnienia.
- Nie mogłem tego znieść... nie mogłem. Kiedy na wystawie u kuśnierza zobaczyłem futro z mojego kota, nie chciałem wierzyć, ale...
- Skąd pan wiedział, że to pański kot?
- Miał ciemną pręgę przez grzbiet i był ogromny.
- Takich kotów może być więcej.
- Tak sobie tłumaczyłem z początku. Nie chciałem wierzyć, że ona... że Leokadia... Wydawało mi się to czymś tak potwornym... Zacząłem ją śledzić. Żmija, gadzina. Handlowała... sprzedawała nasze koty... Rozumie pan?! Sprzedawała na rzeź, na skóry...! Jeździła na wieś, że niby lokuje u dobrych ludzi. Wyśledziłem, zbadałem...

Nie mogła się wyprzeć... Łajdaczka, podła łajdaczka. Ale to się skończyło, na zawszę się skończyło. Już nigdy... nigdy żadnego... kota... nie odda pod nóż. Może pan myśli, że ja żałuję tego, co zrobiłem? Nie. Nie żałuję i gdyby to wszystko wróciło się raz jeszcze, jeszcze raz zadusiłbym ją jak gada. - Odczekał chwilę, a potem dodał beznamiętnym, rzeczowym głosem: - Udusiłem Leokadię Kościelną szalikiem, fioletowym szalikiem, który dostałem od niej w prezencie. Fioletowy szalik. Oddałem go jednemu chłopakowi. Czy chciał pan mnie jeszcze o coś zapytać?

Downar tak był wstrząśnięty tragiczną opowieścią starca, że nie był w stanie nic powiedzieć. Zaprzeczył ruchem głowy i wstał.

Seweryn Podsiadły podniósł się także. Wiedział, że musi pójść za tym człowiekiem. Pieszczotliwie dotknął nastawionych uszu czarnego kota.
- Chodźmy - szepnął. Kiedy wsiadali do Wozu, zwrócił smutną, zrezygnowaną twarz ku Downarowi: - Ja wiem, że nie pozwolą go zabrać do więzienia. Niech mi pan zrobi tę łaskę i niech się pan nim zaopiekuje. Bardzo proszę.
- Dobrze - powiedział Downar i poczuł, że żelazne kleszcze chwytają go za gardło. Energicznie wepchnął starca do samochodu.

*

Pułkownik Leśniewski pił już trzecią filiżankę kawy. Był zmęczony upałem i jego twarz błyszczała od potu.

- No więc...” sprawę zabójstwa Leokadii Kościelnej możemy uważać za zamkniętą -powiedział matowym głosem.

- Rozpracowaliśmy przy okazji tę dolarową aferę - zauważył Sarnecki, sięgając po syfon.

Downar złożył akta i starannie zawiązał teczkę.

- Czy są już jakieś wiadomości od Ewy, obywatelu pułkowniku”

- Tak. Wszystko według planu. Fałszywe dolary, które pokazały się na terenie Rumunii, były produkowane przez niejakiego Szulca, kumpla Welanda.

- To znaczy, że kierowanie Ewy na Bukareszt było prawidłowe.

- Najzupełniej.

Konferencja dobiegła końca. Sarnecki i Downar wyszli z komendy.

- Pójdziesz ze mną coś zjeść? Downar skinął głową.

- Chętnie. Skoczę tylko tutaj, do samu. Może dostanę mleka.

- Mleka? - zdumiał się Sarnecki.

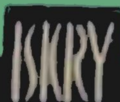
- Tak. Mleka dla czarnego kota.



Obudził się z uczuciem grożącego mu niebezpieczeństwa Usiadł . Niespokojną dłonią przesunął po piekących , zapuchniętych oczach . Brudna , pozaciekana wilgocią ściana na którą patrzył od tylu t ygodni , wydała mu się nagle wroga, nienawistna. Gęste od upału powietrze tamowało oddech. „ To się musi źle skończyć”. „ To się musi źle skończyć” - dźwięczały mu w uszach słowa powtarzane wczoraj wieczorem z pijackim uporem.
Monika leniwie przewróciła się na drugi bok. Była zupełnie naga

- Co masz taką przerażoną minę? Śniło ci się coś? A może ciągle jeszcze myślisz o tej starej? Nie zainteresowałbyś się kimś młodszym?...
- Łatwo ci dowcipkować, tobie nic nie grozi - Spojrzał na nią prawie z nienawiścią - To wszystko przez ciebie!
- Przeze mnie? Ja ci kazałam kraść.
- To dla ciebie, dla ciebie brałem te pieniądze. Żeby mieć na knajpy, na taksówki na teatry na na ciuchy...

CENA ZŁ 28.-



Ali-Baba